

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARCOWY KAWALER

KROTOCHWIŁA W JEDNYM AKCIE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OSOBY

IGNACY, właściciel wsi
HELIODOR, literat
PANNA EULALIA, guwernantka
GRZEMPIELESKI, ekonom Ignacego
PAWŁOWA, gospodyni Ignacego

Rzecz na wsi, w domu Ignacego

Teatr wyobraża pokój kawalerski; po prawej stronie kanapa i stół, po lewej biurko i zwierciadło stojące; kilka krzeseł. Drzwi główne w głębi, boczne po obu stronach; z lewej okno.

SCENA I

HELIODOR, *poważny, suchy, łysy, w okularach, siedzi przy biurku i notuje coś, wypisując z małej książeczki podręcznej, którą trzyma w ręku; IGNACY, szlachcic opiekle z wąsami, stoi za nim niecierpliwiąc się.*

IGNACY (*po chwili milczenia*) Pisze i pisze... ani się z nim dogadać... (*po chwili*) Mój Heliodorku, dałbyś, duszko, pokój tej robocie... Będziesz miał dosyć czasu, powróciwszy do Warszawy, toć i tak zebrałeś sporo... Zapisaleś parę takich książeczek... (*po chwili*) Chciałem z tobą pogadać, zasięgnąć twojej rady...

HELIODOR (*pisząc*) Zaraz, zaraz...

IGNACY (*pochodziwszy, po chwili, stając za nim, zniecierpliwiony*) Jak cię życiem Kocham, nudny jesteś, jak flaki z olejem.

HELIODOR (*odwracając się do niego*) Flaki z olejem! Czy to przysłowie używane tu jest przez lud... nie uważałeś?

IGNACY A dajże mi święty pokój!... Diabli wiedzą... Nie zbieram przysłów.

HELIODOR To bardzo źle robisz... Skarby macie pod ręką i marnujecie je.

IGNACY I ty dałbyś temu pokój... Czy ci się to opłaci?

HELIODOR Tak jak ty rozumiesz, na gotówkę, może i nie... Ale jacyście wy materialni — pfe!

IGNACY Wiesz, co powiedział wczoraj sędzia, gdy mu chciałem gwałtem przy preferansie wpakować bilet prenumeracyjny na twój opis naszej okolicy?

HELIODOR Zapewne, że nie ma pieniędzy, bo wyście wszyscy tacy.

IGNACY Tego nie mógł powiedzieć, bo należało mu się dwa razy tyle wygranej.

HELIODOR Więc cóż?

IGNACY Że jako urodzony w tej okolicy zna ją sto razy lepiej niż ty i nic nowego nie dowie się z twojego dzieła.

HELIODOR Pokazuje się, że pan sędzia bywa czasem dowcipny.

IGNACY Miał po części rację, duszeczko... jak cię życiem Kocham... *(po chwili, podnosząc go gwałtem)* Mój drogi, przerwij to pisanie, proszę cię, i poświęć mnie kilka chwil... Przecież jesteś moim kolegą szkolnym, przyjacielem... *(ciągnie go na środek)*

HELIODOR O cóż chodzi?

IGNACY *(obejrzawszy się, po chwili, ściskając jego rękę)* Słuchaj no, powiedz mi... tak otwarcie... jak ci się zdaje... jak ty uważasz?

HELIODOR Cóż takiego? *(dobywa cygarnicy)*

IGNACY Nic nie wie! Mówię o moich zamiarach matrymonialnych.

HELIODOR Z twoją sąsiadką, tą wdówką z Topolina?

IGNACY Ehe!

HELIODOR Panią Klotyldą?

IGNACY No, naturalnie.

HELIODOR *(zapaliwszy papieros)* Na nic się nie zdało.

IGNACY A to dlaczego?

HELIODOR Co ci to po tym?

IGNACY *(obruszony)* Jak to, co mi po tym?

HELIODOR Za stary już jesteś, za ciężki.

IGNACY Ale bredzisz, duszeczko, jak cię życiem Kocham... przecież wiesz, że mam dopiero czterdziesty... czwarty.

HELIODOR Czterdzieści sześć podobno.

IGNACY Ale nie, czterdzieści cztery.

HELIODOR Czterdzieści sześć, porachuj... Rodziłeś się w roku tysiąc...

IGNACY (*prędko*) No, czterdzieści pięć...

HELIODOR Tak, czterdzieści pięć skończyłeś, więcej jak przed pół rokiem...

IGNACY A chociażby tak było, to przyznasz, że wdowa dwudziestokilkoletnia jest nader stosowną dla mnie partią... Kilkanaście lat różnicy...

HELIODOR Jest w sam raz... Przeciwno temu nie mam nic.

IGNACY Więc o cóż ci chodzi?

HELIODOR Twój sposób życia, nałogi starokawalerskie, którym się mimo woli poddałeś, sprawiły, że zestarzałeś się może nad wiek swój, ociężałeś, zgrubiałeś...

IGNACY (*mierząc się*) Ale co znowu...

HELIODOR Mówię pod przenośnią... Nie to, żebyś się zaokrąglił zbyt znacznie... ale wzięcie się, nawyknięcia, ruchy ociężałe...

IGNACY Jak cię życiem kocham, w przeszły jeszcze karnawał prowadziłem wszystkie mazury... (*robi kilka hołubców*)

HELIODOR (*zawsze poważny*) Tylko ostrożnie...

IGNACY Nie obawiaj się... przeskoczyłbym jeszcze dziewięciu waszych warszawskich zdechlaczków.

HELIODOR Tak ci się zdaje, a jakby przyszło do czego...

IGNACY Mój Heliodoreczku, pomówmy, duszko, bez żartów... przecież przyszłe szczęście kolegi i przyjaciela powinno cię choć troszeczkę interesować.

HELIODOR (*ściskając jego rękę z powagą*) Bądź pewny!

IGNACY Więc powiedz mi, co ty, ty masz przeciwko pani Klotyldzie?

HELIODOR Przeciwno niej nic a nic, tylko przeciwko tobie.

IGNACY Przeciwno mnie? Śliczny przyjaciel!...

HELIODOR Jako przyjaciel właśnie powiadam ci: — Za późno! To już nie dla nas.

IGNACY Proszę cię, nie mieszaj nas pod tym względem, duszeczko...

HELIODOR No, więc nie dla ciebie... zresztą jeżeliś jeszcze dosyć młody na męża, to z pewnością za stary na konkurenta... (*Ignacy chce coś mówić, ale się wstrzymuje i zamy-*

śla) Znadto odwykłeś od świata i towarzystw. Widziałem cię razem z twoją panią Klotyldą, i gdybym nie wiedział skądinąd, nie domyśliłbym się wcale, że się masz do niej... Zapomniałeś już, jak się brać do kobiety...

IGNACY (*z lekką urazą*) Dobry sobie jesteś, jak cię życiem Kocham... Ja zapomniałem, jak się brać!... (*tajemniczo*) A gdybym ci też powiedział, że mam sprzymierzeńca w samej fortecy... Co?!... Czy jeszcze byś utrzymywał, że jej nie zdobędę?

HELIODOR Najlepszym sprzymierzeńcem byłby sam dowódca tej fortecy; ale jakaś tam panna Eulalia, jej dawna guwernantka...

IGNACY Zgadł!!!

HELIODOR Czy myślisz, że nie patrzę i nie widzę?... Zrazu nawet myślałem, że się do niej bierzesz.

IGNACY A niechże cię... To palnął!... (*po chwili*) Wiesz? Obiecałem jej kolczyki brylantowe w razie pomyślnego skutku i jestem pewny, że zrobi mi interes.

HELIODOR To już najlepszy dowód, jakeś się zestarzał i ociężał... (*po chwili*) Zresztą, jest jeszcze jedna przeszkoda, a najważniejsza, chociaż ją może za nic rachujesz... Co na to powie Pawłowa?

IGNACY (*ogładając się mimo woli*) Co ten plecie! Co ten plecie!

HELIODOR Że ona ciebie zawojowała, to rzecz pewna.

IGNACY Ale jak cię życiem Kocham... Dajże pokój.

HELIODOR Tak mi się zdaje.

IGNACY Trzeba ci wiedzieć, że to jest kobiecisko poczciwe z kośćcami, gospodyni idealna, a przywiązana do mnie, że nie idzie dalej...

HELIODOR Tym gorzej, bo i tyś się do niej przyzwyczaił, przywiązał.

IGNACY (*unosząc się*) Ale bo powiadam ci, że to kobieta...

HELIODOR Nieoszacowana, ja wiem... (*dobywając książeczkę*) Patrz! To wszystko od niej... Jakie przysłowia jędrne... a co pieśni!... Samej tej: (*nuci*) „Parobeczek do niej, ona mu się broni”... znasz?... podyktowała mi dwadzieścia wariantów.

IGNACY Ten znowu swoje... (*chodzi*)

HELIODOR Co wszystko nie przeszkadza, że cię prowadzi na pasku.

IGNACY (*chodząc*) Ale zabawny jesteś... (*po chwili zamyślenia, stając*) Słuchaj no, powiadasz, że się nie umiem brać... Gdyby jej tak zrobić jaką niespodziankę, siurpryzę...

HELIODOR Komu? Pawłowej?

IGNACY Przestańże z tą Pawłową, proszę cię.

HELIODOR Więc pani Klotyldzie?

IGNACY Jak cię kocham, śliczna myśl... Gdyby tak urządzić jakąś partyjkę... coś na kształt podwieczorku...

HELIODOR Gdzie, tu, u ciebie?

IGNACY A naturalnie.

HELIODOR A Pawłowa?

IGNACY Jest! (*chodzi po scenie; po chwili na stronie*) Ma trochę racji... (*po chwili, głośno*) Mój Heliodorku, moja duszeczko... Tyś mój przyjaciel... i jesteś sprytny... O! Jesteś sprytny, nie zapieraj się!... Powiedz, jak by to zrobić?

HELIODOR Bardzo prosta rzecz; urządzić przejażdżkę, zaprosić panią Klotyldę, zrećźnie przywieźć do siebie, a Pawłowej kazać upiec kurcząt.

IGNACY Myślałem, żeś sprytniejszy... (*po chwili*) To, widzisz, łatwo mówić, ale u mnie po kawalersku... Służba nie nawykła... Zaraz domysły, plotki...

HELIODOR Jakie plotki? Cóż cię plotki mogą obchodzić... Czyż nie myślisz na serio o tym związku?

IGNACY Ale zupełnie na serio, jak cię życiem kocham.

HELIODOR Więc gdzież logika?

IGNACY Ale co mi tam wyjeżdżasz z logiką! Co innego logika, a co innego moja konkurencja...

HELIODOR Toteż właśnie!

IGNACY Tylko proszę cię, nie łapże mnie za słówka.

HELIODOR Więc o cóż ci chodzi?

IGNACY (*obejmując go i całując*) Żebyś się tym zajął, moja duszeczko, dam ci zupełne pełnomocnictwo...

HELIODOR Względem Pawłowej?

IGNACY Aha!... (*po chwili*) Urządzisz z nią wszystko, wydasz dyspozycję, żeby było dobrze i z szykiem... (*oglądając się*) Bo to, widzisz, z nią trzeba jak z jajkiem...

HELIODOR Z panią Klotyldą?

IGNACY Nie dowcipkuj, mój Heliodoreczku...

HELIODOR Więc z Pawłową... (*Ignacy rusza ramionami*) Dlaczegoż z nią trzeba jak z jajkiem? Kazać i kwita.

IGNACY (*żywo*) Toteż każ! Upoważniam cię.

HELIODOR A czy usłucha?

IGNACY (*jak wyżej*) To już twoja rzecz.

HELIODOR Wyborny jesteś... Zbałamuciłeś ją, zepsuleś, że ci kolki po głowie ciesze.

IGNACY (*obruszony*) Ale jak cię życiem Kocham...

HELIODOR Jeżeli tak ci przychylna, jak powiadasz, to powinno ją cieszyć, że się żenisz z kobietą, do której masz przywiązanie...

IGNACY Rozumie się, i ja tak sędzę... ale... (*żywo*) Widzisz, ja jestem prędki, łatwo się unoszę... Każę jej zrobić to i owo... Jej się to nie będzie zdawać... (*poufnie*) Bo rzeczywiście, z powodu innych zalet na wiele jej pozwalam... Będzie mi robić uwagi, ja się zniecierpliwę... i... pojmujesz mnie...

HELIODOR Ale najzupełniej... Boisz jej się...

IGNACY Idźże do diabła... (*po chwili*) Ja mu mówię w zaufaniu, żądam przyjacielskiej posługi, a on dowcipkuje...

HELIODOR Więc cóż mam zrobić?

IGNACY Urządzić wszystko tak, żeby było dobrze... moja duszeczko... Ty to potrafisz... (*po chwili, z wahaniem*) Zresztą, bądź co bądź... gdy się ożenię... ona tu nie będzie mogła zostać... więc, możesz jej dać do zrozumienia... tak delikatnie, że jak będzie fochy stroić, nie słuchać, co jej się każe, i wtrącać się w nie swoje rzeczy... to... jednej chwili wyleci stąd... U mnie krótko...

HELIODOR Czyli innymi słowy, nie chcąc się sam poparzyć, moimi rękoma chcesz wyciągnąć kasztany z pieca (*po chwili*) Ha! Spróbuję...

IGNACY (*ponuro*) Zrobisz mi wielką przysługę... (*zamyśla się*)

SCENA II

POPZEDZAJĄCY; PAWŁOWA, ubrana pół po wiejsku, pół z szlachecka, w chustce zawiązanej na głowie, przy fartuchu; GRZEMPIELESKI.

PAWŁOWA (we drzwiach po prawej, do Grzempieleskiego, który wchodzi za nią) To się na nic nie zdało, mógł pan Grzempieleski od razu powiedzieć tej babie, żeby sobie poszła z panem Bogiem.

GRZEMPIELESKI (ekonom nowomodny z pretensjonalnymi ruchami i wysłowieniem) Ale co się pani Pawłowa tak sierdzi, to piękności może szkodzić... (sposrzega pana i zmienia ton; głośno) Ma się rozumieć, będzie tak, jak pan dziedzic każe, i kwita...

PAWŁOWA Jak każe, tak każe, ale trzeba opowiedzieć, jak było, bo ino każdy by go chciał w pole wywieść.

IGNACY No, no, cóż to tam za hałasy?

GRZEMPIELESKI To tu przyszliśmy ze sprawą, proszę łaski pana dziedzica.

IGNACY Z jaką sprawą?

GRZEMPIELESKI Ma się rozumieć nic wielkiego, przepraszam pana dziedzica, tylko według tego, że wczoraj... (uderzając się w usta) Co ja gadam, łzyj gębo... Onegdaj, w czasie niedobytności pana dziedzica, złapaliśmy defraudację w lesie...

IGNACY Co takiego?

GRZEMPIELESKI Więc to była, ma się rozumieć, za pozwoleniem pana dziedzica, taka stara baba z kulawą łapą... żebrająca... ale więc tedy, ponieważ kradła szczapy z sągów, zabrał jej gajowy fartuch, chustkę i tym podobne...

IGNACY E, kradła, kradła... Cóż tam mogła wziąć...

PAWŁOWA Oho! Jak to już pan będzie się litował nad każdym.

IGNACY (zimno) Nie wtrącaj się.

PAWŁOWA (do Heliadora, który pilnie uważa i ją, i Grzempieleskiego) Widzi pan, to tak zawsze... Niech wszystkie sągi rozbierają, to nic nie szkodzi.

GRZEMPIELESKI Przepraszam pokornie pana dziedzica, więc tedy ponieważ potrzeba koniecznie dobrego przykładu, ja rekwirowałem, że się złoży te łachy do wójta.

IGNACY Powiadacie, że to stara, uboga kobieta? (Pawłowa rusza ramionami)

GRZEMPIELESKI Tak jest... Więc tymczasowie, akuratnie kiedy chciałem, ma się rozumieć, odesłać, przychodzi ta baba z listem od pani z Topolina...

IGNACY (*żywo biorąc list*) Od pani z Topolina! (*do Heliodora, rozpromieniony*) Od niej!...
(*do Grzempieleskiego*) A skądże to jest ta kobieta?

GRZEMPIELESKI Akuratnie stamtąd...

IGNACY (*na stronie*) Co ona pisze?... Jak pachnie! (*do Heliodora*) Powąchaj... (*przyłożywszy ukradkiem do ust, otwiera kopertę*) Ciekaw jestem. (*zagląda w list i krzywi się*) Do diabła, po francusku... od guwernantki... Co za głupia myśl... (*czyta polskim akcentem*) „Si vous tenez à obliger une personne qui vous est chère”... (*do siebie*) Oblize? Co to znaczy? Diabli wiedzą... (*do Heliodora*) Przeczytaj no, moja duszeczko, proszę cię, i przetłumacz mi... bo, przyznam ci się, zapomniałem po francusku... Tyle już lat, jak... Proszę cię bardzo.

HELIODOR (*przeczytawszy*) Pisze, żebyś darował winę tej kobiecie i puścił ją wolno... Sprawisz tym pani Klotyldzie przyjemność, za którą będzie rada podziękować ci osobiście... podkreślone...

IGNACY (*uradowany, zaglądając w list*) Podkreślone „osobiście”... śliczny pretekst... Zaraz jadę... Pojedziemy obaj, moje duszeczko... Podwieczorek odłożymy na później... (*do Grzempieleskiego*) Kazać zaprzęgać zaraz do powozu, a tej kobiecie wydać fartuch i chustkę, i niech sobie idzie z Bogiem.

GRZEMPIELESKI Dobrze, proszę łaski pana dziedzica... ale wszelako... według fantowego, co się należy gajowemu...

IGNACY Dobrze, dobrze... Ja mu sam zapłacę...

GRZEMPIELESKI Więc tedy, moim zdaniem, jest także takim, że, ma się rozumieć, oddać...

IGNACY (*niecierpliwiąc się*) Powiedziałem wyraźnie: tej kobiecie wszystko oddać i zaprzęgać do powozu.
(*Grzempieleski wychodzi na prawo*)

SCENA III

IGNACY, PAWŁOWA, HELIODOR.

PAWŁOWA Boże mocny, z panem bo już!

IGNACY Proszę cię, moja kochana, nie wtrącaj mi się w nie swoje rzeczy... Mówiłem ci już nieraz, patrz tego, co do ciebie należy...

PAWŁOWA O, o, jak to już pan będzie nade mną odmawiał.

IGNACY Dajże mi pokój... (*chodzi; po chwili*) Wody do mycia!

PAWŁOWA Już! Panie Boże dopomóż! Będzie się pan moderował gdzieś na hulsztyki!

IGNACY (*nie uważając na to, przegląda się, próbując zarostu na brodzie; do Heliodora, który usiadł na kanapie*) Słuchaj no, może by się ogolić?

HELIODOR Zdałoby się.

PAWŁOWA No, no, niech ino pan tak ciągiem jeździ, niech ino pan tak figuruje, to się tu będzie dobrze działo!...

HELIODOR (*zapisując w notysce*) Wyborna jest... (*do Pawłowej, wstając*) Ale widzicie, moja kobietko, przecież pan ma rozmaite interesa, musi jeździć tu i owdzie...

PAWŁOWA To nieprawda jest. Może siedzieć w domu, kiej mu dobrze...

HELIODOR No, ale przecie kawaler... A gdyby się chciał żenić?

IGNACY (*ciągnąc go*) Cicho!... Daj pokój... To później.

PAWŁOWA (*patrzac niespokojnie panu w oczy*) Oho! To dość na starość rogom rość! (*Heliodor spiesznie zapisuje*)

IGNACY Co ta głupia z rogami... Także wyjechała!... Lepiej cicho bądź i każ mi dać wody do umycia.

PAWŁOWA (*ciągnąc go za rękaw, podczas gdy Heliodor jest przy biurku, z przymileniem, smutno*) Gdzie to pan jedzie?

IGNACY Dlaczego?

PAWŁOWA A, bo może znowu do Topolina?

IGNACY No to i cóż z tego?... Jaka ty dziwna jesteś... (*głaszcząc ją ukradkiem*)

PAWŁOWA (*smutnie*) A bo tam pana zawdy coś ciągnie... Tutaj, w domu, co dzień, to pana ino cień, a w Topolinie to wszystek...

IGNACY (*rozzewniając się*) Jaka ona do mnie przywiązana.

PAWŁOWA (*jak wyżej*) Bo to może i prawda, co ten pan powiedział... (*żywiej*) Żeby pan miał tak zrobić, tobym!...

IGNACY Ale cicho, głupia... przecie ty wiesz... (*szeptec jej do ucha, głaszcząc; po chwili*)
No, no, idź, naszykuj wody...
(*Pawłowa wychodzi na lewo*)

SCENA IV

HELIODOR, IGNACY

HELIODOR (*po chwili odwracając się do biurka i widząc, że Ignacy stoi na środku sceny zamyślony*) Czy już nie jedziemy?

IGNACY (*ożywiając się*) Ale skądże znowu... Jedziemy, jedziemy zaraz... Bardzo jestem kontent z tego zdarzenia... Powiem, że miałem zamiar być najsurowszym i ukarać przykładnie tę kobietę... ale na jedno słowo pani moich myśli... słuchaj no, czy dobrze będzie: „pani moich myśli”?

HELIODOR Dosyc.

IGNACY Jak ty zimno to mówisz... Dziwna rzecz, że mój zapal nie oddziaływa nic a nic na ciebie, duszeczko...

HELIODOR Nie oddziaływa, bo sztuczny... i powtarzam jeszcze raz, na nic się nie zda.

IGNACY Znowu!

HELIODOR Patrzałem dobrze na was spod oka, jakeście przed chwilą z sobą szeptali... Oj! Ta Pawłowa...

IGNACY (*na stronie*) Zdrajca! (*głośno*) Ale cóż z tego... że ma pewne prerogatywy, które zepsuły równowagę, wielkie rzeczy!... Jak cię kocham, rezonujesz, jak ktoś, co nie zna ludzi... a jesteś literat... Widzisz!

HELIODOR Właśnie dlatego, że znam ludzi, widzę, co się dzieje; to pojmuję, że żądasz mego wmięszania się dla pozbycia się jej, bo jesteś słaby i ślamazarny... Ale dlaczego, powziawszy to postanowienie, łudzisz ją jeszcze?

IGNACY Jak to łudzę?

HELIODOR O, tylko nie graj ze mną komedii, proszę cię... mam przecie oczy...

IGNACY (*po chwili, miękko*) Więc cóż mam zrobić?

HELIODOR Działaj otwarcie, bez podstępów. Oddal ją natychmiast, a za wierną służbę wynagrodź, wyposaż.

IGNACY (*po chwili, ponuro*) Pójść, pójdzie sobie... ale pieniądze ciśnie mi pod nogi i robi scenę... Ja ją znam.

HELIODOR Więc taki jest wasz stosunek? To co innego.

IGNACY Cóż chcesz, to samo tak jakoś przyszło.

HELIODOR Nie samo przyszło, tylko z własnej winy uwiążeś po szyję i nie wydobędziesz się tak łatwo z fałszywego położenia... chyba że...

IGNACY Że co?

HELIODOR Hm! Bóg wie, jak ci radzić... Powiesz, żeś wariat... Bo to my wszyscy lubimy się rządzić egoizmem...

IGNACY Egoizmem?... Ja, egoista!... Lubię cię...

HELIODOR Gdy nie troszczysz się o to, jak ona zniesie gwałtowne zerwanie stosunku, który sam zawiązałeś, i myślisz tylko o sobie, zdaje mi się, że to jest czysty egoizm.

IGNACY Ale to łatwo mówić... Wiesz przecie, jakie są względy do zachowania...

HELIODOR Więc kiedy cię to nic nie kosztuje, to zerwij... a im prędzej, tym lepiej...

IGNACY (*na stronie*) Diabła tam nie kosztuje... Żeby on wiedział!... (*chodzi; po chwili, stając*) Czy tylko tę radę miałaś przed chwilą na myśli?

HELIODOR Owszem, wprost przeciwną: ożeń się z nią.

IGNACY Czyś zwariował?

HELIODOR A widzisz, żeś egoista.

IGNACY Ale bój się Boga, palcami by mnie wytykali.

HELIODOR Mój drogi, większe mezalianse zdarzają się co dzień; na najohydniejsze spekulacje matrymonialne patrzymy z pobłażaniem, a nawet nie odmawiamy im uznania. Twój postępek byłby po prostu uczciwym... Zresztą, gdybyś się zajął jej wykształceniem...

IGNACY Ale literat jesteś, bujasz po obłokach.

HELIODOR Za winą musi iść pokuta, bratku.

IGNACY Jaka pokuta? Co za pokuta? Toć byśmy już wszyscy chyba musieli stać się pokutnikami... Gadasz, nie wiedzieć co... Cóż, u diabła, przecież jesteśmy kawalerowie, nie panienki.

HELIODOR (*żartobliwie*) Ha! Kiedy takie są twoje zasady, to chyba chcesz, żebym ci ją zbałamucił, i tym sposobem dał pozór do zerwania.

IGNACY (*ironicznie*) Dobra myśl, gdyby była do wykonania.

HELIODOR Jak to?

IGNACY Nic byś nie wskórał, duszeczko.

HELIODOR Tak pewny jej jesteś?

IGNACY Pewny czy niepewny, jest jeszcze druga kwestia.

HELIODOR Jakaż na przykład?

IGNACY (*ironicznie*) Czy ty możesz być dla niej niebezpiecznym, duszko.

HELIODOR (*urazony*) Za cóż mnie to już masz?

IGNACY Niby nie zgrubiałeś, jak ja... ale... przejrzyj się... jakoś tak... mając egzemplarz do porównania... (*porównywa się w zwierciadle*)

PAWŁOWA (*wchodząc z lewej strony*) Ma pan już wodę.

IGNACY Idę.

HELIODOR (*jak wyżej*) Zarozumialec jesteś.

IGNACY I to do tego stopnia, że zostawiam was samych bez obawy... (*na stronie*) Nie może strawić pigułki... (*idzie na prawo; przy drzwiach zatrzymuje się; do Heliodora*) Nie przebierzesz się, duszeczko?

HELIODOR Pojadę tak, jak jestem.

IGNACY (*śmiejąc się*) Więc życzę szczęścia (*wychodzi na lewo*)

SCENA V

HELIODOR, PAWŁOWA.

HELIODOR (*na stronie*) Nie chodzi mi o to, ale dałbym wiele, żebym mógł mieć prawo śmiać się z niego... (*po chwili*) Zawsze spróbuję... choćby dla jego dobra... (*zbliża się do Pawłowej, poprawiając okularów*)

PAWŁOWA (*śmiejąc się*) Hi, hi, hi... Po kiego licha pan zawdy ma na oczach te śkiełka? (*pokazuje palcem*)

HELIODOR Po licha mam te śkiełka?... Żeby lepiej widzieć ciebie...

PAWŁOWA To pan lepiej widzi bez nie?

HELIODOR Naturalnie — po cóż bym nosił?

PAWŁOWA Bo ja mówiłam, że kto ślepy, to i tak ślepy, choć to założy, a śkiełka to nie od tego, żeby widzieć lepiej, ino żeby się oczy nie psuły.

HELIODOR (*zawsze poważnie*) Słuszna uwaga... Wiesz co, moja kobietko, tak jesteś dowcipna, że mam ochotę wyściskać cię za to... (*prysuwa się*)

PAWŁOWA (*zasłaniając się*) A panu skąd się wzięło?... Taki pan był dotychczas spokojny...

HELIODOR Skąd mi się wzięło? Ja sam nie wiem... Pewno jakim ci się bliżej przypatrzył... (*posuwa się ku niej*)

PAWŁOWA (*jak wyżej*) No, no... Niech się pan obędzie tymczasem...

HELIODOR Bierze mnie ochota pocałować cię.

PAWŁOWA Niech ino pan da pokój... To nieładnie na takiego pana.

HELIODOR Cóż to nieładnego?

PAWŁOWA (*patrząc nań z politowaniem*) Boże kochany, pan też zdalny do umizgów...

HELIODOR (*na stronie*) Cóż u diabła we mnie takiego... Chyba się umówili...

PAWŁOWA (*jak wyżej*) Rychtyg jak Żyd do wiązki siana.

HELIODOR A to porównanie oryginalne... I dlaczegoż to?

PAWŁOWA Taki pan biedny, bledziuchny.

HELIODOR (*urazony*) Biedny, bledziuchny... Otóż, żeby cię przekonać... (*chce ją objąć w pól*)

PAWŁOWA (*rezolutnie*) No, no, bez tego wszystkiego... Bo jeszcze pana zdyfamuję i będzie nieładnie...

HELIODOR (*na stronie, tracąc odwagę*) Zdyfamuję mnie! (*po chwili, na stronie*) Najwidoczniej więcej zyskam notując jej jędrne wyrażenia... (*dobywa książeczkę*) To „Żyd do wiązki siana” było kapitalne. (*siada przy biurku*) Więc powiadacie, moja kobietko, że to nieładnie być bladym?

PAWŁOWA To ino po szlachecku ładnie tak blado, ale u nas to nie...

HELIODOR (*zapisuje*) Nie wiedziałem o tym...

PAWŁOWA A zresztą, czy w szlacheckim stanie, czy w kujawskim, to zawdyk szykowniej, kiej człek tłusty.

HELIODOR Czy w szlacheckim, czy w kujawskim... (*zapisuje*) A wasz Paweł jaki był... Czy także tłusty?

PAWŁOWA E, gdzie tam, wyglądał jak szczypa... wypisz, wymaluj, na pana podobny... (*wskazuje na niego*)

HELIODOR (*krzywiąc się*) To pochlebnie dla mnie! Widzicie, a jednakeście go kochali.

PAWŁOWA A panu kto to powiedział? Właśnie, że nie.

HELIODOR A poszliście za niego.

PAWŁOWA A boć mię ludzie tak zgłupili... Miałam wej takiego chłopaka kiej malowanie, taki był szykowny, zawdyk czerwony na gębie, a takie oczy miał śmieszne... Z samej postury każdemu się podobał.

HELIODOR (*zapisując śpiesznie*) Postury...

PAWŁOWA A jaki był filozof!

HELIODOR Filozof!... Co u diabła... Jak to filozof?

PAWŁOWA Ano filozof... Taki ucieszny, krotofilny... (*Heliodor zapisuje*) A jaki przyścipny do wszystkiego!

HELIODOR (*jak wyżej*) Przyścipny... (*na stronie*) A, to trzeba stenografa.

PAWŁOWA Zapewne! I do Boga, i do ludzi... A jakem się w karczmie zeszi, to hulsztyki takie wyprawiał, że się każdy nie mógł napatrzeć... Oj! Asystował mi, oj, asystował, oj, szeptał do onego ucha... ale ojciec z matulą i wszyscy ludzie, jak mi zaczęli brehtać, kłaść w głowę: a to żeń się z Pawłem, niczego przy nim nie ułakniesz, będziesz chodzić w samych niedwabiach... tak mię też i przerobili na swoje...

HELIODOR (*pisząc ciągle*) Żeście usłuchali...

PAWŁOWA Bogać to człowiek przenikniący, żeby naprzód wiedział, co źle, a co dobrze... chociaż to powiedają, że każdy wdowiec, to jak pies do owiec...

HELIODOR (*jak wyżej*) Więc to był wdowiec?

PAWŁOWA A bogać co! I miał trzy córki, tyle już prawie, co ja; jedna była najstarsza, druga wej średnia, a trzecia najmłodsza.

HELIODOR (*jak wyżej*) Nie może być!

PAWŁOWA (*placząc*) Bodaj on z piekła nie wyjrzał, śleporód, za mnie, biedną sierotę!

HELIODOR (*jak wyżej*) Więc nareszcie umarł?

PAWŁOWA (*szlochając*) Dopiero na jesieni... Będzie temu ze trzy kwartały...

HELIODOR (*śmiejąc się*) Dopiero!

PAWŁOWA (*jak wyżej*) Taki był zgeziały, że ino miał klapnąć, ledwie łąził, ady jednak żył kilka lat... Ale nie mogłam z nim wysiedzieć i dawno rozeszlim się z kupy... Jakem się żeńska, mój duch zaraz przeczuwał, że to tak będzie.

HELIODOR (*pisząc*) Może was bił?

PAWŁOWA E, żeby, toby nic nie było. Toć to powiedają, że jak chłop kobiety nie bije, to w niej wątroba gnije...

HELIODOR (*jak wyżej*) Tego nie słyszałem...

PAWŁOWA I że każda dopiero dobra, jak ją bez dziesięć progów przewlecze...

HELIODOR (*notując pilnie*) Ale on was nie włóczył?

PAWŁOWA E, gdzie tam... On był taki nijaki... Jak przyłaził do mnie, kiej się miał żenić, to bywało, on nic nie mówi i ja nic nie mówię... siedziemy kiej dwa samsony.

HELIODOR (*jak wyżej*) Więc to był niezły jakiś człowieczyna...

PAWŁOWA Toć... taki, do niczego... Ino tym jego córuchnom byłam na zawalisku... Wszystkie trzy takie tarachy, trzepaki, cud boski wyrabiały, już mi się nieraz w głowie kołowrociło — a najbardziej najstarsza, niezawarte piekło z nią miałam... silna zapieka, a nygus! za gruby koniec nie wzięła, ino letki chlebek jej pachniał... Co dzień, bywało, wybryńduje się, ustroi, dwie watówki wetknie na się, żeby była rześista, i dalej do karczmy — po całych dniach się wałęzgała — a na mnie bij zabij, jak to bywa, że kto sam w piecu lega, to kogo ożogiem sięga.

HELIODOR (*jak wyżej, na stronie*) A to skarbnica niewyczerpana.

PAWŁOWA Cóż! Ja tam panu tak tylko z trzeciego powiedam, ale żeby tak wszystko popowiedała...

HELIODOR Mówcie, mówcie, moja Pawłowa... Tak dobrze mówicie...

PAWŁOWA Nie mówię, ino powiedam... Mówić, to, o co komu... jak to pan zaraz przekrętnie powie...

HELIODOR (*zapisując*) Wszystko jedno — powiadajciez dalej...

PAWŁOWA E, co tam, bądź co powiedać... Pan się jeszcze wyśmiej...

HELIODOR Ale gdzież tam, owszem, żałuję was... Więc powiadacie, że tak wam te pasierbice dokuczały...

PAWŁOWA Bogać nie, a najbardziej najstarsza... nic, ino owe grajatyki, owe tańce, ostatni grosz czasem wyniesła do karczmy — choć ciała urznać, a duszę posilić; a mnie nie wolno było do niczego; i co miałam chodzić w niedwabiach, to na wszystko musiałam ino patrzeć z daleka, jak ona gapa w gnat.

HELIODOR (*zapisuje z admiracją*) Jak gapa w gnat! Co to za dosadność!

PAWŁOWA Ale czekajcie! Dłużej mojego ubóstwa niż czyjegoś państwa...

HELIODOR (*jak wyżej*) No, a cóż się zrobiło z tym waszym pierwszym, co to był czerwony na gębie... (*zaglądając do notat*) i przyscipny...

PAWŁOWA I on nic potem, choć pisał się takim przywiązaniem. Świadomo Bogu i ludziom, że płakałam za nim, o on, śleporód, nie wyszło trzy miesiące, ożenił się z drugą. Te mężczyzny to nie uszły psa.

HELIODOR (*jak wyżej*) Wszędzie i zawsze jedna historia.

PAWŁOWA I jeszcze wziął taką sztabę, chałdygę, że Boże zmiłuj się... Do karczmy, bywało, jak wlezie, to stoi, kiej zatyka.

HELIODOR (*jak wyżej*) Dlaczego?

PAWŁOWA A bo nikt jej nie chciał wziąć w taniec; miała odbyć rychtyg kiej śledziowa główka w Wielką Niedzielę.

HELIODOR (*jak wyżej*) I żyją z sobą dobrze?

PAWŁOWA A toć jest dzieci kiej u Żyda czapek... (*po chwili, z płaczem*) A ja wyszłam kiej panna z tańca... ni dziewucha, ni wdowa, ino ludzka obmowa... (*płacze*) O mój Boże, mój Boże!

HELIODOR No, przecie teraz już jesteście naprawdę wdowa, a przy tym trafiliście na dobrego pana, nieprawdaż?

PAWŁOWA (*przestawszy płakać*) Toć zapewne, że dobry.

HELIODOR I mnie się zdaje, że wam u niego lepiej, niż żebyście byli poszli za tego swojego z czerwoną gębą.

PAWŁOWA Jakby pan wiedział. Co się mam zapierać.

HELIODOR (*wstając*) A nie wywdzięczacie mu się za jego dobre... Widziałem sam nieraz, że robicie mu na złość, nie słuchając go, on każe tak, a wy siak.

PAWŁOWA (*naiwnie*) Ja go i tak kocham...

HELIODOR (*na stronie*) Masz tobie, to już widzę, dalej zaszło niż myślałem... (*głośno*) No, a powiedzcież mi, jak będzie, gdy się ożeni...

PAWŁOWA A jemu co po żonie?

HELIODOR No, jużci, nic by dziwnego nie było... kawaler, ma majątek...

PAWŁOWA Niech pan tak nie gada, bo mi zaraz markotno...

HELIODOR Ale widzicie, moja kobieto, musicie sobie wyperswadować, że to jednak kiedyś do tego przyjść może... i przyjdzie z pewnością... Powinniście mieć rozum i nie sprzeciwiać mu się...

PAWŁOWA (*po chwili, wybuchając płaczem*) To kochanie, śleporód, to gorsze kiej choroba... Na chorobę są leki, a to jak człowieka ogarnie, to rady sobie dać nie może...

HELIODOR (*na stronie*) U! źle... skłonna do płaczu... jeżeli z nim często używa tej broni, to padam do nóg... on taki mazgaj... (*głośno*) Czegoż płaczecie u licha?

PAWŁOWA A bo mi tak jakoś matyjaśnie!

HELIODOR (*biorąc notyskę*) Jak to, matyjaśnie?

PAWŁOWA A bo to pan nie rozumie?... Czy nieprzyjemnie, czy dziwacznie, czy matyjaśnie, to wszystko jedno... (*płacząc znowu*) Wolalabym wej zaraz śmierci pozbyć, niż cobym miała tego doczekać.

SCENA VI

HELIODOR, PAWŁOWA; IGNACY wystrojony z parafiańska, w tużurku, wchodzi triumfalnie z lewej strony.

IGNACY No, jestem!... (*idzie do zwierciadła i zakręca wyczernione wąsy; ogląda się i spostrzega Pawłową*) A ty czegoś znowu beczała?

PAWŁOWA (*z uśmiechem zza łez, patrząc na niego z uwielbieniem*) I nie mają to panny wej pana kochać!

IGNACY (*zadowolony do Heliodora*) Patrz, jak ona mi oddaje sprawiedliwość! (*głaszcze ją po twarzy, ona tuli jego rękę do ust i całuje; do Heliodora, szyderczo*) No i jakże ci poszło?

HELIODOR Doskonale.

IGNACY No, no gadaj!

HELIODOR Mam pełno notat.

IGNACY Chyba, to co innego... O! Ona jest niewyczerpana... a prawda, że dowcipna, co? (*głaszcze Pawłową*)

PAWŁOWA (*po cichu, błagalnym tonem*) Gdzie pan jedzie?

IGNACY (*spotkawszy jej spojrzenie, na stronie*) Żal mi jej... (*głośno*) Gdzie... gdzie... z wizytą...

PAWŁOWA (*jak wyżej*) Tak się pan wystroił, to pewno do Topolina...

IGNACY No, chociażby tak, to cóż?

PAWŁOWA Pan ciągiem tak jeździ, a ja tu sama ostaję, kiej utrapiona...

IGNACY Ale dajże mi pokój.

PAWŁOWA Jak pan wyjedzie, to przecie ani Boże daj powrócić, zaraz długo w noc siedzieć...

IGNACY (*głaszcząc ją*) Ale gdzież tam, powrócę wcześniej... (*do Heliodora*) No, jedźmy...

HELIODOR (*cicho*) Słuchaj, Ignacy, lepiej dajmy pokój, bo się to na nic nie zda.

IGNACY O, nudny jesteś.

HELIODOR (*jak wyżej*) Przepowiadam ci, że, czy chcesz, czy nie chcesz, skończy się na tym, że zrobisz tak, jakem ci radził.

IGNACY Sam nie wiesz, co gadasz, duszeczko... No, służę ci... (*wyprawia go naprzód, oglądając się mimo woli na Pawłową, z progu ostrożnie przesyła jej od ust pożegnanie, a widząc, że ona niby tego nie uważa, woła po cichu*) Marysia, pst! Marychna!

PAWŁOWA (*dąsając się*) Nie potrzebuję... (*po chwili, nagle podbiega i ciągnie go na przód sceny*) A to kto widział, tak się żegnać z daleka... (*rzuca mu się na szyję*)

IGNACY (*zakłopotany, oglądając się na drzwi*) Głupia, pognieciesz mi gors... będę wyglądał Bóg wie po jakimu...

PAWŁOWA (*namiętnie*) Ja pana i tak kocham!

IGNACY (*jak wyżej*) Jeszcze kto zobaczy...

PAWŁOWA (*z wyrzutem*) Jak się to pan wej będzie wstydził!

IGNACY (*jak wyżej*) No, już dosyć... bądź zdrowa, bo tamten czeka...

PAWŁOWA (*przymilając się*) A wróci pan dzisiaj?

IGNACY Ale wrócę, mówiłem ci... Cóż, u diabła, nie wierzysz mi...

PAWŁOWA (*unosząc się*) Bo pan taki faryzeusz, taki przedajbóg!... co innego pan gada, a co innego ma na myśli...

HELIODOR (*we drzwiach, w okryciu i kapeluszu*) No, jedziemy, czy nie?

IGNACY (*zakłopotany*) Krawat mi poprawiała... (*wychodzą*)

SCENA VII

PAWŁOWA (*sama*) Jak odejdzie i tak sama wej ostanę, to nie mam wskórania, tak mi jakoś tęga... (*śpiewa, porządkując po pokoju*)

Płynie woda po kamieniach
W dolinie,
Oj, przykrzy się bez Jasieńka
Dziewczynie;
Kaj ty mi się, kochaneczku,
Obracasz,
Że tak długo do twej Maryś
Nie wracasz?
Oj, żebym ja ptasich skrzydeł
Dostała
I Jasieńka, gdzie pojechał,
Dognała,
Oj, skryć by się chciał przede mną
Daremnie.
Zobaczyłabym, czy tęskni
Beze mnie.
A jeśli on nie dba o mnie
Mój Boże,
Wróć do dom, w zimny grób się
Położę.
Może z grobu nieszczęśliwa
Zobaczę
Że on za mną, chociaż wtedy,
Zapłacze.

Już mi mój jankluz powie, że on tam niedarmo jeździ... Mój Boże, mój Boże, biedna ja sierota...

SCENA VIII

PAWŁOWA, GRZEMPIELESKI.

GRZEMPIELESKI (*wchodząc z prawej strony, z inną miną niż w drugiej scenie*). Pojechali sobie... Pani Pawłowa teraz sama...

PAWŁOWA (*zamyślona*) To i cóż z tego?

GRZEMPIELESKI Nic... tylko, że to już, ma się rozumieć, parę godzin od obiadu, więc zdałoby się pomyśleć względem podwieczorku.

PAWŁOWA (*ruszając ramionami*) Nie wiem, co się pan Grzempieleski tak teraz w to jadło włożył — ciągiem jeść i jeść.

GRZEMPIELESKI (*siadając na kanapie*) Moja pani Pawłowa... Przecież to, jak się mówi, człowiek na to je, żeby żył, czyli raczej na to, żeby jadł; więc tedy, ma się rozumieć, jak je, to żyje, a im lepiej je, tym lepiej żyje... to każdy wie...

PAWŁOWA Ady i ja wiem, że pan aby na dobre jadła patrzy...

GRZEMPIELESKI Ale jak dostanę kawy z gęstą śmietanką, to coś powiem.

PAWŁOWA Zawdy pan Grzempieleski chce ino tej śmietanki gęstej... ady pan już i tak tłusty kiej lepa...

GRZEMPIELESKI Ale coś powiem i, ma się rozumieć, ciekawego...

PAWŁOWA Co takiego? Czemuż pan Grzempieleski nie gada?

GRZEMPIELESKI A kawa?

PAWŁOWA Toć się już grzeje... zaraz będzie... Ale pan cygani...

GRZEMPIELESKI Broń Boże! Ma się rozumieć, powiem, jeśli mi będzie smakowała.

PAWŁOWA Oj, szpekulantny pan Grzempieleski, oj, szpekulantny! Oj, mądry! (*wychodzi na prawo*)

SCENA IX

GRZEMPIELESKI (*sam; wstaje*) Zapewne, że szpekulantny i mądry... Muszę, ma się rozumieć z nią dziś skończyć... Trzeci rok tu już jest musiała coś uciuć... Trzeba kuć żelazo, póki gorące... (*idzie do biurka*) Warto by wypalić cygarę... Stary może gdzieś zostawił... (*szuka pomiędzy papierami*) Akurat są dwie... jedną trzeba zostawić dla niepoznaki... albo nie, wezmę obie... Jak nie będzie miał na oczach, to, ma się rozumieć, sam nie przypomni... O, i papierosy są... (*bierze kilka; przegląda rejestra, notatki, niektóre chowa do kieszeni*)

SCENA X

GRZEMPIELESKI, PAWŁOWA.

PAWŁOWA (*niosąc kawę i chleb z masłem*) Co tam pan Grzempieleski grzebie na biurku, nie widzieć czego... Pan, jak pozna, to się będzie jadował...

GRZEMPIELESKI Nic nie szkodzi... pani Pawłowa, ma się rozumieć, go umityguje.

PAWŁOWA Ale kiej nie potrzeba... Co tu leży, to niech sobie leży.

GRZEMPIELESKI (*zasiadając do kawy, na stronie*) Mrucz sobie, mrucz... (*zapija i zajada łakomo*)

PAWŁOWA (*na stronie*) Ciekawość, co on ma mi powiedzieć. (*kręci się*)

GRZEMPIELESKI (*spoglądając na nią spod oka*) Hm, hm!

PAWŁOWA Co?

GRZEMPIELESKI (*z pełnymi ustami*) O, jak to pani Pawłowa chciałaby się prędzej dowiedzieć.

PAWŁOWA Ja tam nie ciekawa.

GRZEMPIELESKI Albo to prawda! Co by to za kobieta była?

PAWŁOWA No, no, lepiej, co pan Grzempieleski ma na myśli, niech psom ciśnie.

GRZEMPIELESKI Szkoda by było, boby się pani Pawłowa nie dowiedziała.

PAWŁOWA To nie!

GRZEMPIELESKI Ha, kiedy nie, to nie!

PAWŁOWA Z panem Grzempieleskim to jakby w farynę grał... Ani raz do rychtu nie można przyjść...

GRZEMPIELESKI (*skończywszy jeść i wstawszy*) No, niech tam! Powiem... ale, ma się rozumieć... (*kryguje się, chrząka*) Hm, hm... niech pani Pawłowa zgadnie...

PAWŁOWA Bogać to człowiek przenikniący, żeby mógł zgadnąć.

GRZEMPIELESKI Oto mam dla pani Pawłowej kawalera.

PAWŁOWA A mnie co po kawalirach?

GRZEMPIELESKI Pani Pawłowa inaczej gada, a inaczej by rada... Przecie teraz, kiedy, ma się rozumieć, już prawie rok jak nieboszczyk umarł i żałoba wychodzi, toć przecie... Jak się nazywa... Com chciał mówić... (*na stronie*) Wcale się nie cieszy... Co to jest?

PAWŁOWA No i co takiego?

GRZEMPIELESKI Że kiedy ręce rozwiązane, toć tak nie zostaniecie... A kawaler, ma się rozumieć, gdyby lala...

PAWŁOWA I jaki to kawalir?

GRZEMPIELESKI (*z gracją*) A to ja!

PAWŁOWA Pan Grzempieleski! (*śmieje się, patrząc na niego*) To też dopiero!

GRZEMPIELESKI (*na stronie*) Śmieje się, to, ma się rozumieć, dobry znak... (*po chwili*) Widzi pani Pawłowa, ja tak sobie myślę; ożeniemy się, pani Pawłowa ma łaski u dziedzica, to ja zostanę, ma się rozumieć, rządcą, a pani Pawłowa będzie sobie panią Grzempieleską i panią rządczynią... co?

PAWŁOWA (*zamyślona*) Ho, ho, rożenki strugać, a ptaszki w lesie!

GRZEMPIELESKI Cóż by to złego było?... Czy to nie mogę być rządcą?... Jestem, ma się rozumieć, piśmienny...

PAWŁOWA (*jak wyżej*) Wielkie rzeczy! Kto się zna na piśmie, ten się najbarzej do piekła ciśnie.

GRZEMPIELESKI Ja wiem, że niewielka rzecz, bo pani Pawłowa, chociaż niepiśmienna, ale ma więcej rozumu w głowie niż, ma się rozumieć, niejeden w tym małym palcu... Ale jak się takich dwoje mądrych pobierze, to, ma się rozumieć, będzie mąż i żona, aż miło... czy nieprawda?

PAWŁOWA (*śmiejąc się*) Wie dziad i baba, że w niedzielę święto... A toć nie co, ino mąż i żona.

GRZEMPIELESKI (*na stronie, ucieszony*) Zgadza się!... (*przysuwając się*) Więc, ma się rozumieć, zgoda!

PAWŁOWA (*odsuwając go*) Obędzie się cygańskie wesele przez marcypanu...

GRZEMPIELESKI Jak to! Nie chcecie?!... A to dlaczego?

PAWŁOWA O! Dajcie mi ta pokój... Moje sumienie tego nie skazuje, i basta!

GRZEMPIELESKI A to dlaczego?

PAWŁOWA (*zniecierpliwiona*) Dlaczego, dlaczego — no, dlatego, że nie! (*zabiera szklankę itd. po kawie i wychodzi na prawo*)

GRZEMPIELESKI (*sam*) Niechże cię siódma skóra zabol!... Ostatnia kompromitacja mię ogarnęła... Czekaj, babo, nie daruję ci!... (*do wracającej Pawłowej*) Niech się pani Pawłowa lepiej namyśli póki czas, bo jak dziedzic się ożeni i dziedziczkę do domu sprowadzi, to pani Pawłowa nie będzie długo tu popasać...

PAWŁOWA (*rozirytowana*) A ty skąd wiesz o tym? Widzisz go, będzie plotki znosił! Pan się żeni, to żeni, a komu to zasię do tego!

GRZEMPIELESKI (*cofając się*) No, no, ostrożnie, bo mi oczy wydrapiecie — a ja, ma się rozumieć, chciałbym się jeszcze przypatrzeć, jak będziecie się wynosić z manatkami... (*po chwili*) No więc, ostatni raz, zgoda między nami czy nie?

PAWŁOWA (*na pół z płaczem*) Niech pan Grzempieleski idzie sobie z Panem Bogiem i da mi święty pokój.

GRZEMPIELESKI Nie, to nie — niech was tam pies płacze, bo ja nie będę... Ale wyjdziecie źle na tym, przepowiadam... (*spojrzawszy w okno*) Oho! Patrzcie państwo, jak to tu wali prosto gubernantka z Topolina... To się coś święci nie na żarty... (*wychodzi spiesźnie drzwiami na prawo; odwracając się z progu*) Radzę się jeszcze namyśleć... (*Pawłowa, która także przyszła do okna, opiera na nim głowę i płacze po cichu*)

SCENA XI

PAWŁOWA, PANNA EULALIA.

EULALIA (*wchodzi głębia*) Korzystałam z tego, że Klotylda wyjechała na parę godzin do prezesowej i wymknęłam się niby na spacer... (*gadaliwie, chodząc po scenie*) Muszę się rozmówić z panem Ignacym i skończyć raz... Byle tylko zdobył się na krok stanowczy, to interes już zrobiony. Klotylda nie jest od tego.

PAWŁOWA (*u okna*) Co ona tu będzie tak spacerować i murgotać... (*otarłszy oczy, przybliża się i przygląda jej się*)

EULALIA Boże kochany, co to za nieznośne stworzenia ci starzy kawalerowie; zdawałoby się, że powinni być kuci na wszystkie cztery nogi, tyle przeszedłszy... Gdzie tam!... Ten na przykład, jak malowany, ani be ani me — ust przy Klotyldzie nie umie otworzyć, jak Bożię kocham... Co to za różnica od nas, panien dojrzałych... (*spostrzega się*) Bodajże cię, wymknęło mi się... (*do Pawłowej*) Moja dziewczyno, jest pan?

PAWŁOWA Dziewczyno! Kto pani powiedział, że ja dziewczyna!... Ja taka dziewczyna, jak i pani...

EULALIA (*z godnością*) Jestem panną, rozumiesz?

PAWŁOWA Kaduk tam wiedział!... Ja jestem sobie kobieta jak się należy... wdowa.

EULALIA A więc moja kobiecino, jest pan?

PAWŁOWA Nie ma.

EULALIA Nie ma! Co za szkoda! Gdzież pojechał?

PAWŁOWA Katać ja go patrzę, gdzie jeździ.

EULALIA (*na stronie*) Zaczekam... może pojechał tylko do Topolina i zminęliśmy się w drodze, bo udałam się umyślnie przez lasek... (*znowu chodzi*) Skoro Klotylda jest gotowa, kolczyki jakbym miała w kieszeni... A może i co więcej oberwę — może wtenczas nareszcie ten zdrajca, Anastazy, przestanie się wahać i klęknie przede mną... Głupiec!... Za błogosławieństwo boskie powinien by sobie uważać pozyskanie za żonę kobiety takiej jak

ja!... Mężczyźni są ślepi, jak Bożię kocham... *(do Pawłowej)* Moja kobieto, czego się tak na mnie patrzysz?

PAWŁOWA Przecie nie schowam oczu do kieszeni.

EULALIA *(na stronie)* Uu! Ma gębę od ucha do ucha... *(głośno, obrażonym tonem)* Co? Jakiś powiedziała?

PAWŁOWA Świat nie po temu, żeby powtarzać dwa razy głuchemu.

EULALIA *(na stronie)* Impertynencję mi gada, chce mnie się pozbyć, jak Bożię kocham... To pewno ta, co o niej słyszałam... *(przygląda się)* Fe! to gust dopiero!... Jacy ci mężczyźni...

PAWŁOWA Co mi się pani będzie tak przyglądać?

EULALIA Samaś powiedziała, że nie można schować oczu do kieszeni.

PAWŁOWA A to pani słyszała, a pytała się drugi raz...

EULALIA *(na stronie)* Jak Bożię kocham, irytuje mnie... Jednak trzeba by ją wymiarkować... a w razie potrzeby ugłaskać... Może ona tu więcej znaczy, niż ja myślę... *(po chwili głośno)* Moja kobieto, macie dobrego pana, prawda?

PAWŁOWA Nie byłam tam, gdzie prawdę rozdawają.

EULALIA *(na stronie)* Świętej cierpliwości trzeba, jak Bożię kocham... *(głośno)* Musi tak być, bo wszyscy na parę mil wokoło powtarzają, że dobry...

PAWŁOWA Jak dla kogo...

EULALIA Kiedy dla wszystkich dobry, to tym bardziej dla was...

PAWŁOWA Jaki jest, to jest, co komu do tego.

EULALIA Już ja wiem, wiem, jakbym patrzała, ale też myślę, że mu za to dobrze życzyacie i że chcielibyście, żeby mu było jak najlepiej.

PAWŁOWA Albo mu to źle?

EULALIA Zawsze, widzicie, szkoda, że taki człowiek, co ma i majątek, i jeszcze żwawy, tak najlepsze lata marnuje na kawalerstwie — ludzie powiadają, że żyje jak pustelnik i że brak mu nieraz najniezbędniejszych wygód...

PAWŁOWA Ten głupi, co to powiedział, i ten, co powtarza.

EULALIA *(na stronie)* Jak Bożię kocham, nieznośna baba... *(głośno)* Czy to prawda, czy nie, zawsze szkoda, że się nie żeni... *(po chwili, poufnie)* A i wy byście lepiej na tym wyszli.

PAWŁOWA *(na stronie)* Widzita! Jaki to faryzeusz... *(głośno)* A to jakim sposobem?

EULALIA Już ja bym w tym była.

PAWŁOWA Ale ciekawość, co to wej pani do tego?

EULALIA Widzicie, życzę mu dobrze i chciałabym go uszczęśliwić, łącząc z osobą, którą kocha.

PAWŁOWA (*na stronie*) Czekaj, zaraz ty tu zapomnisz języka w gębie... zmyślę, ale niech tam! (*głośno*) I komu to tak pani rajfuruje?

EULALIA (*ze zgrozą*) Rajfuruje!

PAWŁOWA Może komuś z Topolina?

EULALIA Komuś z Topolina! A wy skąd to wiecie?

PAWŁOWA Tak sobie pomyślałam... bo jeszcze dzisiaj słyszałam, jak powiedział mój pan do tego pana, co tu siedzi, że tam jakaś gubernantka ząbki sobie na niego ostrzy.

EULALIA Guwernantka! Kto to mówił? Kiedy mówił?

PAWŁOWA Ady powiem, że mój pan.

EULALIA (*na stronie*) On to mówił!... Co to znaczy? Jak Bożę kocham, nic nie rozumiem.

PAWŁOWA (*na stronie*) Widzisz, jak to ta mruczysz!

EULALIA I cóż więcej mówił?

PAWŁOWA A cóż? Śmiał się.

EULALIA Śmiał się!

PAWŁOWA Powiedział: — Czy ona myśli, że ja oczu w głowie nie mam?

EULALIA Oczu w głowie!

PAWŁOWA Ale nawet nie śmiem dalej powiedzieć.

EULALIA (*chwyając ją za rękę*) Mówcie, mówcie wszystko... wysłucham mężnie.

PAWŁOWA Bo jeszcze pani powtórzy komu, abo co.

EULALIA Nikomu, jak Bożę kocham!

PAWŁOWA Powiedział do tego pana, co tu siedzi: — A tobym się opatrzył! Babsko stare kiej świat...

EULALIA Kto babsko stare?

PAWŁOWA A juścić ta gubernantka... A do mnie rzekł: — Nie bój się, abo mi to z tobą źle, żebym się miał żenić.

EULALIA O zgrozo!

PAWŁOWA A jakbyś zobaczyła... ino że ja jej nie znam... że ten stary klak tu jedzie, to daj mi zaraz znać, żebym się schował przed nią.

EULALIA Stary klak!... Kto stary klak?

PAWŁOWA A jużci ta...

EULALIA (*zatykając jej usta*) Nie mów!... Profanacja!... (*na stronie, w poruszeniu*) Stary klak!... Ja!... (*spostrzegając wchodzących: Ignacego i Heliodora, mdleje*) Ach! ach! ach!

SCENA XII

HELIODOR, PAWŁOWA, IGNACY, EULALIA.

IGNACY Panna Eulalia! Co się tu dzieje?

PAWŁOWA Abo ja wiem?

IGNACY Co jej się stało?... Zemdląta!

PAWŁOWA Co jej ta będzie! Złego lichy nie weźmie.

IGNACY Musiałaś jej tu coś powiedzieć... niezawodnie! Głupstw nagadałaś... Zemdląta naprawdę!... Jeszcze mi tu zachoruje albo umrze.

PAWŁOWA Olaboga! Nie zrobiłaby się w niebie dziura, ino na ziemi góra.

IGNACY Trzeba ją ratować. (*cuci ją*) Dawaj wody... prędzej!...
(*Pawłowa przynosi karafkę i leje na Eulalię*)

EULALIA (*spazmując*) Ach! ach! ach!

IGNACY Bójcie się Boga, może by rozsznurować.

EULALIA (*jak wyżej*) Ach! ach! ach!

PAWŁOWA Zaraz ja ją tu roztrzyżwię... (*krzyczy jej w ucho*) Trrr...

EULALIA (*zrywając się*) Ach! Cóż za nieznośna baba! (*wierci palcem w uchu*)

IGNACY (*chcąc ją wziąć za rękę*) Na Boga, co się stało?... Panno Eulalio!

EULALIA (*odskakując*) Idź pan sobie... Nie dotykaj się mojej ręki... (*Ignacy, nie rozumiejąc, patrzy po wszystkich; gwałtownie*) Jesteś pan niegodziwiec, potwór! Bałamucić dwie kobiety, a potem je obgadywać!

IGNACY (*osłupiały*) Dwie kobiety!

EULALIA Co mówię dwie... trzy kobiety... (*gestem dramatycznym wskazując Pawłową, ironicznie*) Bo i to, jak się przekonałam, jest przedmiot twoich westchnień i czarnych machinacji.

IGNACY Ale jak panią poważam...

EULALIA Nie zaklinaj się pan!... Wiem wszystko... Stary klak!

IGNACY (*oburzony*) Ja, stary klak!

HELIODOR (*na stronie, śmiejąc się*) Uderz w stół, nożyce się odezwą.

EULALIA O! Zemszczę się, nie daruję!... Klotylda wszystko wiedzieć będzie!... Dowie się, że o włos nie stała się ofiarą najobłudniejszego z świętoszków!... Dowie się, w kim ma szczęśliwą rywalkę...

IGNACY (*zniecierpliwiony*) Jaką rywalkę, do milion diabłów!

EULALIA (*majestatycznie*) Diablami sady!... O, dobrana z was będzie para... ona także to potrafi... możecie sobie dać buzi... dalej!... przy mnie!... nie żenujcie się!... owszem! będę miała więcej co opowiadać...

IGNACY (*trzęsąc się z gniewu, do Pawłowej*) Gadaj mi, co się tu stało!
(*ta się odwraca, skubiąc fartuch z figlarną miną*)

EULALIA Co się stało? To się stało, że nie potrzebuję pańskich kolczyków... Dostanę je od Klotyldy, gdy jej powiem, że mi je pan ofiarowałeś za pomaganie mu do schwycenia jej w swoje sieci... Ale wybij ją pan sobie z głowy, bo (*uroczyście*) jakem Eulalia Trajkotkiewiczówna... tu mi włosy na dłoni wyrosną, jeżeli pan ją dostaniesz... A d i e u! Uniżona służga!... (*wychodzi drzwiami w głębi; odwracając się z progu*) Do prędkiego niewidzenia się!... Potwór!... (*wychodzi*)

SCENA XIII

PAWŁOWA, IGNACY, HELIODOR.

IGNACY (*po chwili osłupienia, do Pawłowej*) Tyś pewno jej co tu nagadała.

PAWŁOWA Nagadałam, to nagadałam — niech pan będzie kontent, że sobie odeszła... (*odchodzi ku drzwiom na prawo*)

IGNACY Ale co? Ja muszę wiedzieć!

PAWŁOWA (*figlarnie*) Nie powiem... Niech pan jedzie do Topolina i zapyta jej się.

IGNACY Ta kobieta do wściekłości mię przyprowadzi... (*przyskakuje do niej z zaciśniętymi pięściami*) Powiesz, czy nie?

PAWŁOWA Nie powiem! (*wybiega na prawo*)

IGNACY Niegodziwa!... (*wybiega za nią*)

SCENA XIV

HELIODOR (*sam; po chwili*) O b s t u p u i!... Teraz widzę, że sama da sobie radę i sprowadzi rozwiązanie, jakie mu przepowiadałem... (*słuchać za sceną krzyki Ignacego i płacz Pawłowej: - O mój Boże! Mój Boże! Laboga, rety!*) Ale tymczasem on ją tam chyba zabije!... Wyleciał za nią wściekły... (*chce iść za nimi, a wtem tymi samymi drzwiami wchodzi Ignacy, ciągnąc za sobą płaczącą Pawłową*)

SCENA XV I OSTATNIA

PAWŁOWA, IGNACY, HELIODOR.

PAWŁOWA (*zanosząc się od płaczu*) O mój Jezu, mój Jezu! Laboga, rety!... Pan mię jeszcze zabije... Ratujta ludzie!

HELIODOR (*odciągając Ignacego*) Mój kochany, zastanów się, przekonaj się najprzód, jak było...

IGNACY Dajże mi pokój!

PAWŁOWA (*jak wyżej*) O mój Boże! Mój Boże!

HELIODOR Nie pozwolę na to.

IGNACY Idźże do diabła, mówię ci.

HELIODOR Gniewaj się, albo nie gniewaj...

IGNACY Nie doprowadzaj mię do ostateczności.

HELIODOR Nie bądź wariatem! (*szarpia się*)

PAWŁOWA (*innym tonem, bez śladu płaczu, ostro do Heliodora*) Czego pan będzie nos między nas wtykał... Pogniwamy się, to się pogodziemy i kwita... A panu zasię od tego!

HELIODOR (*osłupiały*) A to kapitalne, wicie państwo... tego rysu mi brakowało... (*zapisy*)

IGNACY (*na stronie*) Żal mi jej... zawsze to dowodzi przywiązania... (*chodzi, patrząc spod oka na Pawłowę; po chwili*) No, powiesz? (*głaszcząc ją*)

PAWŁOWA (*z uśmiechem, choć zadąsana*) Pewnie za te siniaki, co mi pan porobił.

IGNACY Zagoją ci się... Nie bój się...

PAWŁOWA A juści!

IGNACY (*głaszcząc ją ukradkiem przed Heliodorem*) No, przeproś mnie... (*podaje jej rękę do pocałowania; ona odwraca się*) Przeproś zaraz... (*unosząc się*) Co ty mi zawsze nadokuczasz!

PAWŁOWA (*półgłosem*) Ja i tak pana kocham.

IGNACY (*spojrzawszy na Heliodora*) Cicho! (*Pawłowa całuje jego rękę kilkakrotnie*) głupia... (*głaszcząc ją; po chwili*) A gdybym też był, uniosłszy się naprawdę, wyrzucił cię z domu i wybił tak, żebyś się ruszyć nie była w stanie?

PAWŁOWA (*patrząc na niego tkliwie*) Tobym się pozbierała, jak mogła... i przywlekła chociaż pode drzwi.

IGNACY (*wzruszony, na stronie*) Rozbeczę się, jak mi Bóg miły... (*głośno*) Obmyj sobie oczy, bo ci napuchną... i nos ci się zaczerwienił... widzisz!

HELIODOR (*zapaliwszy cygaro, siada przy biurku*) Mój Ignacy, teraz jestem pewny, że prędzej czy później ziści się moja przepowiednia... A nawet więcej jeszcze powiem: będziesz najdoskonalszym pantoflem.

IGNACY Zobaczmy, zobaczymy... (*na stronie*) Prawdę powiedziawszy, teraz to już wszystko jedno... Ta plotkarka będzie wszędzie trąbić... Nosa nie będę mógł nigdzie pokazać... (*po chwili*) Zadrwię ze wszystkich! (*do Pawłowej półgłosem*) Marychna... dobrze zrobiła... nie pożałujesz tego! (*szepce jej po cichu; ona przyklęka i obejmuje jego kolana; on kładzie rękę na jej głowie; z triumfem i ironią spoglądając na Heliodora*) Ja, pantofel!!

K o n i e c

PAN DAMAZY

KOMEDIA KONKURSOWA W CZTERECH AKTACH

*J.I. KRASZEWSKIEMU
w dowód głębokiej czci,
wdzięczności za zachętę
przy stawianiu pierwszych kroków
poświęca
Autor*

OSOBY

PANI ŻEGOCINA
PANI TYKALSKA, jej siostra
SEWERYN, ich siostrzeniec
ANTONI, jak wyżej
DAMAZY ŻEGOTA
HELENA, jego córka
BAJDALSKI, rejent
GENIO, jego syn
MAŃKA
JAN, lokaj

Rzecz dzieje się na wsi w domu Żegocinej

AKT PIERWSZY

Scena przedstawia pokój; drzwi główne w głębi do przedpokoju; boczne po obu stronach; z lewej strony, nieco na przodzie, kanapa, poza nią biurko itd.; po prawej zwierciadło stojące i okno.

SCENA I

SEWERYN leży na kanapie, z książką w ręku, i pali papierosa. ANTONI, także z papierosem, wygląda oknem.

SEWERYN *(po milczeniu)* Dobrze się bawimy, co?

ANTONI *(budząc się z zamyślenia, żartobliwie)* Hm, napadło nas jakieś grobowe milczenie.

SEWERYN Co u ciebie jest rzeczą fenomenalną.

ANTONI Co tam! No, słuchaj, mieliśmy iść na kaczki, zabieraj się.

SEWERYN Nie chce mi się.

ANTONI *(biorąc dubeltówkę stojącą w głębi)* A niech cię też! Jaką z ciebie babę zrobili, dają słowo... Boisz się nóg zamaczać, czy co?

SEWERYN E, nie plótlbyś.

ANTONI Nic innego, zapewne ciotka zabroniła swemu beniaminkowi polowania z obawy, aby się nie zakatarzył albo nie okaleczył, bo ona spazmów dostaje na sam widok broni... *(Seweryn, nie odpowiadając, czyta; po chwili)* Ja wyrzekłbym się i wszystkich dobrodziejstw pod takimi warunkami... być jak dziecko w powijakach... fe! No więc stanowczo nie idziesz?

SEWERYN *(ironicznie)* Gdyby nas tu kto słyszał, wziąłby cię za zapalonego myśliwego, gotowego na skręcenie karku dla jednego kszyka albo dubelta, a tymczasem zamiast po polu łazisz już trzeci dzień najprozaiczniejszym gościńcem, upatrując innej zwierzyny. Myślisz, że nie wiem?

ANTONI Może wiesz, ale nie wszystko. Pójdź ze mną, a dopowiem ci resztę.

SEWERYN Wszakże to tym gościńcem ma przyjechać pan Damazy Żegota z Heleną? Aha... rumienisz się?

ANTONI Nie myślę taić, że wyglądam ich przybycia z upragnieniem.

SEWERYN Aha! zgadłem.

ANTONI Ale zgadłeś, zgadłeś. (*ogłada się*) I jeżeli pragnąłem, abys mi towarzyszył w pole, to dlatego, że chciałem, korzystając z paru godzin wolnych, wynętrzyć ci się... Bo widzisz, braciszku, potrzebuję twego zdania i porady...

SEWERYN A wiesz, że zaciekawia mię ten twój romans. Więc jakże tam daleko zaszło z tą gąską? Stary nie domyśla się niczego?

ANTONI (*żywo*) Cóż to znowu za ton! Masz, widzę, najfałszywsze wyobrażenie o naszym stosunku. Ja kocham Helenę, rozumiesz, kocham i ożenię się z nią... naturalnie, jeżeli mi ją dadzą...

SEWERYN Ach! dlaboga, z pocałowaniem ręki. (*wstając*) Aleś ty bzika dostał.

ANTONI (*jak wyżej*) Sewerynie!

SEWERYN Świetna partia, tobyś zrobił dobry interes!

ANTONI Partia... partia... Ja nie szukam partii, tylko żony. (*siada i zwija papierosa*)

SEWERYN Najprzód, nieładna... (*Antoni śmieje się głośno*) Ale pozwól no, niby w szczegółach, pojedynczo biorąc, nie można jej nic zarzucić, ale dla mnie ma coś antypatycznego...

ANTONI Nawet?...

SEWERYN Daję słowo... na serio... Dalej, jak powiedziałem, gąska parafialna... tak na krótki stosunek — nie mówię, ale na żonę... A ojciec!... bój się Boga... szlagon ordynaryjny... co on mógł jej dać za wychowanie?

ANTONI Pocziwe, i kwita!... A zresztą pozwól sobie powiedzieć, że wyrokujesz na domysł. Czyż ty ją znasz tyle, żebyś mógł sądzić? Może nawet nie mówiłeś z nią nigdy.

SEWERYN Przyznaję, zem się o to nie ubiegał... Raz jeden byłem u nich z ciotką, w przejeździe naturalnie, bo wiesz, że ona nie ma do nich nabożeństwa; toteż dziwi mię, skąd jej się wzięło ni stąd, ni zowąd zapraszać ich.

ANTONI I ja tego nie pojmuję... Ale cóż? Odstępujesz od rzeczy.

SEWERYN Więc znaleźliśmy się przypadkiem. Cóż to za dom! Parafiańszczyzna!... Nie można kichnąć, żeby ci nie życzo no setnych lat!

ANTONI (*z komiczną powagą*) A któż kicha przyjechawszy z wizytą.

SEWERYN Bądź co bądź, jako gość, czułem się obowiązany m bawić pannę... Ale cóż... rozmowa nie szła i nawet nie wiedzieć, o czym było gadać... zacząłem o literaturze, ani rusz...

ANTONI To już kłamiesz...

SEWERYN No, liznęła tam coś — ale co to znaczy! Napomknąłem o Warszawie — nie była tam nigdy... Więc wszcząłem traktat o prosiątkach, o gąskach, o hodowaniu kurcząt i zdejmowaniu im pycia, ale papie się to nie podobało i tak znacząco zaczął mrugać i krząkać, jakby się obawiał, żeby nie palnął jakiegoś ekiwoku.

ANTONI Musiałeś ty tam swoim zwyczajem palnąć co?

SEWERYN Ale nie, jak cię kocham... mówiliśmy najprzyczwoiciej. Po śniadaniu proponowano przechadzkę, a że tam nie ma ogrodu, więc poszliśmy do obory, z panną naturalnie... i z Dziubalską, zdaje mi się, czy jak się tam nazywa. (*śmiejąc się*) Znasz ty ją?

ANTONI Najpocziwsza w świecie kobieta, Helenkę wypiastowała.

SEWERYN Więc czy uwierzysz, że Dziubalsia kazała poodsadzać cielątka osobno od krów, zapewne żeby widok ssącego potomstwa nie wzbudził w pannie jakich zdrożnych myśli. Pokazuje się, że nawet dobrą gospodynią nie będzie. Nie wiem, na co ją chowają.

ANTONI Pleciesz jak na mękach. Gdybyś ją znał bliżej, tak jak ja, przekonałbyś się, co to tam za brylańciki umysłu i serca mieszczą się pod tą parafiańską, jak nazywasz, powłoką.

SEWERYN (*szyderczo*) Aj... aj!...

ANTONI (*niecierpliwie, wstając*) A zresztą kocham ją, no i dosyć... a że, jak się spodziewam, wyczerpałeś już całą serię zarzutów...

SEWERYN Zachowałem na ostatek najważniejszy.

ANTONI Na przykład?

SEWERYN Goła!

ANTONI Och!

SEWERYN (*przedrzeźniając*) Och! Dobre sobie to „och”!... Powiadam: romantyk jesteś, my się nigdy nie rozumiemy, zanadto się różnimy w pojęciach...

ANTONI Nie moja wina, jeżeli zamiast serca masz w piersiach kawał mięsa.

SEWERYN (*wstając*) Mój drogi, czy mam, czy nie mam serca, o tym nie możesz sądzić... kto wie, czy też w gruncie nie jestem innym, jak się wydaję...

ANTONI Więc maskujesz się, czy co?...

SEWERYN Wiesz, że zależę od ciotki i że za obietnicę zapisania mi majątku należy jej się coś ode mnie.

ANTONI Więc cóż, to jakoś niejasno dla mnie...

SEWERYN Gdy stanę na pewnych nogach, wtenczas i dla serca może się coś znaleźć, a tymczasem...

ANTONI A tymczasem, ponieważ to, co nazywasz sercem, liberynie, jest po prostu temperamentem, masz dla rozrywki Mańkę — rozumiem!

SEWERYN (*ogładając się*) Cicho! Co ty gadasz?

ANTONI Ej, ty będziesz miał na sumieniu tę dziewczynę.

SEWERYN (*z fanfaronadą*) Ale ładna, co?

ANTONI (*ironicznie*) Dobrą opiekę znalazła... a wszakże to nawet jakaś kuzynka podobno.

SEWERYN (*dowcipkując*) Ciotka ją zaniedbuje cokolwiek... ale za to we mnie ma...

ANTONI Dobrodzieja...

SEWERYN Zapewne! Myślę o jej przyszłości...

ANTONI Żenisz się z nią?

SEWERYN (*śmiejąc się, jakby usłyszał coś potwornego*) Dobry sobie!... Tylko słuchaj no, nie wygadajże się przypadkiem przed ciotką, bobyś tu narobił dopiero bigosu...

ANTONI Ładne zamiary, z którymi potrzebujesz się taić.

SEWERYN Cóż to? Nie znasz ciotki? I tak chciałaby jej się delikatnie pozbyć, namawia ją do szarytek... dziewczyna broni się pokusom, jak może, ale dosyć by było najłżejszego podejrzenia, aby padła ofiarą...

ANTONI Wybierając z dwojga złego, skoro już zawsze ma być ofiarą...

SEWERYN Dajże pokój, nie żartuj. Ale wracając do tego, o czym mówiliśmy poprzednio, jakiejże to rady chciałeś ode mnie?

ANTONI E, nic już...

SEWERYN Powiedz otwarcie, proszę cię.

ANTONI Oto, ponieważ mają tu przybyć, chciałem prosić ciotkę, aby mię oświadczyła panu Damazemu, a że ty masz łaski u niej, sądziłem...

SEWERYN Już to, jeżeli się spodziewasz, że wam co udzieli, tobie albo Helenie...

ANTONI Widzę, że się dziś nie dogadamy. Do widzenia! (*wychodzi głębia*)

SCENA II

SEWERYN (*sam, siada na kanapie*) A, jaki drażliwy... (*po chwili*) Jednak przysięgłbym, że on rachuje na jakieś dobrodziejstwa ciotki... Cha! cha!... grubo się myli... (*po chwili*) A zresztą, któż ma większe prawo do tego majątku? (*wstaje*) Gdy go otrzymam, powiedzą, że pieczone gołąbki same mi wpadły do gąbki... A czyż kto zrozumie, ile mię to kosztowało przymusu, pracy nad sobą?... (*szydlerczo*) On pracuje, powiadają, to się nazywa pracą! że gospodaruje i robi, co chce!... Jeżeli to jest praca, to ja jestem umęczony... czyściec przechodzę za życia! (*łamiąc ręce i zaciskając zęby*) Dusić się pod maską, która ciąży jak z ołowiu, całując rękę, którą by się gryzło do krwi!... i dziwią się potem, gdy człowiek, który przeszedł taką szkołę, szuka odwetu na innych!... (*po chwili*) Ktoś idzie! (*kładzie się na powrót i bierze książkę*)

SCENA III

SEWERYN, MAŃKA. MAŃKA *wchodzi z prawej strony, następnie, udając, że nie widzi SEWERYNA, idzie do zwierciadła i nucąc, poprawia sobie włosy.*

SEWERYN (*wstaje z kanapy, obejrzawszy się, zbliża się do niej*) Manieczko!

MAŃKA (*krzyknąwszy, z udanym przestraszeniem*) Ach!

SEWERYN (*odskakując*) Cicho! Na Boga!

MAŃKA Brzydki, jakżeż można tak straszyć ludzi!

SEWERYN (*z daleka*) Tylko nie udawaj, proszę cię.

MAŃKA Pokazałeś się pan w lustrze niespodzianie jak jaka mara!

SEWERYN (*przysuwając się ostrożnie*) Czyż wyglądam jak straszidło?

MAŃKA Cha! cha! cha!

SEWERYN Cicho, czegoż się znów śmiejesz?

MAŃKA Mnie się zdaje, żeś pan jeszcze bardziej wystraszony niż ja... No, no, nie bój się pan... żadna z cioteczek nie zobaczy i nie usłyszy.

SEWERYN (*kwaśno*) Nie dowcipkuj...

MAŃKA Obie są w ogrodzie z tym gościem, co dziś przyjechał. (*w oknie*) O, proszę patrzeć.

SEWERYN (*przysuwając się*) W ogrodzie? (*bierze ją w pól i chce pocałować*)

MAŃKA (*usuwając się, serio*) No, no, cóż to znowu?

SEWERYN (*z ogniem*) Mańka!

MAŃKA Proszę się nie zapominać.

SEWERYN Czego ty grasz komedię?

MAŃKA (*uwalniając się z objęcia*) Jak to?

SEWERYN Przyszłaś, boś wiedziała, że mnie tu zastaniesz.

MAŃKA (*jak wyżej*) Proszę, szukałam pana może?

SEWERYN Te raki o tym świadczą, zarumieniłaś się.

MAŃKA (*kryjąc się z twarzą*) Bardzo przepraszam.

SEWERYN A teraz udajesz surowość — znane sztuki.

MAŃKA Udaję!

SEWERYN (*całując ją po rękach*) Udajesz!... Czy twe oczy nie mówią mi to wyraźnie?...

MAŃKA Choćbyś pan czytał w nich jaką słabość dla siebie, to jeszcze nie upoważnia do traktowania mię w podobny sposób.

SEWERYN Namiętność nie chce znać hamulca, a czyż nie wiesz, że cię kocham?

MAŃKA Nie dałeś mi pan dotychczas żadnego dowodu.

SEWERYN Ty to mówisz?

MAŃKA Kto kocha prawdziwie, ten się nie boi białego dnia i nie potrzebuje otaczać się tajemnicą.

SEWERYN Czyliżem ja winien, że nie chcesz zrozumieć naszego położenia?

MAŃKA Rozumiem, że pan nie zależy od siebie i jesteś pod kuratelą...

SEWERYN Mańka! Nie rozdrażniaj mnie.

MAŃKA Mówię, jak jest; czyż inaczej potrzebowałbyś się kryć z tym, co, jak powiadasz, czujesz do mnie?...

SEWERYN Ja się z tego położenia wyzwolę... muszę się wyzwolić... dla ciebie...

MAŃKA I cóż będzie?

SEWERYN Pójdę na swoje.

MAŃKA I cóż dalej?

SEWERYN Raj ci stworzę.

MAŃKA Chyba w sekrecie przed ciotką, boby nas z niego wyгнаła.

SEWERYN (*rozdrażniony*) Mańka!

MAŃKA O, daj mi pan spokój!

SEWERYN Ja znajdę sposób pozyskania niezależności, to całe moje dążenie... (*po chwili, ciszej*) Czy wiesz, że ciotka chce mnie ożenić bogato, obiecując w takim razie przeznaczyć mi majątek i od siebie...

MAŃKA (*odpychając go i patrząc mu w oczy*) Co? Co?

SEWERYN Ale dajże mi mówić!... Ciebie tylko jedną kocham, bo tyś mię chyba oczarowała... (*gwałtownie*) Nie uciekaj! Nie drażnij mnie!... Jednego całusa tylko. (*na stronie, spostrzegłszy Antoniego*) Ten znowu! (*puszcza Mańkę*)

SCENA IV

POPZEDZAJĄCY, ANTONI wchodzi głębią.

ANTONI Zagadawszy się, zapomniałem ładunków... (*bierze z krzesła w głębi; spostrzegając Seweryna i Mańkę*) Aha! A ci państwo nie tracili czasu.

SEWERYN (*siadając*) Cóż, zabiłeś co?

ANTONI Nigdy człowiek nie ma głupszej miny, jak kiedy się czuje gdzieś niepotrzebnym... ale stało się.

SEWERYN Czy idziesz na powrót?

ANTONI A naturalnie... (*zbliżając się do Mańki*) Ale korzystając ze sposobności, czuję się w obowiązku postawienia się na chwilę w roli moralizatora. (*bierze jej rękę*) Panno Mario, posłuchaj życzliwej rady, strzeż się pani słówek, których nie można powtórzyć przy świadkach.

MAŃKA (*spostregłszy wchodzących, usuwa rękę*) Dajże pan pokój... Idą... (*odchodzi na lewo*)

SCENA V

SEWERYN, ANTONI; TYKALSKA: ubranie skromne, pończocha w rękę; ŻEGOCINA w czarnej sukni, półżaloba; REJENT. Wchodzą głębią.

ŻEGOCINA Śliczne rzeczy! Cóż to za nieprzyzwoite jakieś zaczepki? Miałam rację utrzymując, że pan Antoni był zawsze najgorszym przykładem dla Sewerynka; wykapany portret nieboszczyka ojca; ze swoją lekkomyślnością wyjdiesz jak on, przepowiadam ci.

ANTONI (*serio*) Prosiłem już cioci tyle razy, aby szanowała pamięć naszego ojca...

ŻEGOCINA Doprawdy, więc nie wolno ciotce skarżyć młokosa, który dopuszcza się w jej domu nieprzyzwoitości...

ANTONI (*jak wyżej*) Owszem, wolno cioci upatrywać we mnie wszystkie złe skłonności, jak to zawsze robi, ale nie pomiatać pamięcią człowieka, którego wartości nie jest zdolny ocenić żaden rozum kobiecy...

ŻEGOCINA (*do Rejenta*) Słyszysz go pan?

SEWERYN (*na stronie*) Upiekło mi się. (*szuka kapelusza*)

TYKALSKA (*do odchodzącego Antoniego*) Anteczku, coś ty znowu zbroił, kanalio?

ANTONI E, daj mi cioteczka pokój, bo się cały trzęsę. (*wychodzi głębią*)

TYKALSKA (*grożąc mu*) Oj, ty, ty, wisusie!

SCENA VI

SEWERYN, TYKALSKA, ŻEGOCINA, REJENT.

ŻEGOCINA Szkaradny chłopiec, instynktowo nie lubiłam go od najmłodszych lat.

TYKALSKA Anteczka! A to za co?

ŻEGOCINA (*tonem wyższości*) Moja Tykalska, tylko się nie odzywaj, proszę cię... już ty to taka jesteś łatwowierna.

REJENT Pani musi być e... e... e... zbyt sercowa.

TYKALSKA Mój panie, ja tam na serce nie choruję... nie znam żadnych palpacyj...

REJENT Podobne usposobienie często sprowadza nam e... e... e... zawody... Mogę to powiedzieć z własnego doświadczenia...

ŻEGOCINA Jak z twarzy, tak całym charakterem Antoni przypomina szanownego mego szwagierka... Panie, odpuść mu tam jego grzechy...*(do Seweryna, który wziąwszy kapelusza szedł ku drzwiom)* Gdzie idziesz, Sewerynku?

SEWERYN Zajrzeć do gospodarstwa.

ŻEGOCINA *(całując go w głowę)* To bo czysty obraz mojej Amelki, która padła ofiarą tego związku... Moje dziecko kochane, ty masz serce i nie będziesz takim, jak twój ojciec, nieprawdaż?

SEWERYN *(całując ją w rękę)* Staram się zawsze postępowaniem wywdziękzyć się cioci za jej przywiązanie do mnie.

ŻEGOCINA Poczciwy chłopczyna; ty jesteś moją pociechą... Toteż myślę o twojej przyszłości i pragnę, aby twój brat przekonał się, że nie wolno lekceważyć łask ciotki, gdy ta ma w ręku środki do uszczęśliwienia tych, którzy ją potrafią szanować. Ty go nie będziesz naśladował... nieprawdaż?

SEWERYN Niech ciocia będzie spokojną...

ŻEGOCINA Pan Bóg ci pobłogosławi.

REJENT *(zażywając tabakę, na stronie)* Piu, piu! E... e... e... to ryba, panie.

TYKALSKA *(cicho do Seweryna, który wychodzi)* Fe, Sewerynku, wstydz się, złym bratem jesteś.

SCENA VII

CIŻ, bez SEWERYNA.

REJENT Miły kawaler, bardzo miły... e... e... e... ale i tamten miły... obydwaj wcale e... e...e...

ŻEGOCINA Ach, rejencie, bracia rodzeni, ale co za różnica!... Jak dzień do nocy...

REJENT Pani dobrodziejka, jako kobieta sercowa, możesz się uwodzić...

ŻEGOCINA Ale nie, nie, serce nie błądzi!

REJENT Dobra pani, bez przechwałek, mnie natura obdarzyła po macierzyńsku tym zbyt-kownym, że się tak wyrażę, e... e... e... meblem, więc znam się na tym troszeczkę. Serce, jak prawdziwy mebel, powinniśmy nosić... e... e... e... w pokrowcu, zdejmowanym tylko na uroczyste chwile... inaczej zszarza się...

TYKALSKA (*siedząca na boku, z pończochą*) Mój panie, co też pan pleciesz... serce w pokrowcu!

ŻEGOCINA (*z politowaniem*) Och! Tykalska... ona ma pretensję do dysputowania!... (*do Rejenta*) Ależ nie każdy może mieć tyle mocy nad sobą...

TYKALSKA (*śmiejąc się*) Żeby chować do pokrowca...

REJENT Ja, bez przechwałek, dzięki tej właśnie mocy wyrobiłem sobie pogląd filozoficzny na świat i ludzi... Z politowaniem patrzę na walki staczane codziennie w imię interesów, które... e... e... e... wobec wielkich zagadek nieskończoności... są... tyle, co... o!... (*dmucha w palce*)

ŻEGOCINA (*nastrajając się do tonu rozmowy*) O! To prawda, zastanowiwszy się głębiej...

REJENT Dobra pani... jako rejent... e... e... e... kapłan i stróż prawa, potrzebowałem tej filozofii... Co mię to kosztowało, pani się domyślisz... ale też człowiek z natury, bez przechwałek, sercowy... dziś w spełnianiu funkcji mojego urzędu jestem bezstronny i nieugięty jako Kato!

ŻEGOCINA Mój mąż nieboszczyk pokładał w panu całe zaufanie...

REJENT I nie zawiódł się nigdy... Obecnie moim gorącym życzeniem jest, aby to przekonanie odziedziczyła jego małżonka... (*całuje ją w rękę*) Jako człowiek prawdomówny, wyznam otwarcie, że ta myśl... e... e... e... sprowadziła mnie tu... Sądzę, że w położeniu pani dobrodziejki, gdy pozostawioną jesteś samej sobie, rady człowieka, bez przechwałek, prawego i przyjaciela nieboszczyka męża mogą nie być do odrzucenia...

ŻEGOCINA Ach, rejencie, uprzedziłeś moje życzenie... Nie uwierzysz, w jak stosowną chwilę przybyłeś...

REJENT Jestem na usługi. (*całuje ją w rękę*)

TYKALSKA Mój nieboszczyk Tobunio umierając nie zostawił mi nic, toteż nie potrzebowałam żadnych rejentów.

ŻEGOCINA Moja Tykalska, pozwól nam też raz swobodnie pomówić o interesach... taka nudna jesteś... łazisz za nami jak cień.

TYKALSKA Ale, moja siostruniu, nie wiedziałam, że wam przeszkadzam... Och, dlaboga... kiedy tak, to idę sobie... (*wychodzi na prawo*)

SCENA VIII

REJENT, ŻEGOCINA.

ŻEGOCINA (*ekstazując się często*) Ach, rejencie, wdowa to sierota!... Pozbawiona w jednej chwili podpory, jaką miała w mężu, pozostawioną jest na łasce ludzi...

REJENT (*całując ją w rękę, znacząco*) Dobra pani, w jej e... e... e... sytuacji zapewne nie pozostaniesz długo osamotnioną...

ŻEGOCINA Rejencie, co mówisz, nie widzisz mojej szaty?

REJENT Ta szata jest tylko e... e... e... symbolem położenia przejściowego; we właściwym czasie zboleła dusza potrzebuje i ma prawo pożądać pociechy... To się jej należy.

ŻEGOCINA Och, rejencie, ja o tym nie myślę.

REJENT W tej chwili... w tej chwili — pojmuję to.

ŻEGOCINA Mam inne obowiązki... zadosyć im uczynić jest całym moim pragnieniem.

REJENT Masz pani wszelką łatwość, nieboszczyk pan Żegota pozostawił żonę w pozycji zapewniającej jej niezależność; testament na przeżycie, który był zawsze jego ideą fikszą...

ŻEGOCINA (*żywo*) Nieprawdaż, to było zawsze jego życzeniem, pan sam jesteś świadkiem...

REJENT Pojmuję delikatne skrupuły pani, dają one e... e... e... chlubne świadectwo o jej sercu... Po śmierci nieboszczyka męża brat jego, pan Damazy i p s o i u r e zagarnęłyby cały niemal po nim spadek, a pani, jako bezdzietnej, przysługiwałoby tylko prawo do czwartej części.

ŻEGOCINA (*niespokojnie*) Więc rzeczywiście to tak jest?

REJENT Dziwię się, dlaczego państwo nie zeznaliście tego aktu przede mną, bez przechwałek, dołożyłbym najpilniejszej uwagi, ażeby moc jego była niewzruszoną. Zapewne sporządziliście go państwo prywatnie, a nie znając go, nie mogę osądzić, o ile jest ważny. Dochodziły mi wieści, że pan Damazy...

ŻEGOCINA Co? Co? Mów!

REJENT Odzywał się w sposób przekonywający, że zna prawa, jakie miałby do spadku, gdyby testament na przeżycie nie był zrobiony, i... zarazem objawiał wątpliwość co do jego istnienia...

ŻEGOCINA Ach, rejencie, zmiłuj się!...

REJENT O, nie obawiaj się pani, o ile będzie w mojej możności, wesprę ją moimi radami, tylko przede wszystkim otwartość i bezwarunkowe zdanie się na mnie. (*całuje ją w rękę*)
Pani masz u siebie ten akt?

ŻEGOCINA (*placząc*) Pan byłeś świadkiem naszego pożycia, poświęcenia, z jakim pielęgnowałam schorzałego starca, cierpliwości, z jaką znosiłam jego popędliwość i grymasy.

REJENT Dobra pani, czyż potrzeba mi mówić o tym? Wiadomo było powszechnie, iż mimo znacznej różnicy wieku byłaś pani najlepszą, najwzorowszą e... e... e... małżonką.

ŻEGOCINA Cierpienia wszystkie ofiarowałam Bogu w tej nadziei, że mi to policzonym będzie.

REJENT I że nieboszczyk uzna te zasługi; jakoż e... e... e... dobre nigdy nie pozostaje bez nagrody. Jeszcze mi w uszach brzmią słowa, w których, bez przechwałek, pełen zaufania do mnie, komunikował mi swój projekt sporządzenia wzajemnego zapisu...

ŻEGOCINA Pan mógłby świadczyć, nieprawdaż?

REJENT Rzecz zupełnie zbyteczna, dosyć tylko będzie zaprodukować i ulegalizować ten akt. Zdaj się pani na mnie. (*trzyma jej rękę*)

ŻEGOCINA (*wybuchając płaczem*) Rejencie, ratuj mnie, Pan Bóg ci to wynagrodzi. (*opiera głowę na jego ramieniu*)

REJENT (*z pożądliwą ciekawością*) Czy przewidujesz pani jaką nielegalność? Przede wszystkim prosiłbym o testament.

ŻEGOCINA (*jak wyżej, tragicznie*) Nie ma go wcale!

REJENT A, a!... (*uwalnia się z jej objęć i przechadza się poruszony*)

ŻEGOCINA (*placząc*) Niegodziwy! Po tylu zapewnieniach, przysięgach... Czyż nie zmarnowałam przy nim najpiękniejszych moich lat... Poszłam za niego, uwiedziona pozycją... i cóżem użyła?... Skąpiłam, od ust sobie odejmowałam, byłam najlepszą żoną, siostrą miłośniczką, mogę powiedzieć, i tak mnie zostawił!...

REJENT (*zamyślony*) Hm! To zmienia postać rzeczy... Masz pani e... e... e... prawo tylko do czwartej części majątku... wszystko zabiera pan Damazy...

ŻEGOCINA (*gadliwie*) Pan Damazy, który zawsze darł koty z nieboszczykiem mężem, który, gdy jego brat miał się żenić ze mną, nie wstydził się przez brudną interesowność odradzać mu tego związku, malując mnie najczarniejszymi kolorami, mnie, która, wychodząc za człowieka znacznie starszego od siebie, nie żądałam nawet żadnego zapisu...

REJENT (*jak wyżej*) Istotnie, bezinteresowność pani w tym razie...

ŻEGOCINA (*jak wyżej*) Szczęściem, że intrygi nie poskutkowały... Mój mąż poróżnił się z tego powodu z bratem, chociaż była już chwila, że uwiedziony jego radami, chciał zerwać

i żądał ode mnie zwrotu podarowanych mi brylantów po pierwszej żonie... Ale zawiódł się pan brat! Uparłam się i brylantów nie oddałam...

REJENT (*ironicznie*) I tym sposobem małżeństwo przyszło do skutku...

ŻEGOCINA Pomimo intryg braciszka... o... bo to intrygant!... Nie uwierzyłbyś pan, jaki intrygant!... A przy tym gbur... prosty szlachcic, gdzieś za piecem chowany; uszy zatykać, gdy zacznie dowcipkować po swojemu... Wystaw pan sobie, że nie był nawet na pogrzebie! I teraz ma się tłumaczyć, że odebrał list dopiero w tydzień po ceremonii. Czyż to moja wina? Niech sobie ma pretensje do poczty, że list szedł tak długo.

REJENT Prawdę powiedziawszy... e... e... e... w takim wypadku należało dać mu znać umyślnym posłańcem.

ŻEGOCINA Rejencie! Nie oskarżaj mnie... (*z emfazą*) W takiej chwili! Gdy ręka Boska dotknęła mnie tak okropnym ciosem! Mogłażem nie stracić głowy?

REJENT Głowy nigdy tracić nie trzeba. (*po chwili*) Cóż pani teraz zamierzasz?

ŻEGOCINA Siadaj, rejencie, i posłuchaj mnie, (*siadają*) a najprzód powiedz mi, czy mnie uważasz za chciwą?

REJENT Dobra pani... e... e... e... każdy pomimo przykazań boskich lepiej życzy sobie niż bliźniemu swemu... Jeżeli to jest wada... to wspólna wszystkim ludziom. Jednakże są wypadki...

ŻEGOCINA Chcesz zapewne powiedzieć, że z tego, co mi prawo naznacza, mogę żyć wygodnie?

REJENT Hm... wyobrażenie życia wygodnego zależy od wymagań, przywyknień...

ŻEGOCINA Och! Rejencie, jeżeli kto, to ja jestem przywykłą do wygod i powinnam mieć wymagania. Mój mąż, kochając mnie szalenie, nie odmawiał mi niczego, pieścił, chuchał, psuł mnie... Pomimo to, jeżeli sądzisz, że mi chodzi o ten majątek dla siebie, to się bardzo mylisz. (*rozrzewniając się stopniowo*) Straciwszy najpiękniejsze lata obok człowieka, dla którego się poświęciłam, zestarzała przed czasem, poprzestałabym na najmniejszej sędzie i ofiarowawszy swoją krzywdę Panu Bogu, usunęłabym się od świata. Lecz idzie mi o mojego Sewerynka, o dziecię mojej rodzonej siostry...

REJENT Czy e... e... e... ten drugi?

ŻEGOCINA Muszę ci się wytłumaczyć z tej słabości. Moja siostra poszła z miłości za człowieka, który nie umiał jej szanować; chociaż na pozór kochał ją do zaślepienia, nie wahał się poświęcić jej dla urojonego obowiązku. Wszystkie jego czyny były szalone i nareszcie uciekł za granicę, przecinając sobie możliwość powrotu i zostawiając... (*melodramatycznie*) ach, rejencie, zostawiając żonę i dwóch synów prawie w nędzy... (*dawnym tonem*) Mój mąż, kochając mnie szalenie, był tak poczciwy, że zajął się moją rodziną. Gdy siostra wkrótce umarła, Antoniego oddał do szkół, a potem dopomógł do wzięcia dzierżawy; młodszego, Sewerynka, wzięliśmy dzieckiem na wychowanie.

REJENT (*obojętnie*) Czym bardzo e... e... e... chwalebny.

ŻEGOCINA Jeżeli w przypuszczeniu, że przeżyję męża, pragnęłabym kiedy jego majątku, Bóg nie poczyna mi tego za grzech, bo to było dla tego chłopczyny, który mię kocha jak rodzoną matkę... (*dramatycznie*) Rejencie, zlituj się, jeżeli nie nade mną, to nad Sewerynkiem.

REJENT (*na stronie*) Sewerynek i Sewerynek. (*głośno*) Przyznam się pani, że e... e... e... gdybym znalazł jakiś sposób, milej by mi było, bez przechwałek, zrobić, co się da, dla niej niż dla tego młodzieńca... Lecz nie rozumiem, co ja tu...

ŻEGOCINA Ach, bo nie powiedziałam panu nic jeszcze... posłuchaj mnie pan — pan Damazy ma córkę, jedynaczkę...

REJENT A, ma córkę. (*na stronie*) Hm hm... Genio mógłby...

ŻEGOCINA Tak jest; mój mąż, który pomimo niezgody miewał chwile słabości dla brata, nieraz objawiał życzenie, aby Sewerynek ożenił się z nią, tym sposobem majątek pozostałby w rodzinie.

REJENT (*zamyślony*) Niezła myśl!... Jeżeliby ze strony obojga nie zachodziła e... e... e... żadna przeszkoda... bo co do przymusu...

ŻEGOCINA Otóż liczę na pana. Staraj się utrzymać pana Damazego jak najdłużej w nieświadomości co do testamentu; to człowiek prosty, nie będzie wchodził w stan rzeczy i z pewnością przestanie na tym, gdy ofiaruję im dochód z pewnej części majątku, zapewniając resztę po mojej śmierci.

REJENT (*wstawszy, roztargniony*) Hm hm, mogę z nim pomówić, wybadać... pojedę umyślnie...

ŻEGOCINA (*wstając*) Nie potrzeba, tu się zobaczycie.

REJENT Tu? Sądzę, że byłoby lepiej...

ŻEGOCINA Zaprosiłam ich do siebie, robiąc pierwszy krok do zgody.

REJENT (*niespokojny*) Zaprosiłaś ich pani?... O!... (*na stronie*) To mi nie na rękę...

ŻEGOCINA Powinni dziś przyjechać, bo posłałam konie jeszcze przed dwoma dniami.

REJENT Dziś!

SCENA IX

REJENT, ŻEGOCINA, SEWERYN.

SEWERYN (*wchodząc głębia*) Jada... karetę widać na grobli. (*idzie do okna po prawej, z miną obojętną*)

ŻEGOCINA Ach, jada! Rejencie, nie opuszczaj mnie w tej stanowczej chwili... posłuchaj no... (*odprowadza go na bok i mówi do ucha*)

SEWERYN (*na stronie*) Co oni za konszachty prowadzą — to mi się nie podoba.

REJENT Pani dobrodziejko, co do samej myśli, muszę ją... e... e... e... pochwalić... ale przyznam się, bez przechwałek, że chwile moje są drogie... To się nie da zrobić tak w dwóch słowach... notariat — to moja rola... Mam dziś właśnie kilka czynności, do których mię zamówiono.

ŻEGOCINA Nie puszczę cię! Pójdź pan, porozumiemy się wpierw, nim wyjdę do nich... ach, jak mi serce bije... (*składając ręce*) Rejencie, bez ciebie ja sobie nie dam rady... Ach!... zajeżdżają!...

REJENT (*na stronie*) Ha, będziemy manewrować. (*głośno*) Służę pani...

ŻEGOCINA (*do Seweryna*) Mój aniołku, przyjmij ich tu... niech się rozgoszczą... bądź grzeczny, proszę cię... wytłumaczę ci, dlaczego... o mnie powiedz, żem trochę słaba, że jak się ubiorę, wyjdę do nich. (*wychodzi z Rejentem na lewo*)

SCENA X

SEWERYN, po chwili DAMAZY, HELENA, ANTONI.

SEWERYN W istocie, oni mają coś z sobą... (*w oknie*) Aha! Antoni przykonwojował tych państwa... wysadza swoją boginię... cha! cha!... wyskoczyła jak koza... pewnie to nie jeździło karetą, jak żyje... (*idzie do drzwi w głębi*) Trzeba ich przyjąć.

ANTONI (*wprowadzając przybyłych*) Niech pan dobrodziej pozwoli, wezmę to okrycie... (*do Heleny*) i pani także. (*pomaga jej zdjąć*) A kapelusik? (*odbiera go*)

DAMAZY (*szlachcic łysy, z bujnym wąsem szpakowatym, zresztą ogolony, z fajką porcelanową w rękę*) Gdzież pani bratowa, panie mości dzieju?

SEWERYN (*kłaniając się*) Jest u siebie, nieco słaba.

DAMAZY A, pan Seweryn, jeśli się nie mylę...

SEWERYN (*z pewnością siebie*) W istocie, nie mylisz się pan.

DAMAZY Poznałem kawalera od razu, chociaż raz tylko widzieliśmy się, panie mości dzieju.

SEWERYN (*na stronie, urażony*) Kawalera!

ANTONI (*który rozmawiał z Heleną*) Jak to, ciotka zasłabła?

SEWERYN Podobno... W tej chwili się dowiem i oświadczę o przybyciu państwa... (*wychodzi na lewo*)

HELENA Tatuńciu, to pan Seweryn?

DAMAZY Cóż, nie poznałaś go? Był przecie u nas.

HELENA To już tak dawno...

ANTONI (*do Heleny*) Wyglądałem pani od samego rana, liczyłem minuty i z niecierpliwości wyszedłem aż naprzeciw pod pozorem polowania.

HELENA Żebyś pan wiedział, jak mi serce biło, gdyśmy dojeżdżali...

ANTONI (*półgłosem*) Tak jak mnie, gdym z daleka państwa ujrzał.

HELENA A ja, spostrzegłszy pana, uspokoiłam się zaraz... (*żarliwie*) Jakoś pod taką opieką nabrałam śmiałości...

ANTONI (*jak wyżej*) Ach, pani droga!...

HELENA Cicho! Cóż to znowu... tacio usłyszysz... (*zagadując*) Jak tu ładnie jest u stryjenki.

DAMAZY (*który czesał łysinę, daje jej grzebień*) Na, masz, popraw sobie włosy, bo wyglądasz jak czupiradło.

HELENA (*do Antoniego, z uśmiechem*) Czy to prawda? Nie patrzże się pan na mnie... proszę się odwrócić! (*idzie do zwierciadła*)

ANTONI Nie przeszkadzam... (*biorąc okrycia*) Zaniosę to tymczasem do pokojów państwa i zobaczę, czy tam wszystko przygotowane. (*wychodzi na lewo*)

SCENA XI

DAMAZY, HELENA.

DAMAZY Nie wiem, panie mości dzieju, skąd się pani bratowej zebrało na takie czułości, że nas zaprosiła do siebie i przysłała po nas z taką paradą.

HELENA To karetą, tatuńciu, prawda?

DAMAZY Pal ją tam szlag i karetę, bylibyśmy tak samo przyjechali i własną bryczką... ale to się w tym coś święci... to nie na darmo...

HELENA (w oknie) Jaki tu śliczny ogród!...

DAMAZY Więcej parady niż pożytku, panie mości dzieju... Wolałbym sad.

HELENA Dlaczego?

DAMAZY (*niecierpliwie*) Dlaczego? Dlatego, że sad.

HELENA Ale tu tak ładnie, takie klomby... co tu musi być słowików na wiosnę!

DAMAZY A jej! Tego nie brak; jak się zaczną po nocy drzeć jeden przez drugiego, panie mości dzieju, to zasnąć nie dadzą.

HELENA Ach, tatuńciu, jakże można tak mówić! Słowiczek tak ślicznie śpiewa, ja bym go słuchała całe życie. (*tuli się do niego*)

DAMAZY Bo ci pstro w głowie.

HELENA Kiedy to tak miło, tak miło! Och, Boże!...

DAMAZY (*spoglądając spod oka i krzając dla ukrycia wzruszenia*) Hm, hm, istny portret matki. (*po chwili, gładząc ją*) Nabiegałaś ty się po tych klombach jeszcze małym dzieckiem.

HELENA Toteż ledwo jak przez sen pamiętam.

DAMAZY Od czasu jak twój stryj ożenił się drugi raz, wszystko się skończyło... urwały się nasze wizyty.

HELENA Dlaczego, mój taci?u?

DAMAZY (*opryskliwie*) O, boś nudna z tymi pytaniami. Wszystko dlaczego, dlaczego? Wiesz dobrze — dlatego właśnie, że się ożenił.

HELENA Czy naprawdę stryjenka taka zła?

DAMAZY O, jak chce, to do rany ją przyłożyć, słodka jak miód, ale utłuc ją, panie mości dzieju, w moździerz na proszek, toby tym wytruł połowę ludzi.

HELENA (*śmiejąc się*) Och, tatuńcio...

DAMAZY No cóż „tatuńcio”?... Tatuńcio zna ludzi, i koniec. Ho ho! Jest to ziółko, zawojowała całkiem męża, panie mości dzieju... Co on miał z nią, niech Pan Bóg nie da; jeszcze też trzeba mu było głupstwa, że zrobili zapis na przeżycie, chociaż był ze dwadzieścia lat

starszy. Gdyby nie to, ten cały majątek na nas by przypadł, bo nie mieli dzieci... *(po chwili)* Ale co tam gadać, *(chodzi, do siebie)* jeżeli mi żal, to tylko dla tej sieroty.

HELENA Dlaczego tacio tak posmutniał?

DAMAZY Dajże mi pokój, proszę cię... znowu dlaczego... *(po chwili ostro)* Słuchaj no, tylko zaprezentujże mi się dobrze, niech nie powiedzą, żeś za piecem wychowana... Śmiało, głowa do góry... ot tak, ze stryjenką grzecznie, ale bez żadnych uniżoności, panie gości dzieju... Gotowa by sobie pomyśleć, że ledwie palcem kiwnęła, przylecieliśmy tu w widoku jakich dobrodziejstw z jej strony... Przydać by się przydało, ale jeżeliby miała pretensję, żeby ją po łapach za to całować, to dziękuję... Ale! Antoni tu się znalazł, coś mi w głowę zajechało, że kto wie, czy to nie jego robota te zaprosiny...

HELENA *(zmięszana)* Wątpię... skądżeby znowu...

DAMAZY *(patrzac na nią)* Co, nie zdaje ci się?... Ej, Hela, nie udawaj.

HELENA *(bardzo zmięszana)* Alboż ja udaję?

DAMAZY Daj no pokój! Ja stary, słuchaj no, to mnie nie zwiedziesz... *(ostro)* Więc jakże ty z nim jesteś? Co? *(widząc, że milczy, ostrzej)* Chciałbym wiedzieć! Bywa prawie co dzień, wysiaduje i ani tak, ani siak. To mi się nie podoba! Gadaj mi wyraźnie, czujesz co do niego?

HELENA *(na stronie)* O Jezus! Tacio się znowu gniewa!

DAMAZY Lubisz go, czy nie?

HELENA Pana Antoniego?

DAMAZY *(zniecierpliwiony)* Masz tobie, a o kogoż się pytam!

HELENA *(zawstydzona)* Boże mój, alboż ja wiem...

DAMAZY *(jak wyżej)* Jak to? Nie wiesz, to idźże się spytaj kogo!

HELENA Ja kocham tylko tatunieczka.

DAMAZY Tylko mi nie basuj, proszę cię, ja tego nie potrzebuję... do czego to podobne...

HELENA Tacio się zaraz tak unosi.

DAMAZY *(łagodnie)* Ale bo jakże się nie unosić, kiedy z tobą to jak z dzieckiem, zbywasz mnie ni tym, ni owym, a ja przecie *(patrzac jej w oczy)* uważałem, żeś mu rada zawsze, jak przyjedzie.

HELENA No jakżeż, proszę taci, on taki wesoły, miły...

DAMAZY *(biorąc ją pod brodę)* I jak go długo nie widać, to ci markotno, co? Prawda?

HELENA (*zakłopotana*) Och, Boże, ja sama nie wiem, tatunio mnie tak wyciąga na słówka...

DAMAZY A wiecie państwo, że ona dobra sobie! (*niecierpliwie*) Powiedz mi, jakże się to nazywa, że ile razy spodziewasz się go, to chodzisz od okna do okna i wyglądasz?... widziałem to nieraz...

HELENA (*oczy spuszczone*) Jeżeli się kto obiecuje na obiad, to nie powinien dawać na siebie czekać aż do wieczora.

DAMAZY No więc oczywiście tęsknisz za nim, i kwita, co tu gadać!...

HELENA (*z płaczem prawie*) Ale gdzież znowu!... zaraz tam tęsknić... tacio tak mnie przesładuje...

DAMAZY (*chodząc, do siebie*) E! to jeszcze głupi dzieciak, sama nie wie, jak się ma... trzeba podobno zaczekać!... Jeszcze jej też czas nie przyszedł...

SCENA XII

SEWERYN wchodzi z lewej. DAMAZY przechadza się. HELENA w oknie, zadumana.

SEWERYN No więc ja się mam brać do tej dzierlatki... to dobre, ja, co przyganiałem Antoniemu... jak to pójdzie, sam nie wiem... najgorzej, co on na to powie?... ha... trzeba brnąć... (*głośno*) Ciotka w tej chwili będzie służyć... ale może byście państwo woleli udać się wprzód do swoich pokojów...

DAMAZY Mnie wszystko jedno, ale Helusia... (*cicho*) Może byś zmieniła sukienkę, bo ta ci się jakoś pognięta... Trzeba im się tu jakoś pokazać, żeby nas, panie mości dzieju, nie wzięli na języki... Ogarnijże mi się, słyszysz!... Prosty kołek ociesać, to przecie szykowniejszy... (*do Seweryna*) Gdzież to te pokoje?...

SEWERYN Zaprowadzę państwa. (*do Heleny, podając jej ramię*) służę pani. (*ona się wzdraga*)

HELENA (*do ucha ojcu*) Tatuńciu, on mnie chce wziąć pod rękę.

DAMAZY (*cicho*) Moja kochana, nie róbże mi wstydu...

SEWERYN (*na stronie*) Odskokczyła, jakbym ją sparzył...

DAMAZY No, idźcież naprzód... (*na stronie, zadowolony*) Jednak to znać szkołę, dziewczyna wymusztrowana jak...

SCENA XIII

POPZEDZAJĄCY, ŻEGOCINA, REJENT. Wchodzą z lewej strony.

ŻEGOCINA (*wsparta na Rejencie, wchodzi z wolna, z chustką na oczach; zbliżywszy się do Damazego, opiera głowę na jego ramieniu; z płaczem*) Bracie! mój bracie!

DAMAZY (*na stronie*) Masz babo redutę! (*zakłopotany*) A to mnie zajęła!

ŻEGOCINA Nie spodziewałam się, żeby twoje przybycie, widok twój tak mi żywo przedstawił na oczy stratę, jaką poniosłam...

DAMAZY (*całując ją w rękę*) No, toż nie moja wina, panie mości dzieju.

ŻEGOCINA Ach, czyż ja to mówię! Owszem, wdzięczną bratu jestem... takie łzy, to pociecha.

DAMAZY Hm hm...

ŻEGOCINA Tyle lat przeżyliśmy razem... zeszyły nam jak jeden dzień... bo nieboszczyk kochał mnie szalenie...

DAMAZY Hm hm...

(*Seweryn, zamieniwszy z Helenką kilka słów ceremonialnych, wychodzi na lewo*)

ŻEGOCINA Ach, przytomną mi jest zawsze ta chwila, gdy na łożu boleści, konający już, kłopotał się o moją przyszłość... nie mógł już mówić, a oczami żegnał mnie... Ach, tego wzroku nie zapomnę!

DAMAZY (*wzruszony*) Czy bardzo cierpiał?

ŻEGOCINA W ostatnich kilku tygodniach szczególnie. Staralam się osładzać mu te cierpienia, jak mogłam. (*po krótkim milczeniu, z emfazą*) Ale dajmy już temu pokój, nie kładźmy piętna smutku na tę chwilę naszego zbliżenia... (*do Heleny*) Miło mi odnowić znajomość i bliższe, daj Boże, stosunki z Heleną. (*całuje ją*) Jak ślicznie wyrosła... Pragnęłabym, kochanie, aby ci tu było tak dobrze, żebyś nie tęskniła za domem. (*zwracając się do Rejenta i Damazego*) Panowie się znacie zapewne...

DAMAZY Nie mam, panie mości dzieju, przyjemności...

REJENT (*kordialnie, podając rękę*) Jak to! Rejent Bajdalski!

DAMAZY Coś niby tego... ale nie przypominam sobie...

REJENT Przyjaciół, bez przechwałek, nieboszczyka pańskiego brata...

DAMAZY Od dawna nie komunikowaliśmy się z bratem... chyba bardzo rzadko, chociaż nie z mojej winy, panie mości dzieju...
(*Żegocina na stronie rozmawia z Heleną*)

REJENT Ale pomimo to my się znamy e... e... e... Wszak pan szanowny sprzedawałeś kiedyś wełnę Mortkowi w Tatarowie?

DAMAZY Ja jemu co rok sprzedaję.

REJENT To właśnie byłem przytomny jednej takiej transakcji, która się odbywała w sklepie u Icka... Jeszcze potem wypiliśmy butelkę wina.

DAMAZY (*usiłując sobie przypomnieć*) A prawda, prawda, (*ściskają się*) ale jaką to pan masz lokalną pamięć, panie mości dzieju, bo ja sobie nic a nic nie przypominam.

REJENT O, ja, szanowny panie, gdy raz kogo widzę, to już nie zapomnę.

DAMAZY (*na stronie*) Kiedy to było? W łeb strzel, nie pamiętam.
(*wchodzi Mańka i szepcze Żegocinie do ucha; obie z Heleną patrzą na siebie ciekawie*)

ŻEGOCINA Dobrze, dobrze. (*do Damazego*) Niech pan brat będzie łaskaw ze mną... Po podróży musicie się rozgościć, spocząć... Chodź, Helusiu. (*bierze ją pod rękę*)

DAMAZY Służymy. (*do Rejenta, zatrzymując się przed drzwiami*) Ale przepraszam acana dobrodzieja, teraz jakbym sobie przypomniał. (*stanowczo*) To nie pan byłeś wtenczas u Icka.

REJENT Nie ja?

DAMAZY Był nasz rejent okręgowy, Głowacz... więc to musiało być kiedy indziej.

REJENT Może być, detalicznie sobie nie przypominam... ale wiem, że się znamy... Tylko że widać moje pospolite rysy nie utkwily szanownemu panu w pamięci...

DAMAZY Owszem, panie mości dzieju, takie rysy, jak pan masz, nie zapominają się... to nie są rysy pospolite... toteż tym mi dziwniej...

REJENT Pan mi pochlebiasz... (*u drzwi*) Proszę...

DAMAZY Ale gdzie tam, pan masz coś w fizjonomii... (*ceremoniując się*) Niechże pan będzie łaskaw...

REJENT Panie, ja tu jakby domowy.

DAMAZY Za pozwoleniem, a czy to nie było czasem w Kołkowicach na jarmarku... kupowałem wtenczas woły.

REJENT Właśnie, właśnie.

DAMAZY A widzi pan, ja jednak wiedziałem, że to nie było u Icka... (*wychodzą na lewo*)

SCENA XIV

MAŃKA, potem SEWERYN.

MAŃKA (*ze smutnym uśmiechem*) A mnie jakby nie było; jakbym dla nich nie istniała. (*po chwili*) Nie wiem, dlaczego czuję jakąś obawę, serce mi się ściska, tak jakby z przybyciem tych gości czekało mnie coś przykrego... Przed chwilą, zszedłszy się z Sewerynem, zagadnęłam go... nie odpowiedziawszy przeszedł... Widocznie udał, że mnie nie widzi... Co mu się stało?... A, to on... (*Seweryn wchodzi głębią, nie widząc Mańki, zamyślony chodzi po scenie; Mańka zbliżając się i badawczo spoglądając mu w oczy*) Cóż to za chmura na czole?

SEWERYN (*bierze jej ręce, po chwili*) Nadeszła chwila.

MAŃKA (*niespokojna*) Jaka chwila?

SEWERYN Chwila, w której potrzebujemy męstwa... Mańka, powiedz, czy ty mnie kochasz?

MAŃKA (*jak wyżej*) Skądże to pytanie?

SEWERYN Czy ty wierzysz, że ja chcę dla ciebie jak najlepiej? Mów!

MAŃKA (*z goryczą*) Alboż ja wiem, skądżeż ja mogę być pewną, kiedy pan sam nim nie jesteś.

SEWERYN (*z ogniem*) Dziewczyno, gdybym był ograniczony, uwierzyłbym z pewnością, że wzięłaś w pomoc czary... Ja bez ciebie żyć bym nie mógł, czuję to teraz dopiero.

MAŃKA Dlaczegoż teraz dopiero?

SEWERYN Mańka, słuchaj mnie i zastanów się dobrze nad tym, co powiem. My możemy być szczęśliwi do pozazdrosczenia, gdybyś tylko chciała zrozumieć swoje i moje położenie i nie miała nierozsądnych skrupułów.

MAŃKA (*zdziwiona*) Skrupułów?

SEWERYN Gdybyś się otrząsała z tych jakichś rojeń niepodobnych do urzeczywistnienia.

MAŃKA Cóż ja roję? Roję o twoim sercu, czyżbym się zawiodła?

SEWERYN O, to serce twoim jest i będzie.

MAŃKA Więc cóż?

SEWERYN (*po chwili*) Całe nasze szczęście zawisło od naszej swobody, od wyzwolenia się spod tej opieki, która mnie przygniata... a na to... jest tylko jeden sposób... (*po chwili*) Mańka! Ja muszę się żenić...

MAŃKA (*nie pojmując*) Jak to? Z kim?

SEWERYN Domyśl się.

MAŃKA Ach!... (*po chwili, z nienaturalnym śmiechem*) Cha! cha! cha!

SEWERYN Ty się śmiejesz?

MAŃKA (*pasując się z płaczem*) Cóż mam robić?

SEWERYN Manieczko!

MAŃKA Nie, ty mnie doświadczasz, próbujesz... przyznaj się...

SEWERYN Moje dziecko, miej rozum...

MAŃKA (*wybuchając płaczem*) Ja tego nie przeżyję!

SEWERYN Jest! Już płacz, beki...

MAŃKA Nie płaczę, nie... (*chwyta się za piersi*) Ale serce, serce!

SEWERYN Maniu, Manieczko! Ja ci przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, że ciebie jedną tylko kocham i że będziesz najszczęśliwszą...

MAŃKA Ach! (*tlumi płacz*) Jak się pan Boga nie boisz, mówiąc to... (*odsuwa się od niego*)

SEWERYN Mańka! Nie przyprowadzaj mnie do ostateczności... (*Rejent wchodzi z lewej strony*) Słyszysz! nie płacz, będziesz panią... ja dla ciebie niczego nie poskapię...

MAŃKA Daj mi pan spokój!... Nie masz litości... (*wychodzi na prawo*)

SEWERYN Mańka! (*wychodzi za nią*)

SCENA XV

REJENT sam, potem SEWERYN.

REJENT (*śpiewającym tonem*) Hm hm hm!... Hm hm hm!... Powiadają, że ze wszystkich bydłał sam człowiek ma duszę, reszta tylko e... e... e... instynkt... kto wie, co lepsze? Instynktu słucha każde bydło... a człowiek? Ani instynktu, ani tego głosu... e... e... e... wewnętrznego, który zwą głosem duszy... Ho ho... paniczu, za pozwoleniem, chcesz zrobić szelmstwo... Z tamtą cię chcą żenić, a tę bałamucisz... i ja mam do tego przykładać rękę?... O nie!... Jestem człowiek uczciwy, chodzący prostymi drogami... Telegrafuję natychmiast do Genia... musi zaraz jutro tu się stawić... Panna posażna; bo cokolwiek ta baba mówi, pan Damazy ma prawo do majątku... (*siada przy biurku*) Piszę telegram... Genio pozytywista, to zrozumie rzecz praktycznie i da sobie radę... (*po chwili*) Ale może

to tak sobie tylko żarciki... Nie wiem, jak daleko są z sobą zaawansowani... (*idzie do drzwi, którymi wyszli, i patrzy przez dziurkę od klucza; w tej chwili drzwi otwierają się nagle, uderzając go w nos; wchodzi Seweryn, bardzo poruszony*)

SEWERYN (*gwałtownym tonem, nagle stanąwszy*) Co pan tu robiłeś pode drzwiami?

REJENT (*trzymając się za nos*) E... e... e...

Z a s ł o n a s p a d a

AKT DRUGI

Ogród; po lewej stronie altana, w niej stół i krzesła; po prawej ławka; w głębi mur albo sztachety z furtką pośrodku.

SCENA I

PAN DAMAZY chodzi z fajką, MAŃKA stoi z oczyma spuszczoneymi i rękoma splecionymi; potem HELENA.

DAMAZY Hm hm, nic nie wiedziałem, panie mości dzieju... Przyznaję, że mi z głowy wywietrzało... Od czasu tego głupiego ożenienia się brata nie byłem u niego ani razu... Więc powiadasz, że cię trzymano z daleka...

MAŃKA Krzywdy nie miałam, ale pani obchodziła się ze mną jak z obcą...

DAMAZY (*opryskliwie*) Pani, pani, dlaczegoż ty jej mówisz: pani?... Przecież to ona twoja wujenka... co prawda nie wiem, w którym stopniu, ale zawsze wujenka... Przecież ja i mój nieboszczyk brat byliśmy ci... czekaj no... Anzelm ożenił się, panie mości dzieju, z ciotką Balbiną, a kiedyśmy ją nazywali ciotką, no toć musiała być ciotką... Siostra rodzona Anzelma... zaraz!... Siostra Anzelma poszła, panie mości dzieju, za Paterkowskiego, a wszakże to był twój ojciec?

MAŃKA Takie noszę nazwisko.

DAMAZY A no, to widzisz — jest kuzynostwo, nawet dosyć bliskie... Mówże mi: wuju, proszę cię, moja... jakże ci na imię?

MAŃKA Mańka.

DAMAZY Co to jest „Mańka”? nie rozumiem.

MAŃKA Maria.

DAMAZY No to Marysia, a wreszcie Marynka, panie mości dzieju, a nie jakaś Mańka... Także cię przezwali!... (*gładząc ją*) Więc powiedzże mi, moja Marychna... a brat nieboszczyk jak z tobą wychodził?

MAŃKA On był dobry, ale... tylko jakeśmy byli sami; przy pani...

DAMAZY (*tupnąwszy nogą*) Przy wujence!...

MAŃKA Przy wujence udawał obojętnego, ale mi nigdy nic złego nie powiedział.

DAMAZY Słaby — szlamazara — pantofel!

MAŃKA Owszem, brał nieraz moją stronę...

DAMAZY (*opryskliwie*) Cóż, katowała cię... biła?

MAŃKA Nie, ale była ze mną zawsze tak zimną, tak odpychającą...

DAMAZY No, muszę ja w to wejść, panie gości dzieju, koniec końcem jesteś naszą siostrzenicą, i kwita.

MAŃKA Jaki pan dobry!

DAMAZY (*ostro*) Wuj... powtórz!

MAŃKA Jaki wuj dobry!

DAMAZY I przyzwyczajaj się do tego... Wstyd, hańba, żeby nasza krewna, panie gości dzieju, była traktowaną jak popychadło z kredensu, Mańka jakaś... tfy!

HELENA (*wchodzi z prawej strony, nucąc i układając bukiet*) Tra la la la! La la! co za róże, co za róże!... (*zrywa z krzaka*)

DAMAZY Heluś, pójdź no tu!

HELENA Patrz, tatuńciu, jaki będzie prześliczny bukiet... tra la la!

DAMAZY Dla kogóż to?

HELENA (*śpiewając*) Dla stryjenki, dla stryjenki.

DAMAZY Hm!... (*niecierpliwie*) Pójdźże! (*popychając ją do Mańki*) Pocałujcie się!

HELENA (*nie rozumiejąc spogląda na niego*) Cha! cha! cha!... tatuńcio...

DAMAZY Cóż, nie potrafisz?

HELENA (*niby urażona*) Proszę! (*z zabawnym dygiem, sznurując usta, całuje ją na powietrzu*) Czy tak?

DAMAZY Nie tak... serdecznie... bo to twoja siostra...

HELENA Siostra! Ach, to co innego... (*rzuca się na szyję i całuje*) Ja tak lubię całować! Całowałabym wszystkich... i tatuńcia także, dobrze? (*rzuca mu się na szyję*)

DAMAZY No no, bez tych...

HELENA (*do Mańki*) Jeszcze raz! (*całuje ją*)

DAMAZY Dosyć, dosyć — zostaw też trochę na później... (*opryskliwie*) Wy, kobiety, to wszystko tak... bez umiarkowania... hm... hm... Bawcież się tu sobie i poznajcie się bliżej. (*odchodzi na lewo, Helena odprowadza go i szeptem na stronie, po czym wraca*)

SCENA II

MAŃKA, HELENA.

MAŃKA (*na stronie*) Czyż to nie jest szyderstwem losu, mój Boże... znaleźć siostrę w tej, która nam zadaje najboleśniejszą ranę... (*znękana*) Serce mi pęka.

HELENA (*wracając w podskokach i biorąc jej ręce*) Więc ty jesteś moją siostrą... ach, jak to dobrze... jaka jestem kontenta, że mam z kim rozmawiać poufale; nigdy nie miałam towarzyski, przyjaciółki... U nas, powiadam ci, jak w klasztorze, z nikim nie żyjemy i gdyby nie Dziubalska... ale cóż... bardzo dobra kobieta, ale taka zabawna... wiecznie kładzie kabałę dla mnie... ja jestem dama kierowa, a król kierowy mój przyszły mąż!... (*śmieje się*) I tak zawsze, wyobraź sobie, poszachruje, że ten król wiecznie przy mnie.

MAŃKA (*smutnie*) Toteż wywróżyła ci.

HELENA Ho ho, to jeszcze może być rozmaicie... trzeba się powzdragać... Słuchaj no, czy ty lubisz kwiaty? Pomożesz mi ułożyć bukiet? Pójdź... (*zrywają*) Ach, jakie śliczne dwa motylki gonią się... czekaj... czekaj — czekaj... usiadłszy, nie spłosz ich... (*czai się*) Jeden pan Antoni, drugi pan Seweryn... Który się da złapać, tego będę wołała. (*śmieje się*) Ach, uciekły obadwa, dobryś!

MAŃKA (*złośliwie*) Zwykle następstwo uganiania się za dwoma.

HELENA Cóż to szkodzi? Jeden ładny i drugi ładny.

MAŃKA (*jak wyżej*) Ale podobno jednego tylko wolno wybrać.

HELENA (*figlarnie*) Motylka?

MAŃKA Albożeś o motylkach myślała?

HELENA (*zawstydzona*) Jakaś ty szkaradna!

MAŃKA Wszak jeden miał być pan Antoni, drugi pan Seweryn.

HELENA Otóż widzisz, kiedyś ty moja siostra, to mam ochotę zwierzyć ci się, powiedzieć ci coś w wielkim sekrecie, tylko mnie nie wydaj... Siadaj no... (*sadza ją przy sobie*) Nie ma tu kogo? Nie podsłucha nas kto?

MAŃKA Nie ma.

HELENA Wiesz naturalnie, że pan Antoni mieszka niedaleko nas, w sąsiedztwie, jeszcze nieboszczyk stryj wziął dla niego niewielką dzierżawkę, na której podobno dosyć dobrze mu idzie... Otóż zaczął bywać u nas i podobno myśli o mnie.

MAŃKA (*patrząc jej w oczy*) A ty za to cierpieć go nie możesz...

HELENA Cóż ty znowu pleciesz?

MAŃKA Więc kochasz go?

HELENA Zdaje mi się, że go bardzo lubię... (*po chwili, naiwnie*) Słuchaj no, czy to może się zdawać?

MAŃKA (*ironicznie, chcąc wstać*) Samo to pytanie...

HELENA (*przytrzymując ją*) Czekaj no, posłuchaj... On taki poczciwy, u nas nikt a nikt prawie nie bywa, a on zagląda prawie co drugi dzień... przywozi mi książki do czytania... takie śliczne, powiadam ci... Czy ty czytujesz książki?

MAŃKA Nie mam czasu, rzadko kiedy.

HELENA O, tak żałuj... nie uwierzysz, jak to przyjemnie... to takie ciekawe rzeczy...

MAŃKA Więc cóż pan Antoni?

HELENA Bywa bardzo często... Dziubalsia, w której ma wielką przyjaciółkę, powiada, że on kocha się we mnie...

MAŃKA Czy to wiesz tylko od niej?

HELENA (*spuszczając oczy*) Naturalnie. (*po chwili*) Ach, żebyś wiedziała, jak mi serce biło, gdy się oświadczył...

MAŃKA A więc oświadczył się!

HELENA Tak... na wpół... ojciec nawet nie wie o tym, wstydziłam się powiedzieć, tobie pierwszej się przyznaję... A powiadam ci, jaki był wzruszony!... Cały drżał, mnie zaś jakby kto gorącą wodą oblał. Wyobraź sobie, tak się zmieszałam, że nie wiedziałam, co z sobą zrobić... a jednak tak mi było przyjemnie, tak jakoś błogo... Czy tobie oświadczył się kto kiedy?

MAŃKA W moim położeniu... uboga sierota, czyż mogę marzyć o tym?

HELENA O, tylko nie przesadzaj... a ja czyż jestem milionerką?... Jeżeli Antoni mnie kocha, to przecie z interesu tego nie robi.

MAŃKA (*gorąco*) A ty nawet nie cenisz tego przywiązania!

HELENA Kiedy, widzisz, od wczoraj... jakeśmy tu przyjechali... tylko, moja droga, nie mów o tym nikomu... ojciec jakoś, co był widocznie przychylny Antoniemu i nieraz, gdy był w

dobrym humorze, dokuczał mi dwuznacznikami, teraz jakby się zmienił... inaczej mówi...
(*po chwili*) Po prostu... nie wiem... ale zdaje mi się, że życzy sobie pana Seweryna.

MAŃKA I cóż ty na to?

HELENA Ja? Boże drogi! Czy ja wiem sama, co robić... Podobno stryjenka pragnie, żebyśmy się pobrali.

MAŃKA (*na stronie*) Boże, Boże!

HELENA Oddaje nam jakąś część majątku; ojciec, niby nic wyraźnie nie mówiąc, daje do zrozumienia, że tym sposobem nastąpi zgoda familijna... Teraz sama nie wiem, co począć...

MAŃKA Poradz się serca, jeżeli ono przemawia za panem Antonim...

HELENA Naturalnie, ale jak nie będą na to uważać?

MAŃKA Przecież niepodobna, żeby cię zmusili.

HELENA Ach, ja się tego okropnie boję... Ten projekt zdaje się tak cieszyć ojca i stryjenkę...

MAŃKA (*wstając, wzruszona*) A gdyby też ten, którego ci przeznaczają, kochał inną?

HELENA (*wstając*) Ach, jakby to było dobrze!... Czy wiesz co o tym?

MAŃKA Mogę ci powiedzieć, że tak jest.

HELENA No proszę!... Jakżeż to można!... E, to chyba nic takiego — po cóż by ta komedia...

MAŃKA Będzie ją odgrywał z woli ciotki, udając starającego się... O, patrz mu dobrze w oczy, bo gdy będzie mówił, że cię kocha — skłamię, zgotowałambyś sobie męczarnie na całe życie — ostrzegam cię!

HELENA Ach, w jakim ja strachu jestem!

MAŃKA Najlepiej by było powiedzieć wyraźnie ojcu — odkryć mu swoje uczucia...

HELENA Czyż ja się odważę? Żeby tak matce, to co innego... tacio zacznie drwić ze mnie, dwuznaczniki mówić, chociaż kocha mnie, bardzo kocha!

MAŃKA Toteż tym łatwiej ci pójdzie.

HELENA Ale, tak ci się zdaje... chociaż to tacio, ale zawsze mężczyzna, jakże mu tak po prostu powiedzieć, na przykład: „Kocham pana Antoniego”... ach, dlaboga, ja bym się spaliła ze wstydu...

MAŃKA (*obejrawszy się*) Patrz, to on, przekonamy się zaraz... (*odchodzi w głąb*)

HELENA Ach, nie odchodź... gdzie ty idziesz?... (*wchodzi Seweryn; ona udając, że go nie widzi, zrywa kwiaty, zbliżając się powoli ku wyjściu*)

SCENA III

MAŃKA ukryta, HELENA, SEWERYN; później ANTONI; później DAMAZY.

SEWERYN (*wchodząc z prawej strony, przystaje i spogląda na Helenę, robiąc gest lekceważący; po chwili na stronie*) Myślałem, że to rzecz prosta ożenić się z pierwszą lepszą, byle się oswobodzić... zapomniałem o małej rzeczy, to jest o konieczności odgrywania roli konkurenta... żadna nić sympatyczna nas nie wiąże... ha! trudno! (*głośno*) Dzień dobry pannie Helenie.

HELENA (*zajęta kwiatami*) Dzień dobry panu.

SEWERYN Pani wyszła na spacer?

HELENA Tak, panie.

SEWERYN Pani się nie spodziewała mię tu zastać?

HELENA Nie, panie.

SEWERYN (*na stronie, powtarzając*) Tak, panie — nie, panie... (*po chwili, głośno*) Jakże się pani tu podobało u nas?

HELENA O, bardzo!

SEWERYN (*ze sztucznym uniesieniem*) Ach, jak mię to uszczęśliwia!

HELENA Dlaczego?

SEWERYN Dlaczego? (*na stronie*) Co jej powiedzieć?... (*głośno, roztargniony*) I pani się pytasz?

HELENA Naturalnie.

SEWERYN Nie! Ja się tu robię idiotą... (*po chwili, głośno*) A ja byłbym ciekawy, dla kogo przeznaczony ten prześliczny bukiet, tym piękniejszy, że te rączki go układały... (*na stronie*) No, jakoś poszło!

HELENA Dla stryjenki, mój panie!

SEWERYN Czy mógłbym prosić o jedną chociaż z niego różyczkę?

MAŃKA (*która się zbliżyła, bardzo wzruszona*) Ja panu wybiorę. (*Seweryn zmięszany*)

HELENA (*podsuwając bukiet, wesóło*) Patrz, tę... (*Seweryn bierze machinalnie z rąk Mańki*)
Widzisz pan, jaka przepyszna... Mania własną ręką ją zerwała.

SEWERYN A!... (*na stronie, nie wiedząc, co z różą robić*) Miła sytuacja — ani słowa.

MAŃKA (*wzruszona, cicho, podczas gdy Helena usunęła się*) Czy panu przykrość zrobiłam?
(*drżąc, ze łzami w głosie*) Jeżeli masz rzucić, to oddaj mi... schowam jako pamiątkę, że
była w twoim ręku...

SEWERYN (*cicho*) Wiesz, że dla tego samego powodu ma cenę dla mnie... (*po chwili*) Ale
walczyć z koniecznością, gdy jest nieubłagana, nie podobna... Mańka! Zaklinam cię, panuj
nad sobą!

MAŃKA (*z boleścią*) Ach! (*powstrzymuje łzy*)
(*Z prawej strony wchodzi Antoni, zbliża się do Heleny i gestem podziwia bukiet*)

HELENA (*dając mu wachać*) Pochwal pan! (*przechadzają się w głębi, rozmawiając*)

ANTONI Prześliczny! (*po chwili*) Jak to my na wszystko patrzymy przez szkiełka zabarwio-
ne według własnego widzenia... Dom ciotki był mi zawsze obojętnym, atmosfera tutejsza
ciężyla mi; dziś, gdy pani w nim bawisz, stał mi się rajem...

HELENA (*dając mu różę, zartobliwie*) Masz pan za komplement.

ANTONI Dziękuję za kwiatek, ale oponuję przeciwko definicji. Czyż to był komplement?

SEWERYN (*zbliżając się do nich*) O czymże państwo?

ANTONI Cóż ci przyjdzie z tego? Choćbyś wiedział... nie zrozumiałbyś nas...

SEWERYN A to dlaczego?

ANTONI (*znacząco*) Masz pewne uprzedzenia... a przeciwko tym trudno walczyć... To, co
dla jednego jest świętością, drugiemu może się wydawać czymś śmiesznym...

SEWERYN A, przepraszam. (*na stronie*) Oboje będą mi przeszkadzać — fatalne położenie,
(*oddala się i rzuca niechętnie na ławkę; z drugiej strony w altanie siadła Mańka oparłszy
głowę na rękę*)

DAMAZY (*przechodząc w głębi z fajką, z lewej strony ku prawej, zatrzymuje się i pykając
patrzy przez kilka chwil na Helenę i Antoniego*) Ho, ho, cóż to za interesująca, panie gości
dzieju, rozmowa...

HELENA Ach, tacio! (*biegnie ku niemu*)

DAMAZY Coś mi się panna zanadto puszczasz.

ANTONI (*nieco zmięszany, nadrabiając humorem*) Rozmawialiśmy właśnie o...

DAMAZY (*nie patrząc na niego*) Chodź no asińdzka ze mną na sprawę... (*wychodzą na prawo*)

ANTONI (*patrzy za nimi; po chwili, niespokojny*) Co to znaczy? Nie spojrział na mnie... Zaczynam się obawiać... Od wczoraj już uważam u pana Damazego jakąś zmianę... Mój Boże, ja ją tak kocham!... Czyżbym się ludził na próżno? (*idzie z wolna za nimi*)

SCENA IV

MAŃKA, SEWERYN. *Ta scena powinna być grana bardzo żywo.*

SEWERYN (*wstaje, idzie do Mańki i prowadzi ją gwałtownie na przód sceny*) Mańka! słuchaj mnie...

MAŃKA Słuchałam, niestety, może zanadto i teraz za to pokutuję.

SEWERYN Wszak wytłumaczyłem ci, o co chodzi.

MAŃKA (*chwytając się za skronie*) Ja nic nie wiem... nic nie rozumiem... rób ze mną, co chcesz, ale nie żądaj, abym własną ręką wydarła to, co tam utkwilo tak głęboko.

SEWERYN Ależ... nie rozumiesz mnie! Ja cię zawsze kocham!

MAŃKA (*gorzko*) Kochasz?

SEWERYN Kocham, szalona, wiesz dobrze o tym; przez to właśnie, że chcę się poświęcić, daję najlepszy dowód, czym jesteś dla mnie.

MAŃKA (*unosząc się*) Za co mnie masz? Za co? Powiedz!

SEWERYN (*porywając jej rękę*) Za istotę, do której jakieś złe duchy przywiązały mnie... Ja bym nie wyżył bez ciebie... ja cię mieć muszę... dla siebie, stworzyć ci życie, o jakim nie marzyłaś... (*gwałtownie*) Nie płacz, bo mię doprowadzisz do ostateczności!

MAŃKA Czyż może być większa, jak kazać mi słuchać podobnych słów.

SEWERYN Więc cóż począć? Wiesz, że nie mam nic swojego, a gdy się ożenię podług woli ciotki, da mi majątek... to wszystko będzie twoim!...

MAŃKA (*z płaczem*) I on nawet nie widzi całej potworności tego, co mówi! To trzeba być bez sumienia!

SEWERYN Ależ któż winien temu wszystkiemu? Powiedz! Ja nie!

MAŃKA Tym mniej ja. Któż tu kogo złudził i oszukał?

SEWERYN Tyś winna. (*chwytając ją w objęcia i patrząc namiętnie w oczy*) Po cóż w tych oczach siedzi jakiś szatan, który mię kusi, odbiera rozum i z człowieka robi idiotę... Widziałś! Ja przy tej gąsce języka nie mogłem odnaleźć, plotłem jak żak...

MAŃKA (*uwalniając się z jego objęć*) Nie, ja tego pojąć nie mogę, to niegodziwość...

SEWERYN (*unosząc się, grozi jej pięściami*) Mańka!

MAŃKA Mówię ci, wybij mnie, skatuj! Do nóg ci padnę... (*z mocnym płaczem*) ale nie depcz, nie pomiataj!...

SEWERYN (*zgnębany*) Ha, to oszaleć przyjdzie! Więc co robić? Co? Mów! Radź... Jakież jest śródek?... (*biorąc ją znowu w objęcia, czulej*) Daj mi miliony, a dziś pójdę z tobą do ołtarza...

MAŃKA (*po chwili, popatrzawszy mu w oczy, kładąc głowę na jego piersiach*) Cóż nam po milionach?

SEWERYN (*ogłąda się niespokojnie; na stronie*) Jeszcze nas kto podpatrzy...

MAŃKA (*usuwając się, z łagodnym wyrzutem*) Boisz się... wstydzisz uczuć, które mi zaprzysięgałeś...

SEWERYN (*tonem perswazji*) Zastanów się!... Cóż by to za życie było... miłość o głodzie... weź na rozum...

MAŃKA Nie miałam go, gdym słuchała twoich zaklęć... dziś go już nie odnajdę, sam temu winieneś...

SEWERYN (*zaciskając pięści*) Och!

MAŃKA (*z krzykiem, porywając się za głowę*) Ja oszaleję!

SEWERYN Cicho, na Boga!... (*ogłąda się*) Nie unosze się, nie rób scen, (*chce wiaść jej rękę, ona się usuwa*) wszakże wiesz, że co robię, to tylko dla ciebie, że po prostu poświęcam się... Mojego serca nikt ci nie odbierze, nawet żona. (*Mańka robi gest głową*) Znowu się unosisz, posłuchaj... sam wiem, że to jest może niegodziwością, że oszukuję ją, że zdradzam rodzonego brata, ale to właśnie dowód ślepej namiętności ku tobie... Mańko, nie utrudniaj mi i tak już ciężkiego zadania, raz zrozumiej dobrze nasze położenie... byle tylko raz wyzwolić się, potem się z nią rozwiode...

MAŃKA Ja się jeszcze boję Pana Boga; może mnie doprowadzisz do tego, że o Nim zapomnę, ale dotychczas jeszcze nie.

SEWERYN Mańka!

MAŃKA Już i tak zrobiłaś ze mnie przewrotną obłudnicę, muszę się kryć, grać komedię, kłamać, lecz przynajmniej mogę się jeszcze czymś usprawiedliwić. Ale potem jakim ja czołem przyjąłabym co od ciebie, jakim czołem oszukiwałabym tę, która do wszystkiego

tego będzie miała prawo, tak do majątku, jak do ciebie samego. *(z płaczem)* Ach, ja bym co chwila obawiała się kary boskiej.

SEWERYN Ale nie przesadzaj, nie poetyzuj. *(na stronie)* Jak jej to wybić z głowy?... *(głośno)* Tyle ludzi żeni się bez przywiązania, i to na całe życie, a ja mówię ci, że się rozwiodę, powiem, że nasze usposobienia nie zgadzają się... Toż to prosta rzecz, winuj o to ciotkę, która pod pozorem dobrodziejstwa frymarczy nami... *(mocniej)* Ja mam prawo zresztą do tego majątku, prędzej czy później... to moje!

MAŃKA *(z obawą patrzy mu w oczy)* Więc słuchaj, choć będę szła jak na stracenie, padnę jej do nóg i wyznam wszystko... może nam co udzieli tymczasem, chociaż cokolwiek, a przy boskiej pomocy...

SEWERYN *(gwałtownie)* Czyś ty przy zdrowych zmysłach, czy szalona?

MAŃKA *(z bólem)* O mój Boże!

SEWERYN *(rzucając w nią różę, którą ciągle miał w ręku)* Chcesz mnie zgubić. *(chodzi wielkimi krokami, nareszcie w poruszeniu odchodzi. Mańka chcąc podnieść różę przykłęka i tak pozostaje, nie widząc nikogo, osłupiała)*

SCENA V

POPZEDZAJĄCY, TYKALSKA, REJENT, potem JAN.

TYKALSKA *(z pończochą, do Seweryna żartobliwie, zastępując mu drogę)* No no no, czegoż się tak zaczupurzył... zaczekaj no!

SEWERYN *(opryskliwie)* O, dajże mi ciotka pokój! *(wychodzi)*

TYKALSKA Co to, Mańka aż padła na ziemię, co się tu porobiło?

REJENT *(na stronie)* Zaczynają się skandaliczne sceny, to dobrze...

TYKALSKA *(podnosząc ją)* Manieczko, co ci? Czyś ty zasłabła?

MAŃKA *(śmiejąc się z wysileniem)* Cha! cha! cha!... Nie!

TYKALSKA A czegoż kłęczysz?... Czyście się tu przemówili?...

MAŃKA *(jak wyżej)* Nie! Upuściłam różę i chcąc ją podnieść... przykłękałam...

TYKALSKA A Seweryn co tu robił?

MAŃKA Nie wiem... przechodził tędy...

TYKALSKA (*kiwając głową*) Hm, hm, hm... ejże, tu między wami coś było... (*przygląda się jej*) płakałaś... ale co tam, otrzyj oczki... nie kłopotz się... (*do ucha*) kto się lubi, ten się czubi... Poprzykaliście się, to się i pogodzicie, ja ci powiadam... (*całuje ją w głowę, Mańka ją w rękę*)

REJENT (*do odchodzącej Mańki*) Brawo, brawo!... Trzymać się f e r m, bronić swoich praw...

MAŃKA (*zatrzymując się*) Nie rozumiem pana...

REJENT Najgorsza broń w ręku kobiety — powolność i zbytek poświęcenia... Nic prędzej nie znudzi i nie odstręczy...

MAŃKA Pan widocznie żartujesz ze mnie. (*odchodzi*)

JAN (*spotykając się z nią przy wyjściu*) Proszę panienki...

MAŃKA (*ziřytowana*) Czego chcesz?

JAN Pani kazała nakryć do śniadania tu, w altanie...

MAŃKA (*jak wyżej*) Więc cóż, to nakrywaj.

JAN Ale pani kazała powiedzieć, żeby... (*idąc z nią, mówi cicho*)

MAŃKA (*na stronie, przyciskając ręką czoło*) Ach, Boże, Boże!... (*wychodzą*)

SCENA VI

REJENT, TYKALSKA, potem MAŃKA, JAN.

REJENT (*na stronie*) Żeby też jedna powiedziała to, co myśli... Jeżeli ona nie zrozumiała, to ja nie jestem rejentem, i to jeszcze Bajdalskim...

TYKALSKA (*z westchnieniem*) Biedaczka!

REJENT Kto?

TYKALSKA A któż by?... Ta sierotka... (*robiąc pończochę siada na ławce*) Już to muszę powiedzieć, że póki żył nieboszczyk, było jakoś inaczej... kochał ją jak własne dziecko...

REJENT A może też rzeczywiście... e... e... e...

TYKALSKA (*zgorzozona*) A mój panie, fe... fe!...

REJENT (*siada obok niej*) Ale cóż tak dziwnego, ludzie są ludźmi, dobra pani...

TYKALSKA Ale cóż znowu...

REJENT Ładna panienka... *(po chwili)* Pan Seweryn... e... e... e...

TYKALSKA *(patrząc mu w oczy)* Co pan Seweryn? Mój panie, dlaczego pan przytykasz do niej Sewerynka? Ciekawam bardzo.

REJENT Tak mi jakoś przyszło na myśl...

TYKALSKA Nieładnie. *(po chwili)* Chociaż żebyś pan wiedział to, co ja wiem... ho ho... tylko, że nie mogę powiedzieć.

REJENT Jak to? Tajemnica?

TYKALSKA A nie inaczej. Powiadają, że kobiety mają długie języki, ale to bajki, mój panie, niejeden mężczyzna większy papla niż dziesięć kobiet...

REJENT I to się trafia, dobra pani.

TYKALSKA Już nie trzeba jak mój Tobunio nieboszczyk, co to była za pocziwa dusza, powiadam panu... ale taki baba, że niech Bóg broni!... Jak co wiedział, to zachorowałby, żeby w ten moment nie wypaplał... Ja bym panu zresztą powiedziała, ale gdzież to!...

REJENT *(ironicznie)* Jeżeli sekret, nie narzucam się wcale... e... e... e... Bądź co bądź, kobieta umiejąca dochować tajemnicy jest rzadkością, którą umiem uszanować!...

TYKALSKA Kiedy tak, to panu powiem, bo wiem, że nikomu nie powtórzysz. *(po chwili, tajemniczo)* Trzeba panu wiedzieć, że Seweryn z Mańką mają romans...

REJENT *(udając zdziwienie)* Pfiu! Proszę!...

TYKALSKA Jakem pocziwa!... Oho, mnie nie oszukają... tylko cicho... na miłość boską... bo jakby to doszło do siostruni...

REJENT Pani Żegocina ma zapewne inne plany?...

TYKALSKA Nie mówię nic na to, że zapewne wszystko mu zapisze, bo to gagatek, mój panie... niech sobie ma... i owszem! Ale właśnie cóż by to szkodziło, żeby się niebożątka pobrali... powiedz pan sam...

REJENT Już to panie lubicie swatać, to rzecz wiadoma...

TYKALSKA Ładnie patrzeć, jak się takich dwoje dzieciuchów kochają... *(po chwili)* Ja poszłam za Tobunia tylko z przywiązania i nie skarżyłam się nigdy, chociaż był goły jak kapucyn... bieda była taka, żeby siekierką nie urąbał...

REJENT Dobra pani, wzajemna miłość to skarb największy; miałem żonę, to wiem.

TYKALSKA Jeżeliby siostrunia nie chciała o nich wiedzieć, to ja jednak znajdę na to sposób... znajdę, jakem pocziwa!...

REJENT Miałabyś pani zasługę przed Bogiem, ale jakież to sposób?

TYKALSKA O mój panie, co tam będę się legitymować... *(więcej do siebie)* Kiedy powiadam, że znajdę, to znajdę... Co miało być dla samego Anteczka, to podzielę na dwoje.

REJENT Czy pani masz jakie kapitały?

TYKALSKA Może i mam... *(zamyśla się i uśmiecha do siebie)*

REJENT *(na stronie, wstając)* Domyślałem się, że baba gra komedię... ów kapucyn... Tobu-
nio musiał jej zostawić coś grosza... procenciaki sobie ciuła, a siostruni siedzi na karku.
(głośno) Nie wkradam się w zaufanie pani, ale zwrócę uwagę, iż może fundusze jej są źle
ulożone, niepewne... jako prawnik, a z zasady człowiek, bez przechwałek, bezinteresowny, mógłbym może dać jaką radę...

TYKALSKA Nie, nie, mój panie, ślicznie dziękuję, to tam nie warto nawet mówić o tym, to się nie da.

REJENT *(na stronie)* Babska natura! Jak wypaplać co na kogo, to język świerzbi, a jak chodzi o to, żeby się nie wygadać, co ma zaszyte gdzieś w spodnicy, to zaciśnie zęby... *(po chwili, patrząc na zegarek)* Genia tylko patrzeć... pociąg już musi być na stacji.
(przed końcem tej sceny weszła Mańka z Janem, który pod jej nadzorem zastawia stół w altanie)

SCENA VII

POPZEDZAJĄCY, ŻEGOCINA pod rękę z HELENA, PAN DAMAZY, po chwili ANTONI.

ŻEGOCINA *(do Rejenta, do którego zbliżyła się, puściwszy Helenę)* Cóż, rejencie... pójdzie to... jakże ci się zdaje? Mówiłeś z nim od siebie?

REJENT Z wolna, z wolna, dobra pani, przygotowuję grunt... O, w interesach tego rodzaju przede wszystkim cierpliwości... pośpiech może zgubić wszystko...

ŻEGOCINA Polegam na panu... mnie dotychczas dosyć się udaje... moje insynuacje przyjął bardzo dobrze. *(do Damazego, który stanąwszy przy stole spogląda na zastawione jedzenie)* Brat patrzysz, że taka skromna zastawa...

DAMAZY Wolne żarty, panie mości dzieju... dziesięciu głodnych by się najadło.

ŻEGOCINA Bo to tylko maleńka przekąska... z apetytami schowajcie się, panowie, na obiad... *(stojąc za stołem)* A tymczasem proszę na to, co jest... *(oglądając się)* Ale gdzież to jest Sewerynek? *(do Heleny, która pozostawszy w głębi rozmawia z Antonim)* Heleńciu, prosimy.

DAMAZY (*idąc po nią*) Moja kochana, nie chowajże się po kątach... siadaj tu razem...

HELENA Tatumieczku, kiedy ja wcale nie głodna, jak tatuńcię kocham...

DAMAZY To nie racja, siedź tu. Cóż to znowu? (*poruszenie Antoniego*)

HELENA (*z dąsem*) Och, Boże! (*siada obok Żegociny*)

DAMAZY (*sposzrzegłszy Mańkę stojącą na boku*) A Marynka?

ŻEGOCINA Kto taki? (*nieukontentowana, widząc, że pan Damazy idzie po nią*) A, ona ma zatrudnienie.

DAMAZY (*przyrowadza ją*) Siadaj także. (*sadza ją obok Heleny. Żegocina wzrusza ramionami; do Tykalskiej — która, przechadzając się z pończochą, zbliżyła się do stołu — robiąc jej miejsce*) Proszę...

TYKALSKA Dziękuję, mój panie. (*wraca na ławkę*) Ja o tej porze nie jadam. (*zasiedli w tym porządku; z lewej strony Rejent, w głębi za stołem Żegocina, Helena, Mańka, z prawej strony pan Damazy*)

ŻEGOCINA Ale panowie zwykliście przed jedzeniem pić wódkę. (*niecierpliwie oglądając się*) Gdzież się podział Seweryn?

DAMAZY Tak niby, gwoli zalania robaka, panie mości dzieju.

ŻEGOCINA Janie, idź poproś pana Seweryna, nie wiesz, gdzie jest?

JAN W swoim pokoju. (*odchodzi*)

ANTONI Jeżeli ciotka pozwoli, ja go tymczasem zastąpię. (*nalewa, do Damazego*) Czy można do pana?

DAMAZY W niezawodne ręce, panie mości dzieju.

ŻEGOCINA (*do Rejenta, który oparłszy łokcie na stole, złożywszy ręce, spogląda pożądliwie po talerzach*) Cóż pan rejent tak się zamyślił?

REJENT Mnie, dobra pani, widok tego, co jej podobało się nazwać przekąską, nasunął sporą wiązkę uwag filozoficznych...

DAMAZY (*przed wypiciem do Rejenta*) W ręce acana dobrodzieja!

REJENT (*dziękując schyleniem głowy*) I gdybym miał talent nieboszczyka biskupa warmińskiego, napisałbym bajeczkę pod tytułem „Ludzie i wilcy”. (*bierze kieliszek*) Kiedy zgłodniały wilk porwie barana albo cielę, oburzenie nie ma granic... (*wypija, szukając oczyma przekąski*) robią obławy, ścigają go, trują, bez względu, że jest w swoim prawie, bo natura nie stworzyła go trawożernym...

ŻEGOCINA Może kawałek pasztetu?

REJENT (*nakładając na talerz*) Całuję rączki. Ale gdy ten sam człowiek, mając chleb na zaspokojenie głodu, dla zbytku morduje cielęta, prosięta, ściga po barbarzyńsku zwierzynę na to, żeby z tego zrobić w ostatku ot taki pasztet, to nikt mu tego nawet nie weźmie za złe.

DAMAZY Przyznam się acanowi dobrodziejowi, że ja pierwszy.

JAN (*wchodząc*) Pan Seweryn słaby, powiada, że nie przyjdzie.

ŻEGOCINA Słaby? Cóż mu się stało? Mańka, proszę cię, idź, dowiedz się...

TYKALSKA (*wstając*) Ja pójdę. (*na stronie*) Ta siostrunia to nie ma zastanowienia... jakżeż można! (*wychodzi*)

DAMAZY (*do Mańki*) Ale czyś i ty nie słaba, kolory wystąpiły ci na twarz.

MAŃKA (*cichym głosem*) Głowa mnie boli. (*kładzie dłoń na czole*)

REJENT (*bardzo zajęty jedzeniem*) Na przykład czy państwo nie znacie „Pana Tadeusza” Mickiewicza?

DAMAZY Tadeusza? Ja znałem, ale Marka, panie mości dzieju.

HELENA Ale, tatuńcio! Pan mówi o poemacie Mickiewicza, przecie czytałam taci wątki. (*ze spojrzeniem na Antoniego*) Pan Antoni mi przywiózł.

DAMAZY A prawda, bodajże cię!... No, przepraszam. (*do Rejenta*) Tam jest także rejent.

REJENT Więc państwo znacie i jego Zosię.

DAMAZY Tak, jest i Zosia.

REJENT Czy uwierzycie mi, że widząc na wystawie w Warszawie obraz, przedstawiający też Zosię, jak (*deklamuje*)
... Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką jak perły białą gęsty grad perłowy...
ja w tej sielance dostrzegłem najkrwawszy dramat!

ANTONI (*który stoi za nim, oparty o kulisę, wpatruje się w siedzącą naprzeciw Helenę*) A to jakim sposobem?

REJENT (*obejrząwszy się nań*) Jakim sposobem? Bardzo prostym. Na pozór jest to scena najidealniejsza... (*z pełnymi ustami*) te gąski, kury, kaczęta, wszystko to prześliczne — słyszemy, jak ta Zosia woła: tiu tiu tiu, taś taś taś... Ale wniknąwszy głębiej w sytuację umysłem filozofa... (*wypija kieliszek wina*) w jakimże celu owa sielankowa Zosia sypie im ziarna?... Żeby je utuczyć... e... e... e... a utuczywszy, tym samym białym paluszkiem skazać najpiękniejsze swoje faworytki pod nóż... i to tak sobie, z zimną krwią, jakby jej dał kto prawo do tego!

DAMAZY Jak to? Więc nie mam prawa, panie mości dzieju, zabić wołu, kiedy go utuczę? To ładnie! Po diabłaż bym mu dawał osypkę...

REJENT (*z uśmiechem wyższości*) Panie łaskawy... na to nie mam mu co odpowiedzieć.

DAMAZY Spodziewam się. (*spogląda nań z politowaniem*)

ŻEGOCINA (*do Antoniego, którego uważała, niecierpliwie*) Mój Antosiu, kiedy zastępujesz Seweryna, to bądźże uważniejszym... Uplasowałeś się umyślnie tak, żeby oczkować z Mańką...

DAMAZY (*spojrzawszy na Antoniego*) Hm, hm!... (*Mańka spogląda na nią zdziwiona*)

ŻEGOCINA A nie uważasz, że rejent ma talerz próżny.

REJENT (*któremu Antoni podał talerz*) Rządkiwka, o nie! Ślicznie dziękuję, ja jestem miłośzerny... jeżeli łaska, kawałek majonezu... (*nabiera*)

DAMAZY (*na stronie*) Teraz znowu ta się zaczerwieniła... (*głośno*) Heluś, co ci to?

HELENA (*na stronie*) Ach, Jezus Maria z tacią! (*podnosząc się, do Mańki*) Wstańmy.

ŻEGOCINA Nic nie jadłaś.

HELENA Dziękuję stryjenczce. (*całuje ją w rękę i odchodząc od stołu, na stronie*) Byłabym się pod ziemię schowała... przecież on na mnie patrzył, nie na Manię... (*przykładając rękę do twarzy*) aż mię twarz pali.

ŻEGOCINA No to nie przeszkadzajmyż tym panom. (*odchodzi od stołu, dając znać Antoniemu, żeby nalał kieliszek Rejentowi*)

ANTONI (*do Rejenta, z ironią, nalewając*) W samej rzeczy, poglądy pańskie są wielce oryginalne i tak głębokie...

REJENT We mnie, panie, leży... bez przechwałek... e... e... e... ogromny materiał na reformatora społeczeństwa, dobroczyńcę ludzkości... (*nabiera jeszcze raz*)

ANTONI Nie tylko ludzkości... a gęsi, kaczki, cielątka...

REJENT Żart żartem, ale gdybym tak miał lżejsze pióro...

ANTONI (*odchodząc po nalaniu*) A cięższą głowę... (*idzie do Heleny*)

REJENT Tak jest... (*po chwili zastanowienia*) Jak to?... (*na stronie*) „Cięższą głowę”... to zakrawa na kpiny.

ŻEGOCINA (*na stronie*) Goni za nią wyraźnie, a Seweryna nie ma... (*do Antoniego, biorąc pod rękę Helenę*) Pan Antoni zanadto sobie pozwala, zapomina, że jest w domu ciotki i że ten pan jest jej gościem.

ANTONI Nie wiedziałem, że to obowiązuje do cierpliwego słuchania bredni...

ŻEGOCINA Za młody jesteś, żebyś poprawiał ludzi. *(do Heleny)* Pójdź, Heleńciu, przejdziemy się po ogrodzie... *(do Antoniego)* Proszę tu spełniać zastępstwo gospodarza przyzwoicie. *(odchodzą na prawo)*

DAMAZY *(który oglądał się za nimi, wypija spiesznie kieliszek)* idę i ja, panie mości dzieju. *(wychodzi za nimi)*

ANTONI *(na stronie)* To wyraźna jakaś manifestacja przeciwko mnie... nie dadzą mi się do niej zbliżyć.

REJENT *(wypija wino, zapala cygaro; na stronie)* Z takimi smarkaczami to nie warto się pufalić... a gdybym ja też był prędko? *(wychodzi na prawo, rzucając na Antoniego pogardliwe spojrzenie)*

SCENA VIII

MAŃKA, ANTONI; JAN sprząta.

ANTONI Nie jestem awanturnikiem, a szukałbym z każdym zaczepki... nie cierpię deklamacji, a deklamowałbym całe tyrady o przewrotności ludzkiej... *(chodzi)* Oni popsują w głowie temu dziecku!

MAŃKA *(gorączkowo do Jana)* Sprzątaj prędzej... *(siada zamyślona)*

ANTONI *(siada machinalnie przy niej, po chwili)* Panno Mario, zdaje mi się, że możemy sobie wzajemnie wieszować: na jednej drodze, a raczej bezdrożu jesteśmy.

MAŃKA *(budząc się z zamyślenia)* Co pan mówisz?

ANTONI Wspólne nam grozi niebezpieczeństwo, nasze serca...

MAŃKA *(wstając)* Daj mi pan pokój, ja nie wiem już sama, czy mam serce...

ANTONI Masz pani, masz... dowodem to, że odczuwasz...

MAŃKA To, co odczuwam, jest w stanie podobno wyrwać ze szczętem wszystko, co tam tkwi... *(po chwili, stając przed nim)* Powiedz mi pan, czy kochając prawdziwie, można stłumić w sobie uczucie?

ANTONI Trzeba na to bardzo wzniosłych celów; dla mężczyzny podobnym celem jest sprawa ogółu, dobro ojczyzny, *(z ironią)* dla kobiety — świetna partia.

MAŃKA Fałsz!

ANTONI *(z gorzkim uśmiechem)* Fałsz?

MAŃKA Jesteś pan zbyt stronnym sędzią, abyśmy się mogli zrozumieć...

ANTONI (*chodząc także*) Pani mówiłaś o miłości prawdziwej; chodzi o to, jakie są cechy, po których można by ją poznać.

MAŃKA Jak na przykład nazwać, gdy mężczyzna przysięga jednej, przemawia do niej namiętnie, a sięga po rękę innej?

ANTONI Egoizmem. To najlepszy dowód, że nie kocha żadnej... Pożycie z osobą obojętną, wówczas gdy w sercu panuje inna, byłoby męczarnią nie do zniesienia.

MAŃKA Kochając nie odważyłby się na to.

ANTONI Nie przypuszczam.

MAŃKA Nie zdeptałby, nie sponiewierał uczucia, które natchnął...

ANTONI Miłość bez delikatności jest paradoksem.

MAŃKA Zwłaszcza gdyby był bardzo kochanym.

ANTONI To mu wszystko jedno.

MAŃKA (*po chwili*) Na taki zawód jakież lekarstwo?

ANTONI Zapomnieć.

MAŃKA A czy pan znasz co okropniejszego jak myśl, że to, co nam przepelnia serce, ma być złudzeniem, które się rozwieje?

ANTONI Prawda, ale ta myśl jest lekarstwem uzdrawiającym.

MAŃKA Jeżeli nie zabije.

ANTONI I to się trafia, ale w powieściach... ludzie są wytrzymali.

MAŃKA (*do siebie*) Więc nie kocha!

ANTONI W każdym razie im wcześniej, tym lepiej... mniejsza doza wyleczy.

MAŃKA (*do siebie*) O, nienawidzę go! (*dobywa zza gorsu różę i po chwili walki rzuca ją*)

ANTONI W co się też obróca moje marzenia?... Wszystko podobno jest bańką mydlaną... tyle szczęścia, co się przemarzy!

SCENA IX

GENIO, MAŃKA, ANTONI.

GENIO (*wchodząc głębią, z parasolem i okryciem zawieszonym na ręku*) Tu przecie znajduję kogoś... (*przystępuje*) Jakaś parafianka i młody szlagon... Że nie kochankowie, idę w zakład, bo nie patrzą na siebie; więc albo brat z siostrą, albo mąż z żoną... (*po chwili*) Nie widzą mnie.

MAŃKA (*po chwili, otrząsając się z zamyślenia*) Panie Antoni!

GENIO Hm hm...

MAŃKA Ach!

GENIO Szczególny zbieg okoliczności zmusza mnie do zaprezentowania się samemu... (*na stronie*) Bardzo ładna... (*głośno*) Jestem Eugeniusz Bajdalski, przybywam umyślnie...

ANTONI Genio!... Bajduś!... Patrzę, patrzę, cóż u licha, żem cię od razu nie poznał.

GENIO Pii... Antoś... a wiesz, że to dobre... jak się masz?

ANTONI Jak się masz? (*ściskają się*)

GENIO (*do Mańki*) Koledzy szkolni z jednej ławki, łaskawa pani...

ANTONI Ale skądże się tu wziął, w domu mojej ciotki?

GENIO A, to my tu jesteśmy, u twojej cioci? Nic nie wiedziałem... (*na stronie*) Mocno ładna. (*głośno*) Wystaw sobie, przybywam prościusieńko koleją, jak śledź pocztowy.

ANTONI Skąd?

GENIO No z Warszawy, naturalnie.

MAŃKA Jeżeli tak, to pan zapewne głodny?

GENIO Ach, jak pani umiesz czytać w moim... w mojej... (*na stronie*) Zbajałem się, ale mniejsza o to. (*głośno*) Rzeczywiście, jeżeli mi wolno prawdę powiedzieć...

MAŃKA W tej chwili każę przygotować. (*odchodzi*)

GENIO (*na stronie*) Ananasik, jak sobie dobrze życzę.

SCENA X

GENIO, ANTONI.

ANTONI Więc przybywasz z Warszawy?

GENIO A jakże, w nader ważnym interesie, wszak tu jest podobno mój stary?

ANTONI Jaki stary?

GENIO No, fater.

ANTONI Jak to? Aha — to rejent Bajdalski jest twoim ojcem?

GENIO I na odwrót, ja jestem jego synem.

ANTONI Tak?

GENIO Czy cię to dziwi? Cóż w tym nadzwyczajnego?...

ANTONI Któż powiada...

GENIO Chociaż rzeczywiście na oko nikt by nie przypuścił... stary zapleśniał na prowincji.
A ty co porabiasz? (z *politowaniem*) Pleśniejesz także...

ANTONI Mam gospodarstwo, pracuję...

GENIO Pracuję, pracuję... Oni są dobrzy z tą swoją pracą na wsi, byle nam imponować...
Bartek zorze, Bartek zasieje i samo tak sobie potem rośnie... i to się nazywa praca... Daj
buzi...

ANTONI Zawsze byłeś i jesteś bajduś.

GENIO Bajduś z bajdusiów, chlubię się z tego... a zresztą, cóż ty sobie myślisz? Bajdalscy to
stara szlachta, tak stara, że nie ma ich już nawet w herbarzach.

ANTONI Sowizdrzale!

SCENA XI

POPZEDZAJĄCY, REJENT.

REJENT (*zadyszany*) Kiedyżeś ty przyjechał, zem nic nie słyszał?... Jak się masz?

GENIO (*całując go w ramię*) Jak się mam? Przede wszystkim głodny jestem jak pies, ale
znalazło się już bóstwo opiekuńcze, które ukazało mi promyk nadziei.

REJENT (*do ucha*) Odebrałeś telegram?

GENIO (*podobnie, drwiącym tonem*) Nie.

ANTONI Panowie zapewne mają z sobą do pomówienia — nie przeszkadzam. (*odchodzi*)

REJENT Jak to? Nie odebrałeś?

GENIO Ojciec odzwyczaił się, widzę, od kategoriycznego myślenia... a gdzież logika?... Skądżebym się wziął, gdybym nie odebrał telegramu?

REJENT (*niecierpliwiąc się*) Tylko, proszę cię, nie błaznuj... Od tego, widzę, już się nie odzwyczaisz...

GENIO Ależ ojciec wyraża się nieparlamentarnie.

REJENT (*jak wyżej*) Słuchaj, schowaj raz do kieszeni wszystkie twoje koncepta... to dobre w waszych knajpach, ale nie tu i nie w chwili, gdzie idzie o rzeczy pierwszorzędno znaczenia. (*po chwili, oglądając się*) Czy wiesz, po co cię tu sprowadziłem?

GENIO Wiem.

REJENT (*zdziwiony*) Wiesz, a to skąd?

GENIO (*śmiejąc się*) Znowu ojca złapałem.

REJENT (*niecierpliwie*) Nie błaznuj... jak cię kocham... nie błaznuj!

GENIO No, więc słucham — o cóż idzie?

REJENT (*ogląda się*) Jest tu panna posażna...

GENIO Wiem, wiem.

REJENT Już i to wiesz?

GENIO To jest wiem, że jest panna, ale że posażna, nie wiedziałem... tym lepiej...

REJENT (*niecierpliwie*) Ale skąd wiesz? Skąd? Gadaj.

GENIO Widziałem ją... cudo!...

REJENT Co ty pleciesz? Gdzie ją widziałeś? Dopiero zostawiłem ją w ogrodzie.

GENIO No to muszą być dwie, bo tu była przed chwilą jedna i...

REJENT Głupcze, ta się nie rachuje.

GENIO O, za pozwoleniem! A to dlaczego?

REJENT Ta jest goła i sierota jakaś, podrzutek...

GENIO Cóż to ma do tego? Przesady! Fi — nie poznaję ojca.

REJENT (*placzkliwie*) Co ten plecie! Co ten plecie!...

GENIO Jeżeli są dwie, to mój wybór już zrobiony... chyba gdyby mi się tamta więcej podobiała, co wątpię...

REJENT (*pogardliwie*) I ty jesteś pozytywistą! Tfy!

GENIO Czystej wody, tatku... przed niewodem ryb nie łapię i gdym głodny, mam wstręt do dysertacyj!... O, widzę tam jakieś towarzystwo... (*wychodzi na prawo*)

REJENT (*idąc za nim*) Ale czekaj no, wariacie... e... e... e... on pozytywista!...

Z a s ł o n a s p a d a

AKT TRZECI

Inny pokój; troje drzwi: jedne w głębi, dwoje po bokach. Na przodzie z prawej strony kanapa; w głębi z lewej oranżeria pokojowa.

SCENA I

SEWERYN, HELENA siedzą obok siebie na kanapie, potem ŻEGOCINA, REJENT.

SEWERYN (*rozparty, bawiąc się sznurkiem od binokli; obejście lekceważące*) Widocznie pani nie chcesz mnie rozumieć.

HELENA (*zajęta kwiatkiem, który trzyma w ręku*) Przepraszam pana, już sama ciekawość, którą przypisują nam, kobietom, mogłaby sprawić, iżbym chciała... ale są rzeczy, których nie można zrozumieć.

SEWERYN Czepiasz się pani słówek; być może, że się źle wyraziłem; powinienem był powiedzieć; pani udajesz, że mnie nie rozumiesz.

HELENA (*urazona*) Udaję!

SEWERYN Porzućmy więc tę szermierkę dialektyczną i pozwól mi pani wytłumaczyć się jaśniej.

HELENA (*zasiadając się lepiej w drugim końcu kanapy i patrząc mu śmiało w oczy*) Słucham!

SEWERYN Wiadomo pani, że tak jej ojciec, jak i moja ciotka powzięli myśl... połączenia nas...

HELENA Podobno... (*w tej chwili drzwiami z lewej strony wchodzi Żegocina i Rejent; spostrzegłszy rozmawiających Żegocina robi gest ukontentowania, wstrzymuje Rejenta, który chce iść dalej; nareszcie pociąga go za sobą i wychodzą na powrót na palcach. Rejent, odchodząc niechętnie, rzuca na nich niespokojnym okiem. Ta akcja odbywa się niezależnie od prowadzonej rozmowy*)

SEWERYN Skoro pani wiesz, więc powinnaś zrozumieć, że wszystko to, co mówiłem, odnosiło się do tej głównej kwestii.

HELENA Tego domyśliłam się bardzo łatwo; ale ja zupełnie czego innego nie mogę pojąć.

SEWERYN Na przykład?

HELENA Na przykład, w czym ten projekt naszych opiekunów może nas krępować i wpływać na nasze postanowienie.

SEWERYN (*zdziwiony*) Jak to?

HELENA (*drwiąco*) Sądzę, że przede wszystkim powinniśmy się zapytać naszych serc, czy one mogą sympatyzować z sobą.

SEWERYN Czy pani zadawałaś sobie to pytanie?

HELENA (*jak wyżej*) A pan?

SEWERYN Ja? (*na stronie*) Czy taka naiwna, czy cięta? (*głośno*) A to dobre — zdaje mi się, że rozpoczynając rozmowę o tym przedmiocie, już tym samym odpowiedziałem za siebie.

HELENA (*z uśmiechem ironicznym, skubiąc kwiatek*) To szczególna — znamy się dopiero od dwóch dni...

SEWERYN Czy pani nie wierzysz... już nie powiem w miłość, ale w pociąg od pierwszego spojrzenia?

HELENA Och, dlaczegoż nie.

SEWERYN (*z ukłonem*) W takim razie powinnaś sobie pani łatwo wytłumaczyć mój krok, na który zdecydowałem się tym pochopniej, że to zgadzało się z wolą ciotki.

HELENA (*po chwili milczenia*) Może bym wytłumaczyła sobie ten dziwny pociąg, gdyby...

SEWERYN Dziwny?

HELENA Przepraszam pana za wyrażenie, ale istotnie on dla mnie jest dziwnym.

SEWERYN Dlaczego?

HELENA Dlatego, że o ile mi się zdaje, ulegać mu może serce... tylko zupełnie wolne...

SEWERYN (*spoglądając na nią spod oka*) Skądże pani wnosisz, że moje zajęte?

HELENA (*po chwili, uderzając dłonią w poręcz kanapy*) Więc daj mi pan słowo honoru, że tak nie jest.

SEWERYN (*po chwili, ironicznie*) Honoru? A wie pani, że pierwszy raz zdarzyło mi się słyszeć, aby w sprawach serca żądać podobnej gwarancji.

HELENA (*wstając*) Więc można by stąd wnioskować, że to są jedyne sprawy, w których on nie obowiązuje.

SEWERYN (*na stronie, wstając*) U, źle! To już, widzę, sprawka Mańki.

REJENT (*wchodząc spiesznie środkowymi drzwiami, na stronie*) Ledwom się od baby od-czepił... (*idąc prosto do Seweryna*) O o o! przepraszam, mocno przepraszam, nie wiedzia-łem, że przerywam tak miłe e... e... e... sam na sam... (*bierze go pod rękę*)

HELENA (*obrażona*) Skądże sam na sam? Żartujesz pan chyba!

REJENT Pani daruje, że zabieram pana Seweryna... ale dość ważny interes...

HELENA Ale zabieraj pan sobie... to doskonale...

REJENT Wiem, że pani sprawiam tym przykrość... ale...

HELENA Mój panie, ani mię to ziębi, ani parzy... cóż znowu!... (*wzruszając ramionami, idzie do kwiatów*)

REJENT (*do Seweryna*) Pomagam wam, jak mogę.

SEWERYN (*chmurno*) Raczej umyślnie pan psujesz.

REJENT (*dobrodusznie*) No, albo co?...

SEWERYN Na to zakrawa... Cóż tam za interes?

REJENT Małeńka konferencyjka z cicią, do czego potrzebujemy pana Seweryna. (*do Hele-ny*) Przepraszam panią najmocniej. (*wychodzą na lewo*)

SCENA II

HELENA (*sama, spogląda za nimi i wzrusza ramionami*) Oryginał!

(*po chwili*) Ażem urosła na parę łokci we własnych oczach... zdaje mi się, że się dobrze znalazła... dałam mu za Manię!... O mój paniczku, zdawało ci się, żeś trafił na wiejskie tru-siątką, które łatwo obalamucisz... emhe... zapewne!

(*po chwili*) Ale naprawdę, skąd mnie się to wzięło?... Sama siebie nie poznaję... bo z po-czątku, przeczuwając, o czym zaczniesz mówić, przelekłam się naprawdę, jak mamę ko-cham... tak samo jak wtenczas, gdy Antoni mi się oświadczył... Ale co za różnica... wtenczas oboje drżeliśmy jak listeczki... on — nie wiem, ale ja nic nie widziałam przed sobą... nawet jego... Ale ten... chłód wiał od niego!... Komediant przebrzydły!...

(*po chwili*) Cha! cha! cha! On mówił o pociągu od pierwszego spojrzenia... myślał, że mię tym rozbroi... E, pokazuje się, że na zimno mężczyzna nie jest wcale niebezpieczny. (*z rękami założonymi na piersiach przechadza się dumnym krokiem wzdłuż sceny*)

SCENA III

HELENA, DAMAZY.

Damazy z fajką, wchodzi drzwiami środkowymi i spostrzegłszy Helenę staje i prowadzi za nią oczyma; ona przechodzi parę razy, nic nie widząc; spostrzegłszy go, gdy się podsunął bliżej, staje przed nim, dygając i klaszcząc w ręce z oznakami ukontentowania; on ją bierze za rękę.

DAMAZY Bardzo dobrze, zem cię tu przydybał samą, mamy z sobą, panie mości dzieju, na pieńku.

HELENA (*na stronie*) Oho!

DAMAZY Siadaj no. (*idą do kanapy*)

HELENA (*rozsiadując się w tym samym miejscu, gdzie poprzednio, na stronie*) Będzie druga scena.

DAMAZY Muszę się raz rozmówić z tobą, raz, jak Pan Bóg przykazał.

HELENA (*z żartobliwą powagą*) O cóż idzie?

DAMAZY (*ostro, tupnąwszy nogą*) Cóż to za miny jakies! Słuchać, co powiem! Tak! o! (*bierze ją za rękę i sadza bliżej siebie*)

HELENA (*na stronie*) O, z tatuńciem będzie gorzej. (*całuje go potulnie w rękę*)

DAMAZY Moja kochana, wolałbym mieć dziesięciu chłopców jak jedną dziewczynę, panie mości dzieju.

HELENA (*z przymileniem*) Jak to? Mnie? Mnie?... I tatuńcio to mówi?

DAMAZY Tak, ja mówię i nie cofnę!

HELENA (*jak wyżej*) Dlaczegoż to?

DAMAZY A bo tyle mam z tobą kłopotu, sam nie wiem, jak zrobić i czego się trzymać... to pan Antoni... to pan Seweryn, to znowu pan Antoni!

HELENA Jak to? Taka ze mnie bałamutka?

DAMAZY O, daj no pokój, bo z tych karesów będę taki mądry, jak byłem... a ja muszę raz wiedzieć, co po czemu... Najprzód zaczął bywać u nas pan Antoni... spostrzegłem zaraz, że to nie na darmo i że ty niby jakoś miałaś się ku niemu. (*Helena spuszcza oczy*) Pomyślałem sobie: hm, chłopiec poczciwy, niewiele wprawdzie ma, ale pracowity, rządny... jakby przyszło do czego, to niechże się dzieje woła Boża! (*Helena całuje go w rękę*) Za pozwoleniem!... Chciałem cię tedy wybać; pytam się prosto z mosta: „Jakże ten Antoś,

panie mości dzieju?” A ta: (*przedrzeźnia*) „Fiu, fiu, ach, dlaboga, czy ja wiem! Jeszcze czego!” I bądźże tu mądry.

HELENA (*z żalem*) Tacio zawsze tak ze mną.

DAMAZY (*niecierpliwie*) Cicho! Słuchać! Więc wyperswadowałem sobie, że to z twojej strony tak sobie tylko... faramuszki, panie mości dzieju, i że łatwo sobie wybijesz z głowy, gdyby się coś lepszego trafiło. Dlatego jak stryjenka dla świętej zgody zaproponowała mi część majątku i Seweryna za zięcia, przyjąłem.

HELENA Jakżeż można było?

DAMAZY Jak? Tak, że pytałem ci się i przystałaś.

HELENA Jak to? Mnie się tacio pytał?

DAMAZY Patrzcie państwo! Nie pytałem się wyraźnie: — „Jakże ci się podobał Seweryn?” — Tymi słowy... i cóż mi odpowiedziała?

HELENA Cóż miałam odpowiedzieć?

DAMAZY Widzisz, to tak z tobą — nie powiedziałaś, że przystojny? Gadaj!

HELENA No bo przystojny, nie garbaty, nie ślepy, nie kulawy...

DAMAZY Ano!

HELENA Ale cóż z tego, tacio powinien był się zapytać wyraźnie: „Czy go chcesz za męża?”

DAMAZY (*kręcąc palcem*) Hm hm hm... ty byś się też nie domyśliła, po co się pytam?

HELENA Przepraszam, tacio się tylko pytał po prostu, czy przystojny, tak jakby o każdego innego, a jeżeli powiedziałam, że przystojny, to wielkie rzeczy! Tylu jest przystojnych. (*pieszczotliwie*) Albo to i tatuńcio nie przystojny?

DAMAZY No, no! (*na stronie*) Na jakie to ona sposoby się bierze. (*głośno*) Ale koniec końcem ja myślałem, że ci się podobał, i dlatego nie byłem przeciwny, panie mości dzieju... tymczasem wczoraj przy kolacji patrzę, a ta mu się krzywi, jakby się octu napiła... Ale to jeszcze nic; dziś znowu rano...

HELENA (*rzucając mu się na szyję, zawstydzona*) Tatuńcio!

DAMAZY A widzisz, wstyd ci... zszedłem was w ogrodzie z Antonim i widziałem, jak cię całował po rękach...

HELENA Raz tylko czy dwa...

DAMAZY (*łagodnie*) Jakże można było na to pozwolić...

HELENA (*po chwili, kryjąc głowę na jego piersiach*) Kiedy ja jego kocham...

DAMAZY (*po chwili*) Aha, kochasz, to co innego... (*wstając*) No, widzisz, nie mogłaś mi tego od razu powiedzieć?

HELENA (*wstając, na stronie*) A jej! Odetchnęłam!... Znowu nie wiem, skąd mi się wzięła taka odwaga.

DAMAZY (*chodząc*) Hm... hm... ciekaw jestem, jak teraz zrobić...

HELENA (*proszącym tonem*) Jedźmy do domu.

DAMAZY Doprawdy! Było po co przyjeżdżać... (*chodzi; po chwili*) Ale, moje dziecko, bo to się warto zastanowić... hm, hm... widzisz, ten majątek toby się przydał...

HELENA I, cóż tam majątek!

DAMAZY Ale! Zapewne! Tak się to niby mówi, a później rób, co chcesz... usiąść i płakać... (*po chwili*) a zresztą, jak tu stryjence tak wręcz odpowiedzieć, kiedy już na pół przyjąłem... zabiłaś mi tęgiego klina...

HELENA Ja poradzę tatuńcowi: przede wszystkim dyplomatycznie.

DAMAZY No, na przykład?

HELENA Ze stryjenką grzecznie, ładnie, ale ani tak, ani siak...

DAMAZY (*ironicznie*) Aha!

HELENA A tymczasem, jak się tylko da, nogi za pas! I niech sobie robi, co chce.

DAMAZY (*jak wyżej*) Piękna dyplomacja, wymyśliła jak Bismarck, panie mości dzieju...

HELENA A dopiero z domu tatuńcio napisze ładny list...

DAMAZY Oho, na to mnie nie złapiesz...

HELENA Będziemy wspólnie komponować, poprosimy pana Antoniego. (*patrzac mu w oczy*) Zgoda? (*Damazy nic nie mówi, tylko, zamyślony, kręci węża*) No, więc wszystko dobrze... (*klaszcząc w ręce*) teraz tylko s a k e n p a k e n.

DAMAZY Czekał no, czekał! Z wolna, zobaczymy.

HELENA Jak to zobaczymy?

DAMAZY No, zobaczymy. (*chodzi*)

HELENA Nie, nie, zaraz... tatuńcio gotów się jeszcze rozmyśleć... nic z tego... (*wybiega na prawo, spotkawszy Rejenta, który jej się klania robiąc gest ręką*)

SCENA IV

PAN DAMAZY; REJENT z lewej strony.

DAMAZY (*zamyślony*) Biedactwo moje! Co ja się nakłopotę jej przyszłością... (*po chwili*) I powiadają, że pieniąż głupstwo, a jednak gdybym miał dla niej dobry posag, zdaje mi się, że byłbym spokojniejszy.

REJENT (*który zatrzymał się chwilę w głębi, patrząc z afektacją za Heleną; zbliżając się*) Cóż to za pociecha mieć taką córeczkę!

DAMAZY Hm! Pociecha, ale więcej kłopotu, panie mości dzieju.

REJENT Z zachwyceniem patrzę na pannę Helenę, coś tak harmonijnie e... e... e... ładnego dawno nie zdarzyło mi się widzieć...

DAMAZY (*zadowolony, jowialnie*) Pan się znasz na tym?

REJENT Stary kompetent, panie łaskawy... bez przechwałek...

DAMAZY Powiadają, że do mnie podobna.

REJENT Rzeczywiście, o ile młoda panienka może być podobną do dojrzałego mężczyzny, to panna Helena przypomina e... e... e... papkę... mianowicie tak coś z nosa...

DAMAZY A tak, i ja to zawsze powiadam, panie mości dzieju.

REJENT (*po chwili*) I to tak się chucha na to, patrzy jak w obrazek, a potem...

DAMAZY No, cóż potem?

REJENT Ktoś porwie jak swoje i Bóg wie, jak będzie.

DAMAZY No, widzisz pan, a powiadasz, że to pociecha... gdzie tam, kłopot... zmartwienie!

REJENT Hm... i to prawda, ani słowa!... O, bo i ja jestem ojcem, panie łaskawy... rozumiem to dobrze...

DAMAZY Pan masz także córkę? Winszuję.

REJENT Tylko syna.

DAMAZY Tego kawalera, co wczoraj przyjechał?

REJENT Tak jest, jakże się panu podobał?

DAMAZY Dosyć, nie mogę powiedzieć... żwawy chłopiec... a wie pan co, szlamazarnych ja nie lubię.

REJENT Staralem się go wykształcić, bez przechwałek, od ust sobie odejmując; ma urządowanie przy towarzystwie ubezpieczeń, a obok tego literat.

DAMAZY Literat! Fiu!... Gazety pisze?

REJENT A jakże! Artykuły z dziedziny ekonomii politycznej i filozofii pozytywnej.

DAMAZY Proszę, a to bardzo ładnie z jego strony taki talent. Co prawda, ja się tego domyślałem; wczoraj przy kolacji, jak zaczął, panie gości dzieju, o imięśłowach, przyimkach, zgłupiałem... a to tak mu szło, panie gości dzieju, jakby woda na młyn.

REJENT Ma już ładny dochód, bo oprócz pensji płacą mu w redakcjach od wiersza...

DAMAZY Od wiersza, proszę!... *(po chwili zastanowienia)* Niby jak to od wiersza?

REJENT Za każdy wiersz, co napisze... *(robi gest, jakby rachował pieniądze)*

DAMAZY Proszę, proszę, a to ładnie!... *(na stronie)* Ja bym niewiele zarobił.

REJENT W Warszawie ciągną go gwałtem do panny mającej pół miliona posagu... *(po chwili)* Jakże pan rozmyślił się względem propozycji pani bratowej?

DAMAZY Nie wiem o żadnej propozycji.

REJENT Nie dziwię się pańskiej ostrożności... ale ja, panie, wiem daleko więcej, niż pan sądzisz... Wszak pan Seweryn ma być pańskim zięciem...

DAMAZY Pierwsze słyszę...

REJENT *(oglądając się idzie do drzwi, potem tajemniczo)* Daj mi pan słowo honoru...

DAMAZY *(zdziwiony)* A to na co?

REJENT Daj mi pan słowo honoru, że nie powtórzysz nikomu tego, co powiem...

DAMAZY A cóż to takiego?

REJENT Ale daj pan słowo honoru; wolno panu będzie zrobić z tego użytek dla siebie... chodzi tylko o to, aby nie wiadano, że ostrzeżenie wyszło ode mnie.

DAMAZY Ostrzeżenie?

REJENT Sumienie mi nakazuje tak postąpić. No, dajesz pan słowo?...

DAMAZY Jeżeli to coś tak ważnego, to daję... ale...

REJENT Więcej nie żądam. Bez przechwałek, ocenisz pan moje postępowanie z faktów... *(po chwili, tajemniczo do ucha, robiąc tubę z obu dłoni)* Czy pan wiesz o jego stosunku z tą Mańką, wychowanką pańskiej bratowej?

DAMAZY (*żywo*) Jak to? Jakim stosunku?

REJENT (*z zaznaczeniem*) Domyślasz się pan...

DAMAZY (*gwałtownie*) Romans czy co?

REJENT Ph, i to gruby!

DAMAZY Ale co się panu śni, to niepodobna!

REJENT Nie mówiłbym, gdybym nie miał dowodów...

DAMAZY Jak to? Są i dowody?

REJENT Moralne tylko wprowadzie, ale są...

DAMAZY Ależ to by była ostatnia niegodziwość!

REJENT (*ciszej*) Podłość, panie!...

DAMAZY Pod nosem dwóch bab, które nie mają nic do roboty! Więc tak się nią opiekowano?!
no?!

REJENT (*do ucha*) Szanowny panie, przez szpary patrzono... rzecz widoczna.

DAMAZY To o pomstę woła! Przecież to nasza krewna!...

REJENT Krewna? Tego nie widziałem.

DAMAZY Nieboszczyk, jako wuj, nie powinien był w żaden sposób zostawić jej na łasce żony, musiał zrobić jakieś rozporządzenie... pokażcie mi testament!

REJENT Testament? (*jakby do siebie*) Kto wie nawet, czy jest?

DAMAZY Zrobił podobno zapis na przeżycie... ale niepodobna, żeby zapomniał zupełnie o tej dziewczynie... Pokażcie mi testament!

REJENT Masz pan święte prawo zbadać... e...e... e... stan rzeczy... przy czym zwrócę uwagę... że w razie jakich trudności, zawiłości, komplikacyj... (*z wyciągniętą ręką, chodząc za nim*) jestem na usługi... Że pan zyskasz na tym, mogę, bez przechwałek, zapewnić...

DAMAZY Co mi tam! Mój interes na bok! Idzie mi tylko o to, czy zrobił co dla niej! A jeżeli zapomniał i tak nią się tu mają opiekować, zabieram dziewczynę z sobą, tak mi Panie Boże dopomóż! (*odchodząc*) A to śliczne rzeczy, panie mości dzieju! (*odchodzi na prawo*)

SCENA V

REJENT (*sam, zaciera ręce, przytyka palcami i robi rozmaite gesta zadowolenia*) Udało mi się, chociaż trochę dalej zajechał, niż było w moim planie... Nie myślałem, żeby z powodu tej dziewczyny chodziło mu o testament... dowie się trochę za prędko... Ale nic nie szkodzi, potrafię stać mu się potrzebnym, przekonawszy, że bez moich rad nie dojdzie do niczego... (*po chwili*) Udaje teraz bezinteresownego, ale niech no mu tylko coś zapachnie, w inną skórę się oblecze... znam ja ludzi... (*siada na kanapie*) No, panie rejencie, teraz tylko mądrze! Bądź dobrym dyplomatą i strategikiem... Byleby ten łobuz Genio mi nie skrewił... Nie widziałem, żeby się do niej przysiadł choć raz... a dziś od samego rana lata gdzieś...

SCENA VI

MAŃKA *z konewczką pokojową i GENIO wchodzą środkowymi drzwiami; REJENT na kanapie.*

GENIO (*prowadząc w dalszym ciągu rozmowę*) Panno Mario, w każdym razie dłużną mi pani jesteś odpowiedź... Gdy ją usłyszę, przestanę być natrętnym...

MAŃKA (*idąc do kwiatów*) Ależ najfalszywiej pan sobie tłumaczysz moje słowa... czyż ja to nazywam natręctwem?

GENIO Nie? No, to dziękuję pani... uważam to już za pół odpowiedzi na moje zapytanie...

MAŃKA Reszty pan nie usłyszysz.

GENIO Dlaczego? Pani sama nie zdajesz sobie sprawy z tego, co doznajesz, a z mojej strony byłoby zuchwalstwem pozwalać sobie badać w tym jej stanie. Ja stawiam tylko tezę ogólną w formie zagadki psychologicznej, którą musisz mi pani rozwiązać, choćbyś miała nieco główkę potrudzić.

MAŃKA Pan przemawiasz do mnie tak dziwnie...

GENIO Językiem, do którego pani nie przyzwyczajono? Tym lepiej... Lekarstwo, do którego organizm nie przywykł, działa skuteczniej.

MAŃKA Czy pan mnie chcesz leczyć?

GENIO Nie inaczej.

MAŃKA Trudne pan postawiłeś sobie zadanie.

GENIO Tym większą cenę będzie miał dla mnie pomyślny skutek.

MAŃKA Więc pan sądzisz, że się panu uda?

GENIO Zdaje mi się, że mogę na to rachować.

MAŃKA I na czymże pan opierasz tę nadzieję?

GENIO Na tym odwiecznym pewniku, że prawda prędzej czy później odnosi tryumf! (*odbierając jej koneweczkę*) Pozwól pani, ja panią wyęcę... (*podlewa tam, gdzie ona nie może sięgnąć*) Na tym, że działając otwarcie, zostaję z odkrytą twarzą, na której pani wyczytasz każdą myśl moją, bo nie przywdziewam maski jak ci, co za broń używają fałszu... (*wchodzi na wyższy stopień*)

REJENT (*który od kilku chwil z otwartymi ustami przypatrywał im się z kanapy*) On jeszcze kark skreści.

MAŃKA To wszystko nowe rzeczy dla mnie... pan mi nowy świat odkrywasz.

GENIO (*zeskakując*) Czegoż mogę spodziewać się za to?

MAŃKA (*odbierając koneweczkę*) Wdzięczności... w każdym razie.

GENIO Na początek przestaję na tym...

(*Mańka odchodzi środkowymi drzwiami, on jej się kłania z uszanowaniem*)

SCENA VII

GENIO, REJENT.

REJENT (*wstając, do Genia*) Co to było?

GENIO Aha!

REJENT Cóż to za łotrostwo, lamparcie ty!

GENIO Tylko parlamentarnie... bardzo ojca proszę!

REJENT Znowu błaznujesz, ale uprzedzam, że wybrałeś się nie w porę...

GENIO Czyli że usposobienia nasze prawdopodobnie są w tej chwili o sto mil od siebie... a ponieważ nie zrozumielibyśmy się, więc odchodzę.

REJENT Proszę zostać!

GENIO Cóż to będzie? (*bierze krzesło i siada przodem do poręczy*)

REJENT (*stając nad nim*) Powiedz mi najprzód, co ty jesteś, e... e... e... bo ja cię nie mogę zrozumieć... Pozytywista? Ideolog? Czy co?

GENIO W tej chwili jestem lekarzem.

REJENT Lekarzem?

GENIO (*elegijnie*) Lekarzem duszy zbolelej i srodze zranionej; jeżeli moja metoda mi się uda, będę szukał w tej duszy dźwięków pokrewnych mojej.

REJENT Wariat... e... e... e... czysty wariat! Nie doprowadzaj mnie do niecierpliwości i słuchaj, co ci powiem: kazałem ci tu przyjechać w twoim własnym interesie...

GENIO Pospieszyłem na wezwanie jak syn posłuszny.

REJENT Więc słuchajże dalej: jest w tym domu panna posażna...

GENIO Po poezji najpospolitsza proza!

REJENT (*powściągnąjąc gniew*) Proszę cię, schowaj poezję do kieszeni i nastrój się na prozę, bo ja inaczej mówić nie potrafię... (*po chwili*) Jest panna posażna, do której ręki ułatwiłem ci drogę, a ty, nie wiem dlaczego, nawet nie patrzysz na nią... (*szyderczo*) Czy ci brak odwagi ze względu, że cyfrę posagu uważasz za zbyt wysoką w stosunku do twojej wartości?

GENIO Cha! cha! cha! Wątpię, żebyś mi ojciec znalazł człowieka, któremu by miłość własna nie podszeptowała dobrego o sobie mniemania. Jak to? Cyfra posagu miałaby stanowić o wartości panny i jej wyższości nade mną? Fi! Byłoby to stawiać pieniądź na ołtarzu, którego niegodzien.

REJENT Godzien, czy niegodzien, ale jakież wnioszek z tego, co powiedziałeś?

GENIO Że wszelki podobny skrupuł uważałbym za przesąd niewczesny.

REJENT Pierwsze mądre słowo; widzę, żeś pozytywista.

GENIO (*z uśmiechem*) Ale na odwrót: ubieganie się wyłącznie za pieniądzem mam za nonsens, który zostawiam ludziom tak niepraktycznym, jak idealisci.

REJENT (*desperacko*) Czy ty nie wyrzekniesz się nigdy czapki błazeńskiej?

GENIO (*z humorem*) Jako zwolennik metody pozytywnej, powinieneś ojciec wiedzieć, że ona przede wszystkim szuka faktów... a musimy przyznać za fakt, że jest w człowieku serce, które stanowi skarbnicę uciech moralnych i że przytłumiając jego bicie, skazujemy się z samowiedzą na szereg zbrodni mogących nas poprowadzić na manowce...

REJENT E... on zgłupiał!...

GENIO (*jak wyżej*) Spekulowanie na rękę kobiety w widokach dobrobytu jest dowodem niedołęstwa, do którego dochodzi się bujając po obłokach. Ja uważam serce i miłość za drogocenny kapitał, który w pożyciu z osobą wybraną przynosi procenta wysokości, o jakiej żaden Żyd nie śmiałyby marzyć.

REJENT Słuchaj no, czy ty kpisz ze mnie?

GENIO (*wstając*) Powiedziałbym, że jeżeli się nie rozumiemy, mogę odejść!...

REJENT Czekaj, nieszczęśliwy, mówmy jak ludzie, nie jak półgłówki... czy córka tego szlachcica nie podobała ci się?

GENIO Owszem, ładna panienska, i gdybyśmy oboje byli wolni, kto wie...

REJENT Jak to „oboje wolni”? Co to znaczy? Ona jest wolną, a i ty, spodziewam się, że...

GENIO Przepraszam ojca, ma narzeczonego.

REJENT Nie ma, to już zerwane.

GENIO Co? Zerwane z Antonim? Temu nie wierzę...

REJENT Z jakim Antonim?

GENIO Z bratem tego, którego chciano jej narzucić dla jakichś widoków familijnych...

REJENT To ten dowcipniś kroi na nią! Nic z tego!

GENIO Zwierzył mi się jako kolega szkolny. Jakże pozytywnie, kiedy ojciec lubi to wyrażenie, można by nazwać mój postępek, gdybym wiedząc o tym, wchodził mu w drogę?

REJENT Ma bzika, daję słowo! Ależ mówię ci, że to nigdy nie przyjdzie do skutku!

GENIO To już nie moja rzecz... a zresztą mnie się podobała ta panienska, którą tu ojciec widział przed chwilą.

REJENT Co? Ten podrzutek, rozpustnica, która bałamuci Seweryna?

GENIO (*surowo*) Proszę ojca, wszystko ma swoje granice, nawet żarty.

REJENT A tom się doczekał pociechy! Ależ, nieszczęśliwy... zamydlono ci oczy!...

GENIO Wiem o wszystkim od Antoniego... Jego brat chciał nadużyć jej położenia w tym domu, a teraz w widokach nikczemnych porzucił ją bez względu na stan jej serca.

REJENT Tak jest, bo zadurzona w nim bez pamięci. (*szydrczo*) I ty pomimo to chcesz mu ją zdmuchnąć, tak naprędce? To już nie wiem, czy głupota, czy zarozumiałość!...

GENIO (*dotknięty*) Wspomniałem, że występuję tylko w roli lekarza... Gdybym chciał przybrać inną w tej chwili, byłbym głupcem prawdziwym, a pozytywizm uczy, że to jest najgorszą kwalifikacją do dopięcia jakiegokolwiek celu.

REJENT Idźże do diabła raz z twoim pozytywizmem! (*chodzi; po chwili*) No, więc koniec końcem, jestem zrujnowany, zarznięty przez własnego syna!

GENIO Rozmówimy się, jak ojciec będzie w stanie słuchać z zimną krwią.

REJENT Przeklnę cię!

GENIO Po głębszym zastanowieniu ojciec tego nie zrobi.

REJENT Zrobię!

GENIO W każdym razie namysł nie zawadzi. (*wychodzi środkiem*)

SCENA VIII

REJENT (*sam*) Otóż to są skutki, gdy się takiemu mędrkowi we łbie przewróci... Ręczę, że w własnym przekonaniu ma się za kolos prawości i cnoty... a ojciec, naturalnie, zbłądził się... Dlaczego? Dlatego, że chciał szczęścia dziecka... (*po chwili*) Wielki kryminał, którego na sto kojarzących się par przynajmniej z jakie dziewięćdziesiąt dopuszcza się bez skrupułu!

SCENA IX

HELENA, REJENT, potem TYKALSKA, potem ANTONI, potem DAMAZY.

HELENA (*z okryciem i kapeluszem w ręku, wbiega z lewej strony*) Panie Antoni! Gdzie jest pan Antoni? (*do Rejenta*) Nie widziałeś pan pana Antoniego?

REJENT Szpital wariatów, czy co? (*spogląda zdziwiony*)

HELENA Ja go potrzebuję koniecznie! (*wybiega na chwilę drzwiami środkowymi*)

REJENT Czego ona chce od niego?... Podobno Genio miał rację.

TYKALSKA (*wchodząc spiesźnie, także z lewej strony, i przypinając pończoszkę do gorsu*) Helenko! (*do Rejenta*) Cóż pan stoisz jak malowany... idź pan za nią, tu się coś zrobiło.

REJENT (*niecierpliwie*) Co się zrobiło?
(*Helena, wróciwszy, wybiega na prawo*)

TYKALSKA Nie wiem, jakem pocziwa... Pan Damazy zamknął się z siostrunią i kłóca się podobno... Helenka wybiegła jak oparzona i szuka Anteczka, nie wiem po co... Trzeba ich pilnować, mój panie...

HELENA (*z prawej strony, prowadząc Antoniego i odbierając mu książkę, którą czytał*) Rzućże pan tę książkę i biegnij kazać zaprzęgać. (*kładzie na siebie zarzutkę*) Wszak pan masz tu swoje konie?

ANTONI Mam. Co to, zasłabł kto? Posłać po doktora?

HELENA Ale gdzie tam! Każ pan zaprzęgać czym prędzej... tatuńcio taki zły!...

ANTONI Na kogo... o co?

HELENA Musisz nas pan odwiedzić, bo my tu nie mamy koni; (*niecierpliwie*) przecie pan wiesz, żeśmy przyjechali stryjenki ekwipażem...

ANTONI Ale dobrze! Tylko dokąd? Do domu?

HELENA Do domu... do nas... razem pojedziemy, z panem będę spokojniejszą...

TYKALSKA Ależ, Helenko, zastanów się. (*do Rejenta*) Mój panie, idź pan tam, zobacz, o co to poszło.

REJENT A dajże mi pani spokój! Kto mi każe kłaść palce między drzwi.

HELENA Mój złoty panie Antoni! Ja tylko do pana mam zaufanie... (*ciszey*) Powiedziałam ojcu, wszystko będzie dobrze. (*głośno*) Każ pan zaraz zajechać, potem wyprowadzimy ojca stamtąd.

ANTONI Skąd?

HELENA Od stryjenki... tak jej tam coś wymawia... o jakiś testament... stryjenka zaczęła mdleć, ale dała pokój.

ANTONI (*z uśmiechem*) No, to nic strasznego.

HELENA Jakiś pan szkaradny, śmiejesz się, a ja się całą trzęsę...

ANTONI Ale uspokój się pani... jedziemy zaraz, skoro pani sobie tego życzysz. (*ciszey*) Wywiozę skarb mój.

HELENA Jaki skarb? A! Dobrze, dobrze, tylko prędzej, mój panie kochany... już ja taka będę panu wdzięczna...

ANTONI (*cicho*) A ojciec?

HELENA Już na wszystko przystał... (*popycha go*) Prędzej... prędzej... (*Antoni wychodzi środkiem; do Tykalskiej*) Moja paniusiu, ja tam w paniusi pokoju zostawiłam rozmaite rzeczy... (*słychać podniesione głosy Żegociny i Damazego*)

DAMAZY (*za sceną*) Proszę natychmiast o konie!

HELENA Ach, dlaboga. Idą tutaj i tak się kłóć!

DAMAZY (*wchodząc z lewej*) Heła, pójdź... jedziemy!... Nie mamy już tu co robić. (*wychodzi z nią środkowymi drzwiami*)

TYKALSKA Chryste Jezu! (*chce wyjść za nimi, ale wraca zobaczywszy siostrę*)

SCENA X

REJENT, TYKALSKA; ŻEGOCINA z lewej strony, wsparta na SEWERYNIE, potem MAŃKA, potem GENIO.

ŻEGOCINA (*melodramatycznie*) W moim domu, w moim własnym domu słyszeć takie impertynencje! Za tyle lat poświęceń doczekać takiej nagrody!... O! Ale jeszcze mnie nie wypędzili stąd! (*do Seweryna*) Gdzie mój flakonik?

SEWERYN Zaraz Mańka przyniesie...

ŻEGOCINA Mańka!

MAŃKA (*wchodząc z lewej*) Oto jest...

ŻEGOCINA (*ze złością, ucinanym głosem*) Precz! Precz z mego domu!

TYKALSKA (*łamiąc ręce*) Siostruniu! (*do Seweryna*) Sewerynku, brońże ją...

SEWERYN (*na stronie*) Dobrze bym się wybrał!...

ŻEGOCINA (*jak wyżej*) Jaszczurkę, jaszczurkę wychowałam... nic pocziwego teraz nie ma! Na nic nie można rachować!... Precz!...

TYKALSKA (*placząc*) Ale gdzież ona pójdzie?

ŻEGOCINA I ty mi jeszcze dokuczaj!... To twoja wina... powinnaś była uważać na nich.

TYKALSKA (*do Mańki*) Pójdź, pójdź jej z oczu (*bierze ją w objęcia*)

MAŃKA (*drżącym głosem*) Chciałabym wiedzieć najprzód, o co mię pani obwinia...

ŻEGOCINA (*ze zjadliwą złością*) O co cię obwiniam! Ty zalotnico przebrzydła!... A cóż znaczył ten wasz stosunek, który mi teraz wyrzucają, plują nim w oczy, który stanął na przeszkodzie moim najuczciwszym zamiarom, zakłócił zgodę w rodzinie?

MAŃKA (*jak wyżej*) Zapytaj pani o to tego pana, który milczy jak student obawiający się kary...

SEWERYN (*przechodząc koło niej, cicho*) Mańka!... czyś ty oszalała! Tym nic nie wskórasz...

MAŃKA (*z pogardą*) Nikczemny!

SEWERYN (*na stronie*) A to miłe sceny!...

ŻEGOCINA (*w najwyższej złości*) Zuchwalstwo do tego! Milczeć, sługo, to jest twój pan, rozumiesz!... Jeżeliś o tym zapomniała, nie dziw, że przewróciło ci się w głowie.
(*Mańka wybucha płaczem, zakrywszy twarz rękami*)

TYKALSKA (*rzucając się na Żegocinę*) Siostruniu, na miłość boską!
(*Żegocina wydaje spazmatyczne jęki*)

GENIO (*który wszedł przed chwilą z prawej strony, z najwyższą wzgardą do Seweryna, manewrującego ku wyjściu*) Panie! Co to? Rejterada? Może to wygodnie, ale niekoniecznie honorowo.

SEWERYN Co?

GENIO (*ciszej i dobitnie*) Podle!

SEWERYN (*zmięszany*) Wytlumaczysz mi się pan z tych słów... (*Genio odpowiada śmiechem pełnym wzgardy; na stronie*) A tom wlaż! Dobrze mi tak!... (*wychodzi na prawo*)

MAŃKA (*głosem przerywanym do Żegociny*) Pani, miej litość nade mną.

ŻEGOCINA (*przyskakując do niej z zaciśniętymi pięściami*) Precz! Precz!...

GENIO (*stając pomiędzy nimi i zasłaniając Mańkę łokciem od Żegociny; z najwyższym oburzeniem*) Za pozwoleniem, zbytek uniesienia może pani zaszkodzić. (*do Mańki, podając jej ramię*) Proszę!...

REJENT (*na stronie*) Czego się ten osioł do tego mięsza? Także rycerz!

ŻEGOCINA (*po chwili osłupienia*) Co to jest? Czego chce ten pan?

GENIO Ten pan robi pani przysługę... nic więcej. (*do Mańki*) Służę pani. (*wyprowadza ją w głąb*)

TYKALSKA Pójdźcie! Pójdźcie! Matko Najświętsza, co się to porobiło... (*idzie za nimi osłaniając ją rękami; wychodzą środkowymi drzwiami*)

SCENA XI

ŻEGOCINA, REJENT.

ŻEGOCINA (*chodząc prędkim krokiem*) Co to było, co to było? Rejencie!...

REJENT (*na stronie, z ironią*) Ona nie wie, co to było.

ŻEGOCINA (*silniej, stając przed nim z rozłożonymi rękami*) Rejencie!

REJENT (*usuwając się*) Przede wszystkim radzę... e... e... e... niech się pani uspokoi. (*na stronie*) Jaka ona teraz miła!

ŻEGOCINA Uspokoić się! Ja się mam uspokoić, gdy wszystko stracone!... Jakież zły duch otworzył oczy temu brutalowi... wołał o testament... odgrażał mi się zjazdem sądowym... opieczętowaniem... Tak mi się odwdzięcza za to, co chciałam zrobić dla niego!

REJENT Dobra pani, wierzyć w uczucia ludzkie jest to spiskować przeciwko sobie.

ŻEGOCINA Podli! Podli!

REJENT Na własną krew rachować nie można!

ŻEGOCINA Zgubiona! Odarta ze wszystkiego... (*pada w jego objęcia i spazmuje*)

REJENT (*na stronie*) Piżmo!... W nosie mi kręci...

ŻEGOCINA (*po chwili, uwalniając się po trochu z jego objęć, na stronie*) Ach, co za myśl!... (*namyślając się*) To jest jedyny środek ratunku. (*czule*) Rejencie, teraz w tobie cała nadzieja.

REJENT (*niechętnie*) A cóż tam ja...

ŻEGOCINA Przy takiej znajomości prawa... z twoją głową, podołasz temu... wszakże naj-słuszniejszych pretensyj trzeba dochodzić, procesować się... O! Ty ocalisz ten majątek z rozbicia.

REJENT (*na stronie*) Emhe, dla twoich pięknych oczu. (*głośno*) Chętnie bym zrobił... e... e... e... co bym mógł... ale, dobra pani, człowiek przy tylu zajęciach... e... e... e... obo-
wiązkach...

ŻEGOCINA Siadaj pan... (*siadają na kanapie*) Przecież to nasz wspólny interes.

REJENT (*zaintrygowany*) Jak to wspólny?...

ŻEGOCINA (*łamiąc ręce*) Czyżbyś się pan cofał?... Opuszczał mnie w tej chwili?...

REJENT (*nie wiedząc, co powiedzieć*) Dobra pani... e... e... e...

ŻEGOCINA (*nagle*) Czy może ja pana źle zrozumiałam? (*po chwili, spuszczając oczy*) Przypominasz sobie, gdy przyjechawszy tu, robiłeś mi propozycje!...

REJENT Propozycje?

ŻEGOCINA (*jak wyżej*) Nie odpowiedziałam na nie, bo któraż kobieta zdecyduje się w jed-
nej chwili...

REJENT (*nagle zrozumiawszy, na stronie*) No... no... no... a wiecie państwo, że to może być
najlepsza kombinacja.

ŻEGOCINA Nic nie mówisz? Ach, nie zmuszaj mnie abym się musiała rumienić tych przypomnień.

REJENT (*gorąco*) Dobra pani, zawsze byłem twoim wielbicielem e... e... e... i sługą... słowa jej będą dla mnie świętym prawem... (*na stronie*) Nie daruję sobie nigdy, żem otworzył oczy temu szlagonowi... teraz będzie trudniej...

ŻEGOCINA (*spuszczając oczy*) Zapytywałeś mnie, czy nie myślę o nowych związkach.

REJENT (*przysuwając się*) Pani odpowiedziałaś wymijająco...

ŻEGOCINA (*skromnie*) Postaw się pan w moim położeniu, jakże miałam uczynić...

REJENT A ja o mało tego nie przechorowałem... chodziłem jak struty. (*bierze jej rękę i całuje*)

ŻEGOCINA Dziś, po głębokim namyśle...

REJENT (*klepiąc jej rękę*) He, he, he!...

ŻEGOCINA (*tragicznie*) Zwłaszcza po tej scenie, która mię przekonała, że kobieta bez opieki mężczyzny jest...

REJENT (*jak wyżej*) Anomalia... e... e... e...

ŻEGOCINA (*składając głowę na jego piersi*) Rejencie, pracuj dla siebie... powierzam ci...

REJENT (*na stronie, otwierając usta i ściągając nos dla powstrzymania kichnięcia*) Piżmo!

ŻEGOCINA Siebie i całe interesa. (*na stronie*) Jakież zatabaczony, kichnę! (*głośno*) Czy pan zażywasz?

REJENT Cokolwiek... na oczy. (*znowu, jak wyżej, robi usiłowania; po chwili*) Więc zgoda...

ŻEGOCINA Za pozwoleniem. (*kicha po nadaremnym wysileniu*) Zgoda...

REJENT (*kichnąwszy potężnie*) I pakt zawarty... (*całuje ją w rękę*)

ŻEGOCINA Do śmierci!

Z a s ł o n a s p a d a

AKT CZWARTY

Ten sam pokój, co w poprzedzającym akcie.

SCENA I

MAŃKA, HELENA, ubrane do drogi siedzą w głębi; ANTONI podobnie z kapeluszem w ręku, chodzi po pokoju.

HELENA (*siedzi jakiś czas w milczeniu, po chwili*) Jaki ten tacio jest, to ja nie pojmuję, wołał o konie, kazał się zabierać (*naśladując jego ton*) „duchem, na jednej nodze!”, a teraz siedzi tam...

ANTONI Rejent go przytrzymał... mają jakąś naradę... cokolwiek cierpliwości!

HELENA Ale, cierpliwości! Ja bym chciała jednej minuty tu już nie być, tak mi jakoś ciężko, duszno... (*wstaje i idzie do okna na prawo*) Konie stoją już z godzinę... Mateusz zasnął na koźle, a tacia nie widać. (*tupie z niecierpliwością nogą*)

ANTONI (*zartobliwie*) O o! Panna Helena nie umie panować nad sobą...

HELENA Nie przekomarżajże się pan ze mną, bardzo proszę, widzisz pan, że ja stoję jak na gorących węglach... Ach, jak ja nie lubię takich scen!... Byłabym się nie wiem gdzie schowała... Jeszcze tatuńcio taki raptus! Zdaje mi się, że się na świat narodzię, gdy już stanę w domu.

ANTONI A ja chciałbym, aby ta podróż mogła trwać do nieskończoności.

HELENA Więc i panu się to podoba, że jedziemy?... Proszę! Myślałam, że panu wszystko jedno i że niechętnie dajesz nam koni...

ANTONI Czy pani to wyczytałaś w moich oczach? Ja sądziłem, że kobiety są przenikliwsze.

HELENA To dlaczegoż się pan nie niecierpliwisz jak ja?

ANTONI Bo ja już w tej chwili jestem szczęśliwy... samą nadzieją... mieć na swoim wózku, pod swoją opieką to, co się kocha, uwielbia, czci...

HELENA Cicho! A to co znowu! (*wzrusza ramionami, oglądając się na Mańkę*)

ANTONI Owszem, im dłużej ojciec marudzi, tym lepiej... pani się niecierpliwisz, dąsasz, a ja na panią patrzę...

HELENA (*w oknie*) Dlaczego pan patrzysz?

ANTONI Bo pani tak ślicznie z tymi minkami.

HELENA (*niby z dąsem, rzucając mu spojrzenie przez ramię*) Doprawdy!

ANTONI I tak patrząc zapominam o wszystkim, co mnie otacza, nie wiem nawet, gdzie się znajdujemy... dosyć mi na tym, że jestem z panią... (*po chwili*) A nie dawniej jak wczoraj gotów byłem oddawać się rozpaczy.

HELENA Aj, jej, rozpaczy... myślałby kto, że prawda, nie tacyście wy łatwi, moi panowie, do tego... ach, ci mężczyźni! brzydcy, szkaradni egoiści!... Czemu to Pan Bóg samych kobiet nie stworzył?

ANTONI Proszę, taka ogólna klątwa... na nas wszystkich!

HELENA No, nie na wszystkich... ale (*do siebie, odchodząc od okna*) postawiłabym mu za przykład braciszka, tylko nie chcę mu robić przykrości... (*siada na powrót przy Mańce i szepcze z nią*)

SCENA II

POPZEDZAJĄCY, GENIO z kapeluszem w ręku wchodzi na palcach, kłania się pannom, po czym idzie do ANTONIEGO, który, siadłszy na lewo i patrząc na HELENĘ ciągle, dobywa woreczka z tytoniem i zwija cygaretkę.

ANTONI Cóż ty się tak skradasz?

GENIO (*siada przy nim*) Nie poznaję sam siebie... chodzę na palcach i szepczę półgłosem, jakbym miał co na sumieniu... atmosfera tego domu oddziałuje na mnie...

ANTONI Czy tylko atmosfera?

GENIO Coś szczególnego stało się ze mną.

ANTONI Smętne oczy... oj, te oczy!...

GENIO (*z westchnieniem*) Co to za dziwna potęga...

ANTONI (*zartobliwie podchwytyjąc*) W tym tak wątlým na pozór organie jak wzrok.

GENIO Och, zapewne!

ANTONI Więc ty, widzę, naprawdę?

GENIO (*patrząc na Mańkę*) Rozmaicie definiują miłość; najbliższymi prawdy są podobno ci, co ją nazywają chorobą, w którą się popada bezwiednie.

ANTONI (*jak wyżej*) I której miło ulec!...

GENIO Och! Zapewne!

ANTONI (*po chwili*) Czy ty także odjeżdżasz?

GENIO Cóż bym tu już robił?

ANTONI Ale przyjedziesz przecie do mnie?

GENIO A czy nie będę natrętnym?

ANTONI (*śmiejąc się*) Jak to, u kolegi?

GENIO Nie o tym mówię, wiesz dobrze, wszak ona z wami jedzie i ma tam bawić...

ANTONI Tak jest.

GENIO A ty mieszkasz podobno bardzo blisko.

ANTONI Sąsiadując.

GENIO (*całując go*) Będziesz mi robił interesa?

ANTONI Z całego serca.

GENIO Pojmujesz, że w stanie jej duszy niewczesna obcesowość byłaby nie na miejscu. Polegam na tobie.

ANTONI Rachuj jak na Zawiszę! Będę badał grunt i składał ci sprawozdania.

GENIO (*wstając*) Weselszy odjeżdżam.

ANTONI (*ściskając jego rękę*) Więc mogę się spodziewać?

GENIO Najprędzej, jak się da. Tylko ostrożnie, błagam cię!... I tajemnica do czasu.

ANTONI Cha! cha! cha! Co to się z tego człowieka zrobiło... W Warszawie cię nie poznają.

GENIO Cicho, dajżeż pokój!... (*zbliża się do panien*) Pozwolą się panie pożegnać.

MAŃKA Pan odjeżdża?

GENIO Mam obowiązki... muszę, ale odjeżdżam z nadzieją, że spotkamy się w przyjaźniejszych okolicznościach. (*na stronie*) Czy nie zanadto powiedziałem?...

MAŃKA Pan zapewne odwiedzi pana Antoniego?

GENIO Pragnąłbym.

HELENA W takim razie może ujrzymy pana i u nas?

GENIO Jeżeli panie pozwolą...

HELENA (*z żartobliwą ceremonialnością*) Och, panie!... (*do Mańki na stronie, trącając ją łokciem*) Powiedzże co.

GENIO (*podając rękę Mańce*) Więc do widzenia.

MAŃKA Do widzenia.

(*Genio całuje w twarz Antoniego i na palcach odchodzi. Helena trąca Mańkę kilkakrotnie*)

SCENA III

ANTONI, MAŃKA, HELENA.

HELENA On tak patrzył na ciebie, ścisnął ci nawet rękę, zdaje mi się, a tyś milczała jak zaklęta.

MAŃKA Daj pokój, proszę cię.

HELENA (*całując ją*) Rozchmurzże czoło, masz minę, jakbyś chciała płakać.

MAŃKA Nie żartuj; zdaje mi się, że gdybym jeszcze parę scen takich przeżyła jak niedawno, nie umiałabym już nawet płakać i stałabym się obojętną na wszystko.
(*Antoni siada na dawnym miejscu i zwija drugą cygaretkę*)

HELENA Ale kiedy ty to wzięłaś zaraz tak do serca... Ileż to razy tacio uniesie się, naburczy, (*poufnie*) nieraz, powiadam ci, tak się ze mną obejdziesz, że to...

MAŃKA Gdyby mnie podobne obejście spotkało z jego strony, do nóg bym mu padła!

HELENA Ale! Żebyś tylko słyszała.

MAŃKA Pocziwa jesteś, że mnie chcesz pocieszyć, ale wiesz dobrze, że to zupełnie co innego. Gdy ojciec uniesie się i zburczy cię, jak powiadasz, to w tym odzywa się serce; do mnie jeżeli kto przemawiał, to z obelgą... a mnie się zdaje, że życie bym dała za odrobinę serca.

HELENA No, no, skończyły się twoje nieszczęścia, kiedy tacio cię zabiera.

MAŃKA Służyć mu będę na klęczkach!

HELENA (*śmiejąc się*) A tobyś się wybrała!... Zobaczysz, jak ci będzie dobrze... tylko żeś to ty przyzwyczajona do parady, a u nas...

MAŃKA (z wyrzutem) Helenko, to boli...

HELENA No, no, już nic nie mówię... Tylko tacie bliżej poznasz, to się przekonasz... a jak się uspokoisz, (ciszej) to może go sprowadzimy jakim sposobem i będziesz go miała.

MAŃKA Kogo, Seweryna? Żartujesz chyba.

HELENA Więc nie kochasz go już? (nieco głośniej) Bardzo dobrze robisz.

MAŃKA Alboż ja wiem sama, co teraz czuję dla niego.

ANTONI (zapaliwszy cygaretkę, z uśmiechem) Czy wolno wiedzieć, co panna Helena tak stanowczo aprobeuje? (wstaje)

HELENA (żywo) Siedź pan tam sobie, nie wtrącaj się do nas...

ANTONI Oh, sekreta!... (siada na powrót, spoglądając na nie)

HELENA Mów no, mów, bo ja ciekawa jestem...

MAŃKA (po chwili) Powiedz mi, kochasz ty go? (wskazuje oczyma Antoniego)

HELENA (cicho) Ale jak! Tylko nie chcę zanadto tego okazywać... trzymam go krótko... Moja droga, nie patrz na niego, bo się domyśli, że o nim mówimy.

MAŃKA I szczęśliwa jesteś, gdy go masz przy sobie?

HELENA Spodziewam się.

MAŃKA Widzisz, ze mną i z Sewerynem było tak samo, szukałam sposobności, żeby go widzieć, to było największą dla mnie rozkoszą, a dla jej pozyskania stawałam się obłudną, fałszywą... a teraz... ja truchleję na myśl znalezienia się z nim sam na sam. Boję go się jak trupa, bo też dla mnie on już jest tylko trupem. Ta obawa to koniec miłości.

HELENA Patrzcie państwo, ja tego samego doświadczałam, ale z początku. Obawiałam się zostać z nim, gdy nie było nikogo... sama nie wiem dlaczego, jakiś strach mnie przejmował. Teraz go się nie boję... oho! (patrzy na niego)

MAŃKA Szczęśliwaś, on już twój.

HELENA Mój, mój... ach, jak to miło powiedzieć: mój! (tuli się do niej)

MAŃKA Ale gdybyście się przestali kochać!

HELENA Ach, nie mówże tego, zimno mi się robi.

MAŃKA Wtenczas unikałabyś go, nieprawdaż?

HELENA (zamyśliwszy się) Zdaje mi się... (po chwili) niezawodnie... (po chwili) Patrzajże, jak to jest dziwnie na świecie... początek i koniec wszystkiego widać podobne do siebie...

(*po chwili, z naiwnym zastanowieniem*) Jak sobie pomyśleć, że wszystko skończyć się musi... że nie ma nic pewnego... och, Boże!...
(*obie siedzą w zamyśleniu*)

SCENA IV

POPZEDZAJĄCY; PAN DAMAZY, TYKALSKA, za nimi REJENT, wchodzi z prawej strony.

DAMAZY Dajże mi pani święty spokój, panie mości dzieju.

TYKALSKA Ale nie puszcę, jakem pocziwa... co by na to siostrunia powiedziała... macie państwo kilka mil przed sobą, a po drodze nigdzie nic nie dostanie... kazałam upiec na prędcie kurcząt.

DAMAZY Żebyś mi pani płaciła, nie przełknąłbym, jak Pana Boga Kocham.

TYKALSKA Tak się panu zdaje... a zresztą panienki głodne.

HELENA (*prędko, wstając*) Ale gdzież tam... ja nie...

MAŃKA (*wstając*) Ani ja.

DAMAZY No, więc dalej, zabierać się, panie mości dzieju, i w drogę!

TYKALSKA Nic nie pomoże, tego przecie państwo siostruni nie zrobicie.

DAMAZY Siostruni, siostruni! Siostrunia patrzy na mnie, jakbym jej ojca zjadł!

TYKALSKA Co też to pan mówisz!

REJENT Nie skończyliśmy... e... e... e... konferencji... gdyż szanowny pan nie chciał mnie zrozumieć... a raczej nie zwracałeś uwagi na e... e... e...

DAMAZY To wszystko, co pan mówiłeś, to... ot, wycisnąć tak, to się zostanie, panie mości dzieju... tyle o... (*pokazuje figę*)

REJENT Ale za pozwoleniem. (*na stronie, do Tykalskiej*) Nie puszczaj go pani, bo w tym jest nasz interes.

TYKALSKA Ale ani myślę... w tej chwili będzie gotowe. (*cicho do Damazego*) Ja także chciałam jeszcze z panem pomówić.
(*Damazy siada na kanapie i stuka łaską z niecierpliwością*)

REJENT Nie dałeś mi szanowny pan dojść do ostatecznej konkluzji, e... e... e... którą jestem pewny, że zaaprobujesz.

DAMAZY No, więc słucham tej konkluzji, ale żeby to było krótko i węzłowato.

TYKALSKA Pójdźcie, dziewczęta, musicie koniecznie przegryźć coś na drogę.

HELENA Ale dziękujemy paniusi.

TYKALSKA Nie ma gadania, pójdźcie, nie przeszkadzajcie tutaj. (*zabiera je gwałtem*)

HELENA (*na stronie*) Ach, Boże, my dzisiaj stąd nie wyjedziemy. (*biegnie do ojca*) Tatuńciu, czy to długo będzie?

DAMAZY (*stuknąwszy łaską, z fukiem*) Dajże mi ty pokój przynajmniej.

HELENA Dłaboga, pójdźmy już.

(*wychodzą na prawo wraz z Antonim, który z Heleny żartuje*)

SCENA V

PAN DAMAZY, REJENT.

REJENT (*na stronie*) Ten tylko jest sposób zatkania mu ust.

DAMAZY No, gadajże pan teraz... słucham!

REJENT Przede wszystkim zwrócę uwagę...

DAMAZY Ale krótko, proszę pana.

REJENT E... e... e... musisz pan przyznać, że myśl aktu pojednania przez połączenie córki pańskiej z domniemywanym sukcesorem bratowej, panem Sewerynem, była na wskroś chrześcijańską... Panie, to było szczytne!

DAMAZY To było szelmostwo, panie! (*wstaje*)

REJENT Ależ zwrócę uwagę...

DAMAZY (*popędliwie*) Niegodziwość, frymark! Jak to, patrzycie przez szpary, jak ten chłystek, panie mości dzieju, bałamuci dziewczynę, nad którą macie opiekę, rzucacie mi ją na pastwę i pomimo to stręczycie mi go na zięcia!

REJENT Nie wiedzieliśmy o tym, jak pana szanują!

DAMAZY (*patrzac mu bystro w oczy*) Cóż mi pan głowę zawracasz... a któż mię o tym ostrzegł?

REJENT (*ogłędając się*) Tss, dałeś pan słowo honoru...

DAMAZY Sam mi pan otworzyłeś oczy na te, panie mości dzieju, brudy i wskutek tego zerwałem, a teraz nazywasz to szczytną myślą...

REJENT (*zakłopotany*) Kiedy mówię: „my”, to właściwie rozumiem przez to mojego klienta, to jest pańską bratową... to już nasz zwyczaj... e... e... e... prawników... Najlepszy dowód, że od pana dopiero dowiedziała się... (*Damazy siada na kanapie sapiąc; po chwili*) Zresztą właśnie do tego zmierzałem... zerwałeś pan i nie ma już co do tego wracać... Ile panią Żegocinę to kosztowało, nie potrzebuję mówić, jej serce e... e... e... nie zaspokoje, czuje potrzebę uczynienia jakiejś ofiary, która by mogła choć w części wynagrodzić tamten zawód...

DAMAZY (*porywczo, wstając*) Nie potrzebuję żadnych ofiar, panie mości dzieju, stanęłyby mi kością w gardle. (*chodząc*) Gdybym miał prawo do całego majątku po nieboszczyku, zabrałbym go jak swój bez najmniejszego skrupułu, jak mię żywym widzicie, jeżeli nie dla siebie, to dla mojego dziecka. Ale skoro to nie było jego wolą... mniejsza o to, obejdę się, a łask nie potrzebuję...

REJENT (*na stronie*) Trzeba koniecznie, żeby skwitował z wszelkich pretensyj... (*głośno*) Szanowny panie, wspominałeś o woli nieboszczyka... Wdowa, znając tajniki tej wzniosłej duszy i skryte zamiary, których e... e... e... przez szaloną miłość dla żony i znając jej serce nie chciał... e... e... e...

DAMAZY (*z niecierpliwością*) Zlituj się pan, bo się roztopię z rozczulenia jak masło w tygielku i nie będziesz pan miał z kim gadać!

REJENT Otóż, krótko mówiąc, pańska bratowa wiedząc, że nieboszczyk miał myśl wyposażenia jakim bądź sposobem pańskiej córki, przeznacza dla niej pięćdziesiąt tysięcy złotych polskich, czyli siedem tysięcy pięćset rubli... (*ociera czoło*)

DAMAZY (*mięknąc*) Hm... pięćdziesiąt tysięcy...

REJENT (*prędko*) Obowiązując się wypłacić je za lat trzy, gdy się interesa trochę uregulują... a tymczasem ofiarując procent w stosunku pięć od sta. (*po chwili, oddychając*) Cóż pan na to?

DAMAZY (*po chwili*) Pięćdziesiąt tysięcy — hm... wiesz pan co? Niech was diabli wezmą... dobra psu mucha, jak to powiadają... Dla siebie nie dbałbym i o to, ale że to dla córki, więc... (*machnąwszy ręką*) przyjmuję i jechał was sęk!

REJENT (*podając rękę*) A więc zgoda! (*na stronie*) Nadto się posunąłem, łatwo przystał. (*głośno*) Więc tylko dasz nam szanowny pan mały skrypt akceptujący tę umowę i kwitujący pańską bratową ze wszystkich możliwych i niemożliwych pretensyj... czysta forma, jak pan widzisz, skoro bezsprzecznie ma prawo do całego majątku.

DAMAZY (*nagle*) Ale! Za pozwoleniem, a sierota?

REJENT Jaka sierota?

DAMAZY Marynka. Piękne by były rzeczy, gdybym przyjął coś dla córki, a za tamtą się nie dopomniał!...

REJENT Ależ, szanowny panie!...

DAMAZY Inaczej nie gadam, dostanie tyle co Helena albo kwita z przyjaźni.

REJENT Zwróć uwagę...

DAMAZY Na nic się nie zdało; chcecie — to dobrze, nie chcecie — drugie dobrze... ma iść na udry, to niech idzie... Ta dziewczyna musi coś dostać i jeżeli w dobry sposób się nie da, poradzę się prawników...

REJENT (*na stronie*) Dobryś. (*głośno*) Zechciej szanowny pan... e... e... e...

DAMAZY Nie gadam!

REJENT (*desperacko, podnosząc głos*)... uwzględnić, że to przechodzi moją kompetencję, miałem upoważnienie tylko co do sumy dla panny Heleny.

DAMAZY Nie, to nie... dajcie mi pokój i bądźcie zdrowi.

REJENT Ależ za pozwoleniem... (*ocierając czoło*) muszę się pierwszej porozumieć z moją e... e... e... mocodawczynią. (*na stronie*) Trzeba zrobić jeszcze tę ofiarę... trudno!...

DAMAZY No to prędzej, raz, dwa, trzy!... Zaczekam chwilkę... proszę się pospieszyć...

REJENT (*głęboko oddychając*) Phhh... co to z takim brutalem nieoskrobanym mieć do czynienia!... (*wychodzi na lewo*)

SCENA VI

DAMAZY, później TYKALSKA.

DAMAZY Farmazeusze!! Panie mości dzieju!... Prosto nie pójda, tylko to tędy, to owędy!... Niby to ofiary jakieś robią, gdy wszystko zagarniają... (*po chwili*) Ale co tam! Kiedy jej nieboszczyk zostawił, niech im tam Pan Bóg sekunduje! Był człowiek słaby i kwita!...

TYKALSKA (*zaglądając przez drzwi z prawej strony*) Już się rozprawili... (*wchodzi, po chwili*) Za pół godzinki będą...

DAMAZY Kto? Co?

TYKALSKA Kurczęta.

DAMAZY (*niecierpliwie*) A wiesz pani, że tymi kurczętami to jużem się najadł póty... wreszcie, to każde już pani raz dawać... zawinę sobie w papier i będzie spokój.

TYKALSKA Nieboszczyk Tobunio za siódmą pokutę nie byłby się puścił w drogę na czczo.

DAMAZY Musiał mieć, z przeproszeniem, babską naturę, panie mości dzieju... bo to tylko wy, kobiety, potraficie jeść na zawołanie, czy wam się chce, czy nie chce... No, ale cóż to mi pani miałaś powiedzieć? Słucham, póki mam czas. (*dobywa wielki srebrny zegarek*)

TYKALSKA (*po chwili, siadłszy*) Ach, mój panie... na tym świecie... to niech Bóg broni!...

DAMAZY Święta prawda, ale cóż dalej?

TYKALSKA Co się to tu porobiło... Chryste Jezu!

DAMAZY (*popędliwie*) Już to, żeś i pani temu winna, to tak mi Panie Boże dopomóż!...

TYKALSKA A słowo boskie! Ja?

DAMAZY Jakżeż można było, panie mości dzieju, pozwolić na to, żeby pod waszymi oczami doszło do takiej ostateczności...

TYKALSKA A, panie Damazy! Ja, jak to powiadają, oczu z nich nie spuściłam... do żadnej ostateczności nie przyszło, zgrzeszyłabym, gdybym inaczej powiedziała.

DAMAZY O, bo pani zaraz rozumiesz inaczej... głodnemu chleb na myśli...

TYKALSKA (*zgorszona*) Ach, dlaboga!

DAMAZY Cóż „ach, dlaboga”?! Przecież się pani nie zgorszysz.

TYKALSKA Fi, cóż znowu!

DAMAZY Więc pani powiadasz, że nie było nic złego?

TYKALSKA Ale, panie Damazy, jakem poczciwa... Przecież ja nie dziecko, nie trzeba panu powiadać, widziałam ci ja, że się te dzieciuchy mają ku sobie, ale myślałam sobie: niechże się kochają, będzie para.

DAMAZY Hm, pani tak myślała?...

TYKALSKA A nie inaczej! Bóg świadkiem!... Jeszcze tak sobie kalkulowałam: siostrunia ma mu zapisać, jako faworytowi, swój majątek, będzie miał aż nadto i nie potrzebuje szukać posagu, a że jego brat dorabia się na małym, więc to, co mam, przeznaczę dla Anteczka.

DAMAZY (*zdziwiony*) To, co pani masz?... Więc dusimy grosze, panie mości dzieju?

TYKALSKA A! wypluńże pan... ja też do duszenia, Boże kochany! Złamanego grosza nie znajdziesz pan przy mnie... Gdyby mi dziad na drodze zastąpił, nie miałabym się czym wykupić...

DAMAZY Tere, fere, panie mości dzieju... więc cóż pani chcesz rozdawać... kiedy nic nie masz?

TYKALSKA (*cicho*) Widzi pan, mam zapis.

DAMAZY Zapis?... Od kogo?

TYKALSKA Od nieboszczyka.

DAMAZY Mojego brata? Zapisał co pani?

TYKALSKA (*thumacząc się*) Jakem poczciwa, o niczym byłabym nie wiedziała, ale krótko przed śmiercią zawołał mnie i w sekrecie oddał pismo.

DAMAZY Proszę! I nie chwaliłaś się pani z nim do tej pory?

TYKALSKA Byłoby sobie leżało w kuferku do mojej śmierci, a potem, komu bym tam przeznaczyła, to by sobie wziął.

DAMAZY Baj baj! Ale trzeba wprzód odebrać dla siebie.

TYKALSKA Ach, dlaboga! Czyż mnie to u siostruni zginie?

DAMAZY Ale trzebaż jej powiedzieć o tym.

TYKALSKA A!... Ja bym za nic w świecie tego nie zrobiła!

DAMAZY Dobryś! Więc jakże będzie? A przy tym któż pani każe być w zależności, kiedy możesz mieć swoje?

TYKALSKA A mój panie, cóż mi to tu złego u siostruni... chleba mi nie zabraknie... a i ona by się beze mnie nie obyła... całe kobiece gospodarstwo na mojej głowie... Zresztą, mój panie, czy to człowiek dla siebie tylko żyje?

DAMAZY Hm hm... bardzo pięknie, ani słowa. Ale... I dużo to tam tego?

TYKALSKA Kilkadziesiąt tysięcy, bo ja tam nie umiem na te ruble.

DAMAZY Ano, to winszuję, panie mości dzieju... I cóż pani myślisz zrobić z tym fantem?

TYKALSKA Otóż właśnie, mój panie, o to chciałam się poradzić... Ja tego nie chcę, niech Bóg broni, odbierać... Ach, Jezus, ja miałabym siostrunię szykanować, pfe!... Ale zawsze to moje, więc chciałam zapisać komuś po mojej śmierci... Myślałam o Anteczku, bo byłam pewna, że Sewerynek ożeni się z Mańką... ale kiedy siostrunia oddaliła to biedactwo...

DAMAZY No, ja ją przecie zabieram, panie mości dzieju.

TYKALSKA Bardzo pięknie, ale u was się też nie przelewa, mój panie... mnie pan nie powiesz...

DAMAZY Oj, że nie, to nie!

TYKALSKA Widzisz pan, więc chciałam to rozdzielić pomiędzy nich oboje. Jakże mi pan radzisz?

DAMAZY Ale, pani, święte słowa! (*całuje ją w rękę*) Moja bratowa nie warta, panie mości dzieju, wody za panią nosić.

TYKALSKA A cóż znowu!... to jest dama... a ja sobie prosta kobieta, chociaż rodzona siostra. Nieboszczyk Tobunio był poczciwości człowiek, ale swojego chowu, nie trzeba panu mówić, i ja też tak przy nim skisłam.

DAMAZY Ale co mi tam pani gadasz, jesteś święta kobieta, i basta! A gdzież pani masz ten zapis? Czy to tam aby formalne?... Nie mógł nieboszczyk brat zrobić nic mądrzejszego...

TYKALSKA (*sięgając za gors*) Tylko, mój panie złoty, poradźże mi pan dobrze, jak ja mam zrobić, żeby siostruni nie ambarasować bezpotrzebnie. (*chroniąc się z gorsem przed Damazym, który niecierpliwie sięga ręką*) Pozwólże pan, fe!... Jeszcze potem ludzie by powiedzieli, że się tak wywdzięczyła za przytułek, że baba stara a chciwa.

DAMAZY Moja pani, zwykle na starość ludzie robią się najchciwsi.

TYKALSKA Oto jest, przeczytajże pan.

DAMAZY (*wziąwszy okulary*) Własnoręczne jego pismo.

TYKALSKA A tak, własną ręką niebożątka napisał.

DAMAZY Ręka mu już drżała, (*uderzając palcem w papier*) ale taki testament, pani mości dzieju, jest najważniejszy... więcej znaczy, niż gdyby był napisany przez rejenta przy stu świadkach... Ja to wiem... Chociaż świstek, byle własnoręczny i data była... o!...

TYKALSKA A jestże tam aby data?

DAMAZY Jest, a jakże... i podpis, panie mości dzieju, wyraźny... (*czyta, z początku mrużąc, potem głośno*) „Siostrze mojej żony, Dorocie z Rumiankiewiczów Tykalskiej, wdowie po śp. Tobiaszu Tykalskim, rubli srebrnych osiem tysięcy...”

TYKALSKA (*ocierając oczy*) Pamiętał i o Tobuniu!

DAMAZY Jak to! Czy i jemu co zapisał?

TYKALSKA Bodaj pana i z żartami... Mój Boże! Tobunio tam już pomiędzy aniołami... cóż tam już dla niego na tym świecie... chyba msza święta i przypominki w Zaduszki...

DAMAZY (*czyta*) „Chcąc jej zabezpieczyć korzystanie z zapisu, a zarazem ograniczyć w jej własnym interesie, rozporządzam, aby suma ta, osiem tysięcy rubli, pozostała na hipotecę; obdarowana nie może jej podnosić, tylko ma się kontentować procentem pięć od sta aż do śmierci...” (*mówi*) I to mądrze, bo pani byś porozdawała... on panią, widzę, znał dobrze!

TYKALSKA Ale przecie mnie wolno tym rozporządzić?

DAMAZY Zaraz, zaraz... (czyta) A jakże!... „Spadkobierca, którego też Dorota testamentem nazaczy, będzie miał prawo podnieść w całkowitości też sumę”. Bardzo chwale tę myśl nieboszczyka brata; nie jesteś pani przynajmniej na niczyjej łasce... (po chwili) Co? co? co? (czyta) „Jest to jedyny legat, jakim obciążam prawa mojego naturalnego spadkobiercy, którego proszę i obowiązuję, aby żonie mojej nie odmawiał opieki...” (gwałtownie) Ależ to, panie mości dzieju, wykrywa się nowe łajdactwo!... Więc żadnego zapisu na przeżycie pomiędzy nimi nie było... w takim razie to wszystko moje!... Moje!... A!! Widzicie państwo! Oliwa wyszła na wierzch!... Dlatego to oni tak mi mydlili oczy!... Ha! Czekać!

TYKALSKA Chryste Jezu! Com ja zrobiła, mój panie! Wolałabym się była wyrzec i tego zapisu.

DAMAZY (mocno poruszony) Głupiec! Wierzyłem ślepo, nie pytając się o nic, a oni korzystali z mojej dobroduszości... No ale czyż ja mogłem przewidywać, żeby tak bezczelnie przyznawali się... A to, panie mości dzieju, szachraje! Żydzi! Dla tego mizernego grosza!

TYKALSKA Mój panie! Mój panie! Co to będzie? Kiedy tu w tym znalazło się coś przeciwko siostruni, co ja pocznę? Ja się w ziemię zakopię!... Najlepiej oddaj pan to; nie chcę nic, nie chcę!

DAMAZY O, za późno, panie mości dzieju... nauczę ja ich teraz po kościele gwizdać!

TYKALSKA (płacząc) Fe, wstydź się pan!

DAMAZY Cha! cha! cha! Czego? A to dobre!

TYKALSKA Wywołujesz klątwy na chciwych, a sameś nie lepszy.

DAMAZY Cha! cha! cha!... Ja chciwy!

TYKALSKA (całuje go w ramię) Mój panie!

DAMAZY (chodząc) Wola nieboszczyka... wola nieboszczyka... wyjeżdżali z nią, niechże się stanie jego wola!

SCENA VII

POPRZEDZAJĄCY; REJENT wprowadza pod rękę ŻEGOCINĘ, która ma minę na pół uroczystą, na pół bolejącą i rękę z chustką do nosa trzyma na czole; wszedłszy pada jakby bezsilna na kanapę; Tykalska się żegna i w kącie szepce modlitwy; Rejent staje obok Żegociny; w końcu SEWERYN.

DAMAZY No, teraz będzie komedia, panie mości dzieju... (chodzi spoglądając na nich spod oka)

ŻEGOCINA (po chwili, bolejąca, na stronie do Rejenta) Któż ma zacząć?

REJENT (*cicho*) Możesz i pani... Nawet tak będzie najlepiej... (*jakby zwracając uwagę Damazego*) Hm... hm!

ŻEGOCINA (*jak wyżej, słabym głosem*) Rejent zakomunikował mi... pańskie pretensje...

DAMAZY (*przez zęby*) To nie są pretensje, panie mości dzieju... (*Żegocina milczy okazując gestem, że nie daje jej mówić*) No, słucham, słucham...

ŻEGOCINA Cios był dobrze wymierzony... Ja, która całe życie moje dawałam dowody bezinteresowności, muszę dziś poniżyć się do targów, ubliżających nam w ostatnim stopniu... Sądziłam, że odgadując domyślną wolę nieboszczyka mojego męża i dając dowód pamięci o jego synowicy, będę zrozumiana... Niestety, stało się przeciwnie! Wytłomaczono to sobie jako słabość z mojej strony i chciano ją wyzyskać...

DAMAZY (*który dawał oznaki niecierpliwości*) To jest, że podług pani bratowej, panie mości dzieju, ja kładę rękę do cudzej kieszeni...

ŻEGOCINA (*z ironicznym uśmiechem*) Nie wiem, jak to nazwać... występujesz pan brat w obronie urojonych praw dziewczyny, która swoim postępowaniem...

DAMAZY (*popędliwie*) Jak to! Więc pani nie czujesz, że masz na sumieniu tę dziewczynę?

ŻEGOCINA Ja! ją na sumieniu! (*wznosi oczy w niebo i składa ręce*)

REJENT (*cicho*) Nie drażnić go!... (*głośno*) Wchodźcie państwo na niebezpieczną drogę... e... e... e... wzajemnych wymówek... Najświętsza rzecz puścić wszystko w niepamięć i zawrzeć zgodę... Co tam! (*uderzając w dłonie z gestem pojednawczym*) Pani zrób ofiarę, pan opuść cokolwiek ze swoich wymagań, podpiszemy skrypcik i będzie koniec!... (*do Damazego*) Ileż pan ostatecznie żądasz dla tej panienki?

DAMAZY (*drwiąco*) Oho! To już poleciało z wiatrem, panie mości dzieju...

REJENT Jak to: „poleciało z wiatrem”?

DAMAZY Trzeba było decydować się prędzej... rozmyśliłem się inaczej...

ŻEGOCINA (*bolejącym głosem*) Mówiłam ci, rejencie, że to na próżno, pan brat znęca się tylko nade mną...

REJENT (*niespokojny*) Więc jakież jest pańskie ultimatum?

DAMAZY (*chodząc*) Nieboszczyk brat zostawił, panie mości dzieju, fortunę, której na jedną osobę cokolwiek za wiele... (*gest Rejenta i Żegociny*) Jest nas tu kilkoro, którzy byśmy także nie pogardzili jakąś częścią...

ŻEGOCINA Nie, to zanadto... rejencie, pójdźmy... widzisz, na co mnie narażasz przez swoje ustępstwa...

REJENT (*cicho*) Ale dajże pani pokój... trzeba zbadać, co to wszystko znaczy...

DAMAZY Oprócz mnie i dziecka jest jeszcze Marynka, jest pani Tykalska, siostra pani bratowej...

ŻEGOCINA Co? I Tykalska występuje z pretensjami! Koniec świata!

TYKALSKA Ja? Siostruniu, ja nic nie chcę, jakem poczciwa... dajcież mi pokój!... *(na stronie)* Okropny człowiek.

DAMAZY Wreszcie, pomijając gagatka, o którym już sama pani sobie pamiętaj, jest jeszcze drugi rodzony pani siostrzeniec, Antoni...

ŻEGOCINA *(śmiejąc się spazmatycznie)* I to wszystko tak poobdzielać!... Myśl cudowna... dzieło tak bujnej imaginacji, że nie spodziewałam się jej po panu bracie... Ale weźmy jedno małe, maleńkie przypuszczenie, to jest, że ja na to nie przystanę?

DAMAZY Ze mną jak z dzieckiem, panie mości dzieju... ustąpię i przeproszę w dodatku... ale na to trzeba jednej małej, malutkiej rzeczy, to jest... pokażecie mi państwo testament!

REJENT *(na stronie)* Aha! Zmądrzał... no, bądźże zdrów!

ŻEGOCINA *(po chwili, wybuchając i wstając jak sprężyna podniesiona)* Tak, więc nareszcie spadła maska!... Testament!... A zatem gdyby go nie było, pan byłbyś gotów korzystać z przypadkowego zapomnienia się chorowitego starca, aby wydrzeć ostatni kawałek chleba biednej wdowie!

DAMAZY *(nie wierząc uszom)* Co?!

REJENT *(na stronie)* Na taki argument tylko kobieta się zdobędzie.

ŻEGOCINA Więc niczym wszelkie względy! Niczym obawa sprawiedliwości niebios!... O! Kto jest zdolny wyzyskiwać sytuację, w jakiej znalazł się przypadkiem, po takim człowieku wszystkiego spodziewać się można... *(z płaczem)* Oddaję wszystko Bogu!... Pójdźmy, rejencie...

REJENT *(cicho)* Ale cóż będzie?

ŻEGOCINA Zostawmy go jego sumieniu. *(odchodzi ku drzwiom, wsparta na Rejencie, który się ociąga z wyjściem)*

DAMAZY *(osłupiały)* A wiecie państwo, że to wątroba może się przewrócić do góry nogami, panie mości dzieju! *(bijąc się w piersi)* Więc ja ją wyzyskuję! Ja jestem wydziercą cudzej własności! A! Co tego, to zanadto!... *(biegnie za nimi)* Za pozwoleniem pani!... *(porywa ją za rękę i prowadzi na przód sceny)*

ŻEGOCINA Cóż to? Gwałt!

DAMAZY *(trzęsąc się ze złości)* Gwałt! Jak mi Bóg miły, gwałt! A, moja pani! Czy myślisz, że ta pontyfikalna mina zaimponuje mi! Że się uderzę w piersi i przeproszę! *(Żegocina spazmuje)*

REJENT (*na stronie*) No, to już przepadło!... Zostaję wdowcem... trzeba się zwrócić w inną stronę... z wiatrem...

ŻEGOCINA Boże, Boże! Znęcać się nad bezbronną i słabą kobietą!

SEWERYN (*zaglądając ostrożnie środkowymi drzwiami*) Co się tu dzieje?

DAMAZY Ja się znęcam! Ależ na rany Chrystusa, czy nie jestem w swoim prawie? Czyż nie szedłem prostą drogą, wówczas gdy pani wraz z swoim doradcą...

ŻEGOCINA Rejencie!... Gdzież on jest? (*Rejent unika jej; spostrzegłszy Seweryna wyciąga doń ręce, z płaczem*) Sewerynku!
(*Seweryn idzie do niej*)

DAMAZY Wiedząc, jak rzeczy stoją, kopaliście pode mną dolki i chcieliście mnie podstępnie oszukać!...

ŻEGOCINA Obelgi! (*płacze rzewnie; do Seweryna*) Moje dziecko, słyszysz?

SEWERYN Wyjdźmy.

DAMAZY (*w pasji*) Jakie obelgi! A, to wściekłość bierze... (*po chwili*) Należy się pani dożywocie na czwartej części, a mnie cały spadek; taka była wola nieboszczyka i byłoby głupotą zrzekać się tego... mam dziecko...

REJENT (*stojący obok Damazego, półgłosem*) No jużćić, co prawda, to prawda!

ŻEGOCINA Weź pan sobie! Weź! Nasyć się!...

DAMAZY Naturalnie, że wezmę! Wezmę! Jak mię żywym widzicie... (*po chwili, miękcej*) A zresztą, pal diabli, zamiast dożywocia odstępuję pani tę czwartą część na własność... niech was!

ŻEGOCINA Nie chcę nic! Zabierz sobie wszystko! Ostatnią koszulę ze mnie ściągnij! Weź mi i życie, bo cóż mi po nim!

DAMAZY No widzicie państwo! Zrobi mnie jeszcze rozbójnikiem! (*chodzi*)

ŻEGOCINA (*zanosząc się od płaczu*) O Boże, Boże, Boże!... (*wychodzi w szlochach, wsparta na Sewerynie*)

SCENA VIII

PAN DAMAZY, REJENT, TYKALSKA; HELENA i MAŃKA, które weszły przed chwilą z prawej strony i, zaleknione, pozostały w głębi; z nimi wszedł ANTONI, potem SEWERYN.

TYKALSKA (*szlochając*) O Boże, Boże, Boże!...

DAMAZY A to co? Czegoż ta beczy, niech mi kto powie! To tak z babami... (*chodzi*)

REJENT (*z wyciągniętą ręką chodząc za Damazym, który nie słucha i nie uważa nań*) Spodziewam się, że szanowny pan nie masz do mnie żadnej... e... e... e... pretensji... Jako pełnomocnik jego bratowej walczyłem do ostatniego tchu... pokonany, kapituluję z honorami wojskowymi... (*na stronie*) Nie ma co, trzeba robić interesu Geniowi... to będzie najmądrzej... (*po chwili, głośno*) Teraz gdyby moja znajomość rzeczy... e... e... e... mogła się przydać...

TYKALSKA (*jak wyżej*) To ja wszystkiemu winnam!

DAMAZY (*ironicznie*) A naturalnie!... paniś winna, to rzecz jasna! A może i ja także?

TYKALSKA A nie inaczej! (*objaśnia na stronie Antoniemu, o co chodzi*)

DAMAZY Jak Pana Boga kocham, to pękać ze śmiechu!

TYKALSKA (*jak wyżej*) Pękaj pan sobie! Pękaj! A nas nie prześladowaj!

REJENT Któż tu prześladowuje? (*ile razy Rejent się odzywa, nikt nań nie zważa*)

HELENA (*na pół z płaczem*) Tatuńciu, dajmy pokój wszystkiemu, jedźmy stąd... Maniu, proś i ty!

MAŃKA Jedźmy już, wujaszku!

HELENA Panie Antoni... (*daje mu znaki*) No!

DAMAZY (*wściekły*) A... a... a!... (*powściągnąwszy się*) Albo ja mam bzika, albo oni wszyscy... Czy ja co złego robię?... Zorientujmy się... W głowie mi się mięsza... Słuchaj, Antoni, boś ty przecie nie baba, masz loikę, a przy tym chodzi tu o twoją ciotkę... Czy ja co złego zrobiłem? Powiedz!

ANTONI O ile zrozumiałem, to tylko, do czego pan miałeś prawo.

REJENT A naturalnie.

DAMAZY Co tam prawo, prawo... ale czy mam słusność?

ANTONI Granica pomiędzy tym, co prawne, a słuszne, jest tak subtelna...

REJENT Za pozwoleniem, nie ma żadnej... to przesąd.

DAMAZY (*odpowiadając Antoniemu*) Co?... Ależ postaw się na moim miejscu... Gdybyś ty był w tym położeniu, cóż byś zrobił?...

ANTONI Alboż ja wiem? Delikatna materia...

DAMAZY Jak to! Nie wiesz?

REJENT Bez znajomości prawa nikt nie wie.

ANTONI Zresztą, jako przyszyły zięć pański, byłbym stronnym doradcą... mimo woli interes materialny mógłby mieć jakiś wpływ na moje zdanie.

DAMAZY Jak to? Więc jeżeli kto, na przykład, wyciąga komu z kieszeni chustkę, to nic mu o to nie mówić, jeszcze mu się może nadstawić?

TYKALSKA (*zapłakana*) Także porównanie!... (*odchodząc*) Ona to przychoruje. (*wychodzi na lewo*)

HELENA Ale, tatuńciu, to wcale co innego...

DAMAZY Et! Głupiasz, siedź cicho... nie do ciebie mówię... (*do Antoniego*) No, gadajże... cóż takiemu rzeźmieszkowi zrobić?

ANTONI Rozumie się, że ukarać. (*gest potakujący Rejenta*)

DAMAZY Jakaż więc jest różnica pomiędzy małą a wielką kradzieżą? Dlaczego gdy chodzi, panie mości dzieju, o krocie i miliony, najbezpieczniejsze podstępny nazywają się zręcznością? dyplomacją? dlaczego? powiedz!

ANTONI Odpowiedzi mojej pan się domyślasz... ale w tej chwili nie o to idzie...

DAMAZY A o cóż?

ANTONI O to, jak pan masz postąpić... Pytanie to zadajesz pan sam sobie, a nie mogąc go na razie rozwiązać, udajesz się do mnie... Ale pan masz lepszego doradcę, który ci wystarczy...

REJENT (*stosując to do siebie*) Bez przechwałek...

DAMAZY Kogoż to?

ANTONI Własne serce!

DAMAZY Serce! Cha! cha! cha!... Serce zawsze wystrychnie rozum na dudka, panie mości dzieju... nie rządzą się nigdy sercem.

ANTONI (*całując go w ramię*) Pan mówisz tak jak każdy mąż zawojowany, który wiecznie buntuje się przeciw władzy żony, a przecież robi to, co ona chce...

DAMAZY Idźże do diabła z przypowieściami... (*na stronie, chodząc*) Hm... hm!... Skończy się na tym, że mnie okrzyczą za chciwca, człowieka bez serca, prześladowcę wdowy! Baby będą kłać! Jeszcze by na marne poszło... nie chcę! nie chcę nic sam dla siebie! (*po chwili, głośno*) Słuchaj mnie, Antoni... nie mogę zapomnieć o tym, że twoja ciotka żyła kilkanaście lat, panie mości dzieju, z moim bratem, że przywykła do wygod; pozbawiać jej wszystkiego nie chcę... oddaję jej połowę, idźże jej to powiedz.

REJENT (*na stronie*) Połowa! To jeszcze dobry interes... (*idzie na lewo; do Seweryna, z którym spotyka się we drzwiach*) Ciotka jest tam?

SEWERYN Jest. (*Rejent wychodzi*)

DAMAZY Niechże z tego spłaca siostrę, niech pamięta o swoim Sewerynku, zresztą jak sobie chce... dosyć, że ma połowę. Drugą odstępuję tobie... jej rodzonemu siostrzeńcowi... nie będą gadać...

ANTONI (*zdziwiony*) Mnie?

DAMAZY Sam do ręki nie wezmę, zrzekam się... i tak Heli się dostanie, skoro się z nią żenisz... tylko z tego wyposażcie Marynkę...

SEWERYN (*na stronie*) A! więc wyposażają... rzeczywiście to jest jedyny dla mnie środek ratunku.

ANTONI To najchętniej, ale...

DAMAZY Żadnego „ale”... idź zaraz do ciotki i powiedz jej to...

ANTONI Ale mnie nie wypada... niech pan zechce zauważyć, że gdy tu idzie o mnie...

DAMAZY Nic mi nie gadaj. Chcesz, idź, chcesz, nie idź, ale jak nie pójdziesz, nie dostaniesz Heli, i kwita!

HELENA (*popychając go*) Idźżeż pan! Prędzej!

ANTONI Więc to warunek konieczny?

DAMAZY Jeszcze tu jesteś? (*Antoni wychodzi na lewo*)

SCENA IX

DAMAZY chodzi, SEWERYN, HELENA, MAŃKA.

SEWERYN (*na stronie*) Ciotka głupstw narobiła i mnie każe naprawiać... ciekaw jestem, jak się tu wzięść teraz... (*zostaje na boku; po chwili*) Wprawdzie innego wyjścia nie ma.

HELENA (*do Mańki, wskazując oczyma Seweryna*) Patrz no! Patrz, jak on szuka twojego spojrzenia... to jest znaczące.

MAŃKA Byłby to zbytek naiwności, jeżeli nie bezczelność.

HELENA Magnetyzuje cię wyraźnie... (*żartobliwie*) Czekaj, ustąpię wam, może się pogodzicie...

MAŃKA Wiecznie żartujesz. (*Helena odchodzi na bok do lustra*)

SEWERYN (*na stronie*) Ułatwiają mi, to dobrze... (*przybliżywszy się do Mańki, cicho*)
Mańka, szukałem na próżno sposobnej chwili, żeby się z tobą rozmówić...

MAŃKA (*ironicznie*) Czyż przystęp do mnie tak trudny?

SEWERYN Nie chcesz mnie rozumieć... (*po chwili*) Wiem, że mogłaś mieć urazę... i słuszną... (*chce wziąć jej rękę*)

MAŃKA (*nie dając ręki, wyniośle*) Nigdy większej jak w tej chwili.

SEWERYN Jak to?

MAŃKA Jeżeli pan sam tego nie pojmujesz, próżno by było tłumaczyć. (*przyzywa spojrzeniem Helenę*)

SEWERYN Ależ nie uwzględniasz położenia, w jakim się znajdowałem... wyjaśnię ci wszystko... tylko udziel mi chwilkę rozmowy sam na sam...

MAŃKA (*roześmiewszy się ubliżająco, do Heleny*) Proszę cię, Helenko!

SEWERYN (*ciszej, zaciskając zęby*) Jak to, czy nic więcej mi nie powiesz?

MAŃKA (*szyderczo, biorąc pod rękę Helenę*) Przez pamięć na dawne złudzenia oszczędzę panu tej przyjemności...
(*idą ku drzwiom na prawo*)

HELENA (*cicho*) Dałaś mu odprawę?

MAŃKA Pójdźmy, pójdźmy...

HELENA Ślicznie zrobiłaś. (*odchodząc Helena rzuca na niego spojrzenie, sznurując usta, jakby mówiła: „Dobrze ci tak!”; wychodzą na prawo*)

SEWERYN (*na stronie*) Więc wszystko przepadło!... Trzeba znosić dalej to jarzmo!... Czy ja się nigdy nie wyzwolę?... (*po chwili, po wejściu osób następującej sceny wychodzi w poruszeniu środkowymi drzwiami*)

SCENA X

PAN DAMAZY, ŻEGOCINA, REJENT, za nimi po chwili ANTONI.

ŻEGOCINA (*wpada zasłaniając uszy rękami; za nią Rejent*) Nie chcę, nie chcę, nic nie chcę!
Daj mi pan święty pokój! (*biorąc obie ręce Damazego, który chodził przez całą poprzedzającą scenę*) Braciszku, jesteś człowiek, jakich mało... pół świętego... teraz wiem, a że z

początku nie poznałam się na tobie, moja wina. Ale nie chcę (*cicho*) i ty nie chcesz, aż on sobie pojedzie...

DAMAZY (*na stronie*) Sfiksowała czy co? (*głośno*) Czego mam nie chcieć? Nic nie rozumiem.

REJENT (*zaperzony*) Za pozwoleniem... e... e... e... ja układać się będę za panią... mam do tego prawo.

ŻEGOCINA Jakie prawo? Jakie prawo?

REJENT Pani postępujesz ze mną nielojalnie.

ŻEGOCINA Zbyt cenię własną niezależność. (*na stronie*) Ten człowiek mnie przeraża.

REJENT Więc w cóż się obróciła nasza umowa?

ŻEGOCINA (*zatykając uszy*) Jaka umowa? Nie chcę!...

REJENT Umowa dobrowolna, której pani nie zaprzeczysz...

ŻEGOCINA Wyłudziłeś ją pan w chwili rozdrażnienia... nie zastanowiłam się... (*na stronie*) Pięknie byłabym się wykierowała!

REJENT Byłaś pani pełnoletnią... i zdrową na umyśle...

ŻEGOCINA (*nagle stając przed nim i rozkładając ręce*) No zresztą, ja nie mam nic... i cóż mi pan zrobisz?

REJENT (*gorączkowo*) To się pokaże... nie wolno się pani zrzekać...

DAMAZY Ale za pozwoleniem, panie mości dzieju... o cóż chodzi? Bo może pani nie rozumiałaś... Posłałem Antoniego... Cóż on pani powiedział?

ŻEGOCINA Nic.

DAMAZY (*do Antoniego*) Jak to nic?

ANTONI A nic!

DAMAZY Nic!

ANTONI Pańskiego postanowienia na moją korzyść nie mogłem uważać za nieodwołalne... zbyt pan byłeś rozdrażnionym, a co większa, to byłoby niesprawiedliwością; więc powiedziałem ciotce, że co do podziału majątku wspólnie się państwo porozumiecie.

DAMAZY (*kręcąc palcem*) Co wiedział, to powiedział!

ŻEGOCINA Tak jest... więcej ani słówka... tylko rejent przed nim przyszedł z wiadomością, że brat odstępujesz mi połowę...

DAMAZY O! Za pozwoleniem, panie mości dzieju, to było warunkowo... jest legat...

REJENT Legat? Jaki legat?

ŻEGOCINA (*cicho do Damazego*) Wybornie! (*do Rejenta*) A widzisz pan! Nie ma nawet połowy...

DAMAZY Zapis dla pani Tykalskiej.

ŻEGOCINA Tak, dla mojej siostry. (*na stronie*) Jaki on dowcipny! (*bierze Damazego na bok i rozmawia z nim na stronie*)

ANTONI (*szukając kapelusza, do siebie*) A zresztą, róbcie sobie, co chcecie, układajcie się, jak wam serce dyktuje, a mnie dajcie pokój... Ja wiem, że mam moją Helenkę, i o więcej nie dbam!... (*znalazszy kapelusz wychodzi na prawo, przesławszy im gest żartobliwy*)

ŻEGOCINA (*do pana Damazego, cicho*) Mój braciszku, zlituj się, broń mnie przed tym człowiekiem... już wolę ci wszystko powiedzieć... wystaw sobie, on ma pretensję... (*mówi mu do ucha; Damazy parska śmiechem*) Tak mi się jakoś wymówiło i on z tego skorzystał, ale ja nie chcę!...

DAMAZY (*spoglądając na Rejenta, który chodzi z kwaśną miną*) Spodziewam się... a to psu na budę by się nie zdało...

ŻEGOCINA (*na stronie*) Dostałabym się pod kuratelę, w jakiej, jak żyję, nie byłam... (*do Damazego cicho*) Ja bratu wierzę, wiem że mi krzywdy nie zrobisz... twój postępek otworzył mi oczy... więc dziel, jak ci sumienie każe...

DAMAZY (*na stronie*) To mnie zajechała mądrze, panie mości dzieju...

ŻEGOCINA Tylko nie mówmy już wcale o interesach, dopóki on tu będzie... dobrze?

DAMAZY (*całując jej rękę*) Ale owszem, z największą chęcią... (*składając ręce, prostodusznie*) Widzisz pani... trzebaż to było tyle harmidru o ten głupi pieniądz!... Mój Boże kochany! Czy może być większa przyjemność jak zgoda... a jeszcze w rodzinie!... Przecież to na dukacie napisane, panie mości dzieju... (*z palcem do góry*) C o n c o r d i a ... czy jak tam!... (*Żegocina mówi do niego cicho*) Dobrze! Zgoda! Jak sobie tylko pani życzysz. (*głośno do Rejenta*) Oboje zamawiamy sobie pomoc acana dobrodzieja, gdy przyjdzie do regulowania działów... ale za to teraz, panie mości dzieju...

REJENT (*kończąc, z ironią*) Teraz... uważam, że tu zbyt czyny.

DAMAZY To nie... broń Boże! A gościnność? (*jowialnie*) Ale widzi pan... te pańskie konferencje tak zmęczyły panią bratową, że chciałyby sobie troszeczkę odpocząć, mieć wolną głowę od tych interesów...

REJENT (*z urazą*) O! I owszem, i owszem... (*na stronie*) Przynajmniej, że Genio zrobi niezły interes, jeżeli się ożeni z tą dziewczyną... (*głośno*) Nie narzucam się bynajmniej... e...

e... e... Ale kiedy tak, (*biorąc Damazego na bok*) miałbym jeszcze jedno słówko do powiedzenia...

DAMAZY Cóż takiego?

REJENT Przemawiam już nie jako rejent, ale jako człowiek... (*tonem pełnym namaszczenia*)
Pamiętajcie o sierocie!

DAMAZY No albo co?

REJENT Wszystkie prawodawstwa opiekują się sierotami. Gdy przyjdzie do działów, nie skrzywdźcie jej!...

DAMAZY (*zdziwiony*) Jakież to duch przez pana przemawia?

REJENT Głos... stąd!... (*uderza się w piersi*)

DAMAZY A, to powinszować!... (*podaje mu rękę*)

Z a s ł o n a s p a d a

ROZBITKI

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH

Mojej żonie w upominku

OSOBY

SZAMBELANIC CZARNOSKALSKI
SZAMBELANICOWA
MAURYCY, ich dziecko
GABRIELA, jak wyżej
DZIEŃDZIERZYŃSKI
POLA, jego córka
WŁADYSŁAW CZARNOSKALSKI
KOTWICZ-DAHLBERG CZARNOSKALSKI
JAN STRASZ
ŁECHCIŃSKA
ZUZIA
MICHAŁEK, strzelec Dzieńdzierzyńskiego
LOKAJ szambelanica
PIERWSZY, chłopiec z cukierni
DRUGI, jak wyżej

Rzecz dzieje się na wsi w majątku Czarnoskalskich z wyjątkiem aktu trzeciego, który odbywa się w Warszawie.

AKT PIERWSZY

Polanka w lesie. Z lewej w głębi domek leśniczego, z prawej na przodzie ławka pod drzewem. Strona prawa i lewa rozumie się od publiczności.

SCENA I

ZUZIA, MICHAŁEK stoją przed drzwiami domku, Michałek pije z dzbanka.

MICHAŁEK (*oddawszy dzbanek*) No, Bóg zapłać, to i dziad więcej nie powie. (*otarłszy usta*)
A teraz do widzenia.

ZUZIA Gdzież się tak spieszysz?

MICHAŁEK Muszę iść, bo stary się tam skręci beze mnie... (*słychać z dala parę chrapliwych zadęć trąbki*) O! Słyszysz? Rozumiesz ty to? To się znaczy, że mieliśmy się strąbić. Ale nie myśl, żeby to było takie strąbienie, jak na przykład arakiem... broń Boże! To się znaczy, że on trąbi na mnie i powiada: (*naśladowując trąbkę*) Miszel, chodź sam tu! A ja mu powinienem odtrąbić: (*tak samo*) Idę, idę, idę! (*dobywa z torby fajeczkę i nakłada*)

ZUZIA To idźże już sobie, kiedy ci tak pilno... (*odnosi dzbanek i wraca po chwili z koszykiem*)

MICHAŁEK (*który przez ten czas zapalił fajeczkę*) A ty dokąd z tym koszykiem?

ZUZIA Na rydze. Ty sobie, ja sobie.

MICHAŁEK Hola, czekaj no... Nie wiem, czy to dla ciebie bezpiecznie.

ZUZIA A to dlaczego?

MICHAŁEK Dlatego, że ja tu dopiero co spotkałem kogoś.

ZUZIA Cóż dziwnego? Wszakże dziś polują.

MICHAŁEK Polują... polują... Ja wiem! Ten też poluje, ale mnie się to polowanie nie bardzo podoba.

ZUZIA O, nie pleć.

MICHAŁEK Widzisz, zrozumiałaś mnie, boś raki spiekła.

ZUZIA Co ci się śni? Nawet nie wiem o kim mówisz.

MICHAŁEK Nie wiesz? Doprawdy? (*patrzając jej w oczy*) A wasz panicz, pan Maurycy? He? Spojrzyj mi w oczy... (*wskazuje palcem*) He, he, he... A widzisz!

ZUZIA No to cóż, że czasem do nas zajrzy? Przecie moja nieboszczka matka go wypiastrawała.

MICHAŁEK Hm! Wiem, wiem... ale słuchaj no, już kiedy tak, to żeby przynajmniej znał się na rzeczy i pamiętał o tobie... to by było pół biedy.

ZUZIA Jak to?

MICHAŁEK Ano żeby było przecie czym zacząć, jak się pobierzemy.

ZUZIA Hm, toś ty taki? Nie chodzi ci o mnie, tylko o pieniądze?

MICHAŁEK Każdemu o to powinno chodzić. Nie myśl, żebym ja cię miał namawiać na jakie złe rzeczy, boć to przecie byłoby na moją skórę... ale widzisz, kto ma rozum, to drze łyka, kiedy się da.

ZUZIA Ej, żebyś czasem nie żałował, jeżeli to mówisz naprawdę.

MICHAŁEK (*na stronie*) Udaje, że się gniewa, ale dobrze, że jej powiedziałem: niech wiedzą, że ja nie ślepy... może człowiekowi co z tego kapnie... (*słychać trąbkę; głośno*) Masz! Znowu trąbi... trza lecieć... Dowidzenia. (*odchodzi na prawo*)

SCENA II

ZUZIA, *po chwili* KOTWICZ, *później* ŁECHCIŃSKA.

ZUZIA (*sama; po chwili zastanowienia*) A to!... Czy on naprawdę mówi, czy tylko tak, żeby się czego dowiedzieć... Co by mi nawet przez myśl nie przeszło, to on mnie sam uczy... (*po chwili*) Niech on jeno sobie z tego żarcików nie robi, bo jeszcze kiedy mu to na złe wyjdzie... (*wchodzi na chwilę do domku*)

KOTWICZ (*wchodzi z prawej strony, rozglądając się*) Tu jest, tu go nie ma... Że też ja ich nie mogę zdybać razem, a wiem, że myszkuje. Sekreta przede mną... co mu się stało?... Bardzo bym chciał mieć czarne na białym. (*spozstrzegłszy Zuzię, która wyszła zarzucając chusteczkę na głowę*) O, jest jedno... pewno i drugie niedaleko, „pod umówionym jaworem”... (*zastępując jej*) Gdzież to rybcia idzie? He?

ZUZIA Na spacer.

KOTWICZ Ale fe! Tak na pojedynek czy ma się z kim zejść?

ZUZIA Co panu po tej ciekawości?

KOTWICZ (*grożąc żartobliwie*) Rybciu! (*zatrzymuje ją*) Muszę się dowiedzieć.

ZUZIA (*wydarłszy mu się*) O, tyle! (*pokazuje mu figę i wybiega*)

KOTWICZ Ta figa daje bardzo wiele do myślenia.

ŁECHCIŃSKA (*która weszła przed chwilą*) Cha! cha! cha!

KOTWICZ (*na stronie*) A ta tu co robi?

ŁECHCIŃSKA Pan hrabia! Cha! cha! cha! Nie w kniei, tylko na leśniczówce... A to ładnie, słowo daję... zamiast strzelać sarny w lesie, to się tu kręci koło sarny na dwóch nóżkach.

KOTWICZ Co kręci, kręci... Nie wiedzieć co!

ŁECHCIŃSKA Jak to, nie widziałam na własne oczy? Zaraz wszystkim opowiem... Komu to tu świat durzyć, jak matkę kocham!... Okropność!

KOTWICZ Ale daję słowo honoru.

ŁECHCIŃSKA A! Więc hrabia chyba komu innemu robił interesa... To już prędzej ujdzie... (*na stronie*) No, jestem w domu.

KOTWICZ (*chodząc, kwaśno*) Teraz mnie faktorem robią.

ŁECHCIŃSKA Tego nie powiedziałam... (*do chłopca, który wnosi dwa spore koszyki i nie wie, co z nimi robić*) No, czegoż tu stoisz, zanieś do izby... (*do Kotwicza*) Śniadanie dla myśliwych... (*poufnie*) ale to tylko dyplomacja, bo inaczej nie miałabym z czym się zamówić.

KOTWICZ Po co?

ŁECHCIŃSKA Po co? Nikt by nie zgadł... Oto po prostu po to, żeby pilnować hrabiego.

KOTWICZ Mnie?

ŁECHCIŃSKA Nie inaczej, jak matkę kocham... bo hrabia taki ciężki do wszystkiego, że niech Bóg broni... może już i zapomniał, że pani sobie życzyła, aby po polowaniu przyjechali wszyscy do pałacu na obiad.

KOTWICZ No tak, wspominała mi kuzynka. Więc cóż?

ŁECHCIŃSKA A Strasz jest?

KOTWICZ Jaka straż?

ŁECHCIŃSKA O! Już koncepta... Strasz, ten młody, co się to teraz sprowadził do Zagrajewic, bo to o niego przede wszystkim chodzi.

KOTWICZ Ale fe! Cóż to nowego się święci?

ŁECHCIŃSKA Najprzód, czy jest? No jeżeli go nie masz, to to wszystko niepotrzebne.

KOTWICZ Ale jest, jest, i to nawet mnie zdziwiło... skąd się wziął nie proszony? Nikt go nie zna.

ŁECHCIŃSKA (*tajemniczo*) Właśnie, że proszony.

KOTWICZ Przez kogo?

ŁECHCIŃSKA Wystaw sobie hrabia, to cała historia. Pani na bilecie wizytowym męża napisała parę słów ołówkiem i postarałyśmy się, że mu zaniecono dziś raniutko, niby to z polowania.

KOTWICZ Ale fe!

ŁECHCIŃSKA Jak matkę kocham! I jakże on wygląda? Przyzwoicie?

KOTWICZ Fagas... za kamerdynera bym go nie przyjął.

ŁECHCIŃSKA E, hrabiego to nie ma się co pytać, bo taki arystokrata, jak nie wiem co.

KOTWICZ Szewcem, dzięki Bogu, się nie urodziłem.

ŁECHCIŃSKA Co tam, jaki jest, taki jest, dosyć, że ma pieniądze.

KOTWICZ I grube, ani słowa! Po prostu milioner. (*po chwili, z goryczą*) Dostało się w ładne ręce... mój Boże! Zagrajewice, taka pańska rezydencja... gniazdo Zagrajewskich... To był dom, jakich dziś już nie ma... Jakaś się tam bawili! Goście prawie nie wyjeżdżali... szampan lał się strumieniami...

ŁECHCIŃSKA (*z admiracją*) Jak matkę kocham, to były czasy!

KOTWICZ Zwykle po takich bachandriach zjeżdżano do mnie na barszczyk, z którego sływał mój kucharz. Prawda, że te barszczyki kosztowały mię tyle, że łajdak Wucherstein zlicytował mi Bębnówkę i zabrał jak swoją.

ŁECHCIŃSKA A, to tak?... Ale hrabia miał jeszcze i drugą jakąś wioskę.

KOTWICZ Lipowiec? Mam tu po nim pamiątkę... (*otwiera cienki pugilaresik, do którego Łechcińska ciekawie zagląda*) Przegrałem go na tę samą dwójkę pikową.

ŁECHCIŃSKA Jezus!... No i cóż?

KOTWICZ Ano nic... oddałem w dwadzieścia cztery godzin... dług honorowy, trudno! (*po chwili*) No, ale się przynajmniej żyło i użyło po pańsku... A teraz? Pierwszy lepszy cham, prosty wyrobnik jakiś spod płotu... chodzi zasmolony, przy fartuchu... będzie kamienie tłukł przy drodze... później: jest! Wypływa na wierzch... krezus!... I niechże taki potrafi dom prowadzić!...

ŁECHCIŃSKA Chyba że go panowie nauczą... bo to tak wszystko idzie w kółko... o! (*poka-
zuje palcem*) Taki tam jakiś, skoro się dochrapie grosza, to nie ma spokoju, póki się nie
wprosi do koligacji z jakim prawdziwie pańskim domem, i te miliony znowu wracają tam,
skąd je wyciśnięto.

KOTWICZ Żeby to!

ŁECHCIŃSKA Niech mówią, co chcą, pan panem zawsze będzie. Na przykład hrabia stracił
taki majątek, ale jak był, tak jest hrabią, a to jest kapitał, i jaki! Niejedna majątna osoba na
wydaniu chętnie by oddała wszystko, żeby być hrabiną. Ja sama powiadam, że gdybym tak
wygrała wielki los na loterii albo gdyby mi dopisały jedne duże pieniądze — co jeszcze se-
kret — toby się hrabia musiał zaraz żenić ze mną, jak matkę kocham!

KOTWICZ Ale fe! Tak zaraz? Na poczekaniu?

ŁECHCIŃSKA Byłabym hrabiną... (*do siebie*) Jezus! Dopiero bym nos zadzieriała! Ciekawa
rzecz, jaką minę zrobiłaby na to stara szambelanowa. (*do Kotwicza, z przymileniem*) Oże-
niłby się hrabia ze mną, gdybym miała pieniądze? Co?

KOTWICZ (*po chwili, przyjrzawszy jej się, pół żartem*) Chyba bardzo grube.

ŁECHCIŃSKA A co! Jeszcze by grymasił, jak matkę kocham... nie powiedziałam? Zaraz
chce się krocioń... Dobrze i coś... zawsze byłby swój ką, cóż by przyszło robić, gdyby za-
brakło cudzych? Przecie hrabiemu nie wypada się zaprzęgać do podłej pracy jak jakiemu
pierwszemu lepszemu. To tak jak gdyby na przykład naszemu państwu kazać być czym...
Jezus! Taka wielka familia, od książąt, hrabiów, nawet od królów podobno... Czy to
prawda, że Czarnoskalscy pochodzą od królów?

KOTWICZ (*z niechęcią*) Właściwie to tylko ta linia, do której ja się liczę, hrabiowska,
Dahlbergów, jest skuzynowaną przez Stuartów z większą częścią domów panujących... a
młodsza, z której pochodzi szambelanic... ph... niby przez Poniatowskich... ale... w każ-
dym to już tylko... dobra szlachta... więcej nic...

ŁECHCIŃSKA No, to i to nie bagatela! Poniatowscy... i niechżeby im przyszło co robić,
pracować na życie, Jezus! Oni tak przyzwyczajeni do państwa, do wszelkich wygod, czyż-
by to mogli przenieść? Chociaż nasza pani to święta, anielska kobieta! Pełna rezygnacji, a
co za matka! Nie ma ofiary, której by nie była gotową zrobić dla dzieci... Bo czyż to nie
prawdziwa ofiara pozwolić panu Maurycemu żenić się z córką takiego Dzieńdzierzyńskiego?
Skądże to wyszło? Jakiś kupiec!

KOTWICZ (*z gorzką ironią*) Także milioner... (*po chwili, z niechęcią*) Te pieniądze, o któ-
rych pani Łechcińska wspomniała, to pewno po referendarzu?

ŁECHCIŃSKA Być może... nie wiem.

KOTWICZ (*machnąwszy ręką*) Na księżycu.

ŁECHCIŃSKA O, bardzo przepraszam, nie na księżycu!... Ach, gdyby był referendarz jesz-
cze trochę pożył, inaczej bym śpiewała... Byłby się ożenił ze mną, jak amen w pacierzu...

ale i tak mi zapisał. Zapierają mi, szachrują, przekupują w sądach, ale wydobędę! Wydobędę! Choćby mi przyszło nie wiem co!...

KOTWICZ I dużo to tego?

ŁECHCIŃSKA Pokaże się w swoim czasie... Ach, jaki hrabia ciekawy... *(na stronie)* Jezus! Żebym ja go też złapała. *(głośno)* Ale my tu gadu gadu, a nic o interesie. Niechże hrabia się postara tego Strasza sprowadzić dziś do nas koniecznie... Trzeba to zrobić dla pani...

KOTWICZ *(z godnością)* Dlaczegoż kuzynka nie raczyła wtajemniczyć mnie w powody?

ŁECHCIŃSKA Dlaczego, dlaczego... [kiedy hrabiemu to trzeba by zaraz tak o... *(wystawia język i pokazuje palcem urznięcie)*

KOTWICZ Doprawdy! Nie zasługuję na zaufanie? Więc dajcież mi pokój!

ŁECHCIŃSKA Ale za pozwoleniem... swoją drogą sama powiedziałam pani... to tak jak mnie hrabia żywą widzi, że tu bez hrabiego się nie obejdzie, jak matkę kocham... Któż by to zrobił? Ciekawam... na samego pana nie ma co rachować.

KOTWICZ Jeszcze czego! Stary pedant.

ŁECHCIŃSKA Młody także nie do tego.

KOTWICZ Więc?

ŁECHCIŃSKA] Wszystko opowiem szczegółowo, tylko siadajmy, bo mi nogi ścierpły... *(siadają na ławeczce po prawej)* Otóż, widzi hrabia, rzecz się ma tak... *(tuż za nimi pada strzał; Łechcińska z wielkim krzykiem rzuca się Kotwiczowi na szyję; on podobnie, drgnąwszy, chwyta ją w pól)* Jezus! Jakżem się przelęka... *(spuszczając oczy i odejmując ręce)* Przepraszam hrabiego... nie wiedziałam, co się ze mną dzieje...

KOTWICZ *(nie puszczając jej)* Ale fe! Taka nieostrzelana?... *(na stronie)* One jednak wszystkie mają w sobie coś, te kobiety... *(pada drugi strzał i zaraz po nim śmiech; oboje z krzykiem padają sobie w objęcia)*

ŁECHCIŃSKA *(zrywając się)* Ach, dlaboga! Oni nas jeszcze postrzelą, jak matkę kocham... uciekajmy stąd... znajdziemy sobie jaki kącik spokojny do pogadania.

KOTWICZ Jest racja... pójdźmy do kątku... *(wychodzą spiesźnie w głąb ku prawej stronie)*

SCENA III

MAURYCY, WŁADYSŁAW, DZIĘNDZIERZYŃSKI, potem MICHAŁEK.

DZIĘNDZIERZYŃSKI *(w eleganckim stroju myśliwskim z wszystkimi przyborami, przy kordelasie, ale mina mieszczańska; wyrazy cudzoziemskie wymawia mocno polskim ak-*

centem) Tak się strzela, moi panowie... cały nabój w centrum! (*do Władysława, wskazując na Maurycego, który na boku zwija papierosa*) V o y e z v o u s, q u e l n e z... jak mi się nos wyciągnął... nie strawi tego mojego triumfu... ale bo też to był strzał kapitalny. (*na stronie*) Skąd mi się wziął, ani wiem... (*głośno*) No cóż, nic nie mówisz?

WŁADYSŁAW Zdziwienie odebrało mi mowę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Aha! Zdziwienie... Widzisz! Nie spodziewałeś się?

WŁADYSŁAW Ale bo papka tak sobie pachy strzelił.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*dotknięty*) C o m m e n t? Jak to, spod pachy? Co gadasz! Czy myślisz, że nie wiem, jak trzymać strzelbę? Ja, myśliwy!... Spod pachy!

WŁADYSŁAW Proszę! Papka myśliwy, a nie zna myśliwskiego wyrażenia... Spod pachy — to jest z niechcenia, nie mierząc, tak sobie, o!... (*pokazuje, podzucając strzelbę lufą ku niemu*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*przechodząc na drugą stronę*) S a v e z – v o u s q u o i, c' e s t b o n! (*śmiejąc się*) Złapałeś mnie za słówko... no! Patrzcież! Przecież znam doskonale... Istotnie prawie nie mierzyłem, j e n' a i p a s m e s u r é, m a p a r o l e... tak sobie, paf!... To już z natury, znajcie prawowiernego szlachcica, którego nie macie żadnej racji prześladować o mieszczańskie nawyknięcia, jak sobie pozwalacie.

WŁADYSŁAW Papko, żarty...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Jeżeli burze krajowe jednego z moich przodków wypędziły do miasta, gdzie wziął się do kupiectwa... c o m m e c e l a... z nudów... p o u r l e p a s s e z — t e m p s, to mimo to nie przestaliśmy być szlachtą łęczycką, piskorzami z dziada pradziada... Dzieńdzierzyńscy de Kurzy-jama... Weź herbarz!

WŁADYSŁAW Więc istotnie dlatego papka trafił w centrum?

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t? A dlaczegoż? Dobra krew przemówiła, i kwita.

WŁADYSŁAW Fe! Któż dziś wierzy w takie przesady!

DZIEŃDZIERZYŃSKI Mój panie Władysławie... jak można odzywać się w ten sposób, c o m m e n t p e u t — o n? To świętokradztwo! (*uroczyście*) Są rzeczy sakramentalne, których lekceważyć nie wolno... Kpijcie sobie, ile wam się podoba, z majątku, bo tego lada dureń może się dorobić; ale to, co mamy po antenatach, imię, stanowisko, n o b l e s s e o b l i g e, którego za pieniądze nie kupi, powinniśmy czcić jak świętość... Panie Maurycy, nieprawdaż? Poprzej mnie...

MAURYCY Ale czy pan go nie zna?... Kontent, gdy może dowcipkować.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Masz rację, z nim nie ma szansy.

WŁADYSŁAW Ale bo papka jest p l u s p a p e q u e l e p a p e.

DZIEŃDZIERZYŃSKI *S a v e z – v o u s q u o i , c ' e s t b o n ! ...* Papka plus pape que le pape... cha, cha, cha... To jest niby innymi słowy, że... (*na stronie*) Co to właściwie może być? (*tuż za sceną słycać parę zadęć trąbki*) A, mój Miszel!... (*bierze trąbkę i dmie w nią, wydobywając tylko chrapliwe tony. Za pierwszym zadęciem Michałek wchodzi i staje tuż przy nim*) Cóż u diabła! Czy tę trąbkę kto zaczarował? (*do Michałka*) Gdzieżeś ty się chował? Trąbiłem, aż mnie płuca bołą.

MICHAŁEK Słyszałem, ale nie mogłem odtrąbić, bo upatrzyłem kota i nie chciałem go płoszyć.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Aha!

MICHAŁEK Zaprowadzę jaśnie pana prosto do kotliny, jaśnie pan będzie miał satysfakcję.

DZIEŃDZIERZYŃSKI *B o n ! (na stronie)* P l u s p a p e q u e l e p a p e ... muszę się spytać Poli, co to znaczy. (*głośno*) Ale on ucieknie tymczasem.

MICHAŁEK (*ciszej*) Nie ucieknie, bo już ze dwie godziny, jakem go zastrzelił... leży pod sosną.

DZIEŃDZIERZYŃSKI *C i c h o ! (ściska mu ramię)* Masz u mnie rubla, tylko tak zrób, żeby się nikt nie domyślił. (*głośno*) *J e v o u s d i s ,* mój Miszel to perła między strzelcami... Nie raz jem sobie śniadanie, a on przychodzi i powiada: - Jaśnie panie, upatrzyłem w kotlinie zająca. — *B o n !* Gdzie? — Przy borsuczych dołach. — Nawiasem mówiąc, pół mili drogi... u n j o l i m o r c e a u ... Zaprzęgać! Jedziemy... prowadzi mnie, ustawia w dobrym miejscu, a sam idzie prosto na kota... wystrasza go, kot pomyka... kiedy sadzi w najlepsze, ja paf, paf!...

WŁADYSŁAW Kot sadzi jeszcze lepiej.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*zbity z tonu*) A to jakim sposobem?

WŁADYSŁAW No, ze strachu, cóż dziwnego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale nie ma czasu, bo go trafiam... Koziółkuje w miejscu i... *f i n i t a l a c o m e d i a*.

WŁADYSŁAW Dramat chyba.

DZIEŃDZIERZYŃSKI No, dla niego dramat, to prawda... ale dla mnie...

WŁADYSŁAW Czy to papce robi przyjemność?

DZIEŃDZIERZYŃSKI *C o m m e n t ?* To nie ma robić przyjemności?

WŁADYSŁAW Ciekaw jestem, jaką... (*patetycznie*) Że biedne zajączysko, które nikomu nie zawiniło, porażone z pańskiej ręki, skrzeczy głosem krającym serce? To ma być przyjemność? Winszuję.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*patrzac na Michałka*) Skrzeczy?

WŁADYSŁAW Czy papka tę krwiożerczość odziedziczył w spadku po przodkach?

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*na stronie*) Już cię, że to nie musi sprawiać miłej sensacji.

MICHAŁEK Jasnie panie, jeżeli mamy iść, to się spieszymy, bo kot może nie dosiedzieć.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*po chwili wahania*) A dobrześ go zabił?

MICHAŁEK Ani zipnął.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Ręczysz, że nie będzie skrzeczał?

MICHAŁEK Chyba na rożnie.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*z fantazją do Władysława*) Mów sobie, co chcesz, jak się ma już żyłkę, to się ma... nie wyprujesz jej. (*do Michałka*) No, idź naprzód, a l l o n s... (*do siebie*) P l u s k a p... k l u p a k... jakże tam? A! P l u s p a p a q u e l e p a p a. (*wychodzą na prawo. Dzieńdzierzyński odwodzi kurki u strzelby i trzyma ją w pogotowiu do strzału*)

SCENA IV

MAURYCY, WŁADYSŁAW.

MAURYCY Mój drogi, przestań też raz tej zabawki niegodnej ciebie. Nie rozumiem, co za przyjemność brać na fundusz człowieka, który nawet nie potrafi się bronić.

WŁADYSŁAW (*śmiejąc się*) To tak tylko w kółku rodzinnym... Za to poza oczy zawsze trzymam jego stronę, szanując w nim, bądź co bądź, zacy charakter.

MAURYCY Twój humor drażni mnie.

WŁADYSŁAW Dlaczego?

MAURYCY Dlatego że ja go mieć nie mogę!

WŁADYSŁAW A to egoizm!

MAURYCY Tyś kontent ze wszystkiego, począwszy od siebie, gdy ja nieraz miałbym do prawdy ochotę w łeb sobie palnąć.

WŁADYSŁAW Tak kiedy wolnym czasem, w braku innej rozrywki?

MAURYCY Zaręczam ci, że nie żartuję... bywają chwile, żeby mnie to nic a nic nie kosztowało... Te kajdany, bez których kroku zrobić nie mogę, zanadto mi już ciężą.

WŁADYSŁAW Jakie kajdany? Chyba ukute w twojej wyobraźni?

MAURYCY Zazdroszczę ci, żeś się od nich wyzwolił... Jedna krew w nas płynie, a jakżeśmy daleko od siebie! Te wszystkie względy, które mnie krępują, dla ciebie nie istnieją. Najswobodniejszy w świecie, w swoim dworcu pod słomianą strzechą dorabia się, orze, sieje, ujada się z parobkami... i szczęśliwy! Ach, gdybym ja tak mógł!

WŁADYSŁAW Przypominasz mi tego właściciela pensjonatu, który zajadając przy uczniach kapłona zazdrościł im kaszki na wodzie i kartofli w mundurach, mówiąc: — Ach, jakbym ja to jadł! — To tylko obłuda, mój bracie, bo gdybyś chciał, tobyś i mógł.

MAURYCY [Dajże mi sposób.

WŁADYSŁAW Bardzo prosty: powiedz sobie raz, ale to tak na serio, że jesteś zwykłym śmiertelnikiem, ani mniej, ani więcej, tylko takim samym jak tysiące innych ludzi, którzy zarabiają na chleb w pocie czoła.

MAURYCY (*ironicznie*) I to już wszystko?

WŁADYSŁAW Dodaj jeszcze, że człowiek z urodzeniem nie jest bydlątkiem uwiązany przy żłobie, do którego opatrność powinna sypać goły owies, bo to jest rola opasów, przeznaczonych wyłącznie na rzeź... a kto ma pretensję żyć nie zawadzając na świecie, musi się trochę potrudzić... taka reguła, i święty Boże nie pomoże! Pod tym względem dola ludzi i bydląt zupełnie jednaka.

MAURYCY Bardzo ładnie... więc z tego sens moralny, żeby schować do kieszeni wszystkie pretensje wysrane z mlekiem, ugruntowane przez nałóg, wyrzec się ich publicznie i] za twoim przykładem zakasawszy rękawy chwycić za pług, nieprawdaż?

WŁADYSŁAW Czybyś nie miał do tego siły?

MAURYCY Miałbym, gdybym był sam jeden jak ty... Zapominasz, że mam rodziców.

WŁADYSŁAW Tym silniejsza pobudka.

MAURYCY Zatem podług ciebie mam ich skłonić, aby sprzedali majątek, pospłacali długi i za te resztki, które by nam pozostały, kupili parę włók gruntu z chałupką pod lasem, w romantycznym położeniu, w której byśmy osiedli wszyscy razem i rozpoczęli sielankowy żywot dorabiając się na nowo?... Cha! cha! cha! czyżby oni w tych warunkach wyżyli?

WŁADYSŁAW A, mój drogi, już na to nie mam co powiedzieć.

MAURYCY Dla nich całą nadzieją jestem ja! Wychowali mnie na filar upadającego domu.

WŁADYSŁAW (*na stronie*) Piękny filar!

MAURYCY Przejęci wiarą, że świetna przyszłość należy nam się z prawa urodzenia, wpajali ją we mnie, kołysali bajeczką o księżniczce z diamentami, która spłynie z obłoków i odda mi swoją rękę...

WŁADYSŁAW (*ironicznie*) Aha! Tymczasem zamiast księżniczki...

MAURYCY To mnie dobija!

WŁADYSŁAW Więc kupcówna ci nie w smak?

MAURYCY (*unosząc się*) Że też ty z najświętszych rzeczy musisz drwić!

WŁADYSŁAW Nie wiedziałem, że przesady kastowe są taką świętością... Biję się w piersi.

MAURYCY (*jak wyżej*) Człowieku! czy ty nie widzisz, co mnie nęka?... Oto rola moja upokarzająca w tym całym stosunku. Wstydzę się jej, a nie mam na to rady. Jeżeli mi odda rękę, to wbrew swojej woli, bo wpływają na nią... już nie mówię kto inny, ale własny ojciec, zachwycony widokiem koligacji z nami.

WŁADYSŁAW A ty?

MAURYCY (*po chwili*) Czyż tu o mnie chodzi?

WŁADYSŁAW Ale powiedzże mi tak otwarcie... jesteś gotów do tej ofiary?

MAURYCY Ofiary! Wiem, że niejeden tak to nazwie.

WŁADYSŁAW Więc tak nie jest? (*Maurycy milczy*) Masz dobrą i nieprzymuszoną wolę? Nie zrażają cię te malutkie względy i względziki, na które nasz światek tak lubi kręcić nosem?

MAURYCY (*z zapalem*) To jest anioł!

WŁADYSŁAW (*zdziwiony*) Ba! Także mi gadaj... (*po chwili*) Jak się to można omylić! Ja byłem pewny, że ty się przymuszasz dogadzając woli rodziców... co większa, (*ciszej*) byłbym przysiągł, że ta mała Zuzia naprawdę cię przywiązała do siebie.

MAURYCY (*rozdrażniony*) Czy i ty zaczynasz się już bawić w babskie plotki?

WŁADYSŁAW Jeżeli doszło coś do mnie, ręcę ci, że mimo chęci.

MAURYCY (*gwałtownie*) I wierzyłeś temu? (*śmiejąc się, z przymusem*) Dziewczyna prosta, ograniczona... co za myśl, żeby zabawkę bez konsekwencji...

WŁADYSŁAW Jak to bez konsekwencji? Pozwól, że to już wyrafinowany egoizm...

MAURYCY (*niecierpliwie*) Ale nie masz najmniejszej racji do moralizowania, bo to wszystko, co możesz powiedzieć, ja sobie już dawno powiedziałem! Jeżeli kiedyś były z mojej strony jakie zamiary niekoniecznie godziwe, to ich żałuję.

WŁADYSŁAW Ba!

MAURYCY Nie posunąłem się tak daleko, żeby mi nie wolno było się cofnąć.

WŁADYSŁAW No chyba...

MAURYCY I daję ci słowo, że dziś już z tego wszystkiego nie ma nic.

WŁADYSŁAW Słowo honoru?

MAURYCY Słowo honoru... nic a nic! Czyż możesz przypuszczać, żebym ja teraz jeszcze dawał powody do plotek?

WŁADYSŁAW (*po chwili*) Skoro tak, gdy kochasz Polę, więc o cóż ci chodzi?

MAURYCY (*z ogniem*) O nią! O nią!... O jej wzajemność, szacunek, o pewność, że mną nie pogardza.

WŁADYSŁAW Pierwsze jest wszystkim. Największą pewność będziesz miał, gdy ją rozkochasz.

MAURYCY Z tobą nie można mówić poważnie.

WŁADYSŁAW To jedyny środek... Zresztą, czyż to tak trudno? Mój drogi, żeby cię przekonać, gotów jestem zrobić ci wyznanie... o którym dawno już myślałem, ale... jakoś... nie przyszło do tego. Cóż powiesz na to, że ja, którego zasady znasz, nie wiedząc jak i kiedy, doprowadzony zostałem do tej ostateczności, że się zakochałem po uszy, i robię krok, który zimny rozum może potępić.

MAURYCY E!

WŁADYSŁAW Nie wierzysz? Więc posłuchaj!... Postawiłem sobie był za правило ignorować kobietę, o ile nie przedstawiała widoków odpowiednich moim celom. I udawało mi się to przez czas jakiś. Najokrzyczańsza piękność, skoro nie znajdowała się w warunkach dostępnych, robiła na mnie wrażenie tylko pięknego posągu. Ta uwaga, że ona nie dla mnie, była okładem z lodu, który mnie zabezpieczał najdoskonalej... Tymczasem znalazła się osoba, i notabene osoba znająca mój sposób myślenia, która uwzięła się zburzyć cały ten gmach mądrych postanowień, z taką troskliwością wzniesiony... i dokazała swego. Ale ty mnie nie słuchasz i nie ciekawysz nawet dowiedzieć się, kto jest ta czarodziejka. Otóż odkryj ci tajemnicę, bo i tak wkrótce dowiedziałbyś się... Jest to... twoja siostra!

MAURYCY (*bardzo zdziwiony*) Gabriela!

WŁADYSŁAW Wszak niespodzianka? Chowaliśmy się niemal razem od dzieciństwa, przez tyle lat patrzyłem na nią jak na prześliczną kuzyneczkę, z której wdzięków byłem dumnym, ale pomyśleć o czym więcej ani mi w głowie nie powstało, bo to byłbym nazwał po prostu zawiązaniem losu nam obojgu. Wszystko to trwało dopóty, dopókim się nie przekonałem, że opierać się dłużej magnetycznej sile, jaką posiada spojrzenie kobiety, niesposób; pod jej wpływem moje serce zamieniło się w wulkan.

MAURYCY Ty — wulkan?!

WŁADYSŁAW Jak cię kocham, przeobraziła się cała moja natura. Więc widzisz, dlaczego byś ty nie dał sobie rady z Polą, która z pewnością jest pełną najlepszych chęci i niczego

więcej nie pragnie jak kochać. Tylko, uważasz, co do nas, nie mieszajże ty się do niczego, zostaw to nam samym. Kochamy się jak para turkawek i Gabrieli jestem pewny, ale przewiduję trudności ze strony stryjostwa... Ojciec jak ojciec, ale z matką najgorzej... Robiąc ci zwierzenie zapędziłem się może za daleko, stało się to pod wpływem naszej rozmowy... więc proszę cię o tajemnicę do czasu... Mógłbyś wszystko zepsuć, wrywając się zbyt pośpiesznie.

MAURYCY Mój Władku, życzę wam obojgu jak najlepiej, ale...

WŁADYSŁAW (*ściskając go*) Tylko, zlituj się, żadnych uwag...

MAURYCY Ale bo czy ty się nie łudzisz?

WŁADYSŁAW Gdyby tak było, to proszę cię, nie otwieraj mi oczu. Całą nadzieję złożyłem w tym złudzeniu... niech więc przynajmniej trwa jak najdłużej.

SCENA V

POPZEDZAJĄCY, ZUZIA, KOTWICZ, STRASZ.

ZUZIA (*w kulisie, tonem pewnej zalotności, chcąc odebrać koszyk Straszowi, który go przytrzymuje wraz z jej ręką*) Oj oj! bo to boli!... po co pan tak ściska, cóż to znowu... niech mi pan odda koszyk!

STRASZ Powiedziałem, że ci oddam, jeżeli mi dasz całusa.

ZUZIA (*jak wyżej*) To to to... Nie mam takich rzeczy na rozdawki.

STRASZ Jak to! Taka śliczna dziewczyna i tak nieprzystępna? To grzech!

ZUZIA Tak mnie uczyli.

KOTWICZ (*dopomagając Straszowi*) Ale fe! i któż taki? Jeżeli pan Maurycy, to właśnie powinnaś być z tym otrzaskaną.

ZUZIA (*hardo do Kotwicza*) A pan co sobie myśli o mnie?

KOTWICZ Że mogłabyś nie robić ceremonii... (*przytrzymuje ją, a Strasz całuje*)

ZUZIA (*krzyknawszy*) Ach!... (*po chwili do Kotwicza z dąsem*) Stary!... (*w tej chwili spostrzegłszy Maurycego, biegnie do niego, zostawiając koszyk w ręku Strasza; pomieszana, tonem, jakby szukała opieki*) Proszę pana...

KOTWICZ (*na stronie*) Sytuacja naprężona...

STRASZ (*zbliżając się z koszykiem, który Zuzia odbiera*) Fant wykupiony, oddaję ci... a za przestkach... (*sięga do portmonetki*)

ZUZIA (*z pewną afektacją, przysuwając się do Maurycego*) Niech mnie pan broni.

MAURYCY (*zimno, usuwając się*) Nie udawaj, moja kochana, bo nie zdaje mi się, żeby ci ta napaść robiła tak wielką przykrość.

WŁADYSŁAW (*na stronie*) Zawsze go to jednak dotknęło.

MAURYCY A jeżeli naprawdę tak się boisz, to siedź w domu i nie biegaj po lesie, kiedy wiesz, że możesz kogo spotkać.

ZUZIA (*zawstydzona*) Czyż ja wiedziałam? (*po chwili*) To tak zawsze! Jak napastować, to każdy gotów... a do obrony nie ma nikogo.

KOTWICZ Ale bo panowie zapewne się nie znacie... Pan Strasz, nowy dziedzic Zagraje-wic... sąsiad.

MAURYCY (*z dwuznaczną grzecznością*) A!... Domyśliłem się tego, ujrawszy na polowa-niu osobę nieznajomą.

KOTWICZ Panowie Czarnoskalscy.

STRASZ Bardzo mi przyjemnie.

MAURYCY (*do Władysława*) Idziemy?

WŁADYSŁAW Zapewne, nie mamy tu co robić...

ZUZIA (*zmuszając się do płaczu*) Tylko człowiek się wstydu naje, nie wiedzieć z jakiej racji, i tyle.

STRASZ (*wtykając jej pieniądze do ręki*) Weźże...

ZUZIA Niech pan sobie schowa dla innych. (*odchodzi do domku*)

STRASZ (*który zrobił kilka kroków za nią; wracając*) Wiecie, panowie, że to bardzo ładna dziewczyna, daję słowo... podobno córka leśniczego; tatki teraz nie ma, warto by pójść za nią i utulić ten żal... złożmy się jej na jakiś podarek... dobrze?

MAURYCY (*do Władysława*) Chodźmy na stanowiska, może się jeszcze co trafi.

KOTWICZ Mieliliśmy się tu zejść na bigos.

WŁADYSŁAW (*przechodząc koło Strasza, jakby do siebie*) Mała rzecz, a wstyd.
(*Maurycy i Władysław wychodzą na prawo*)

SCENA VI

KOTWICZ, STRASZ.

KOTWICZ (*na stronie*) Jak oni mu będą takie finfy puszczać, to wszystko na nic się nie zda... a potem będzie na mnie.

STRASZ (*po chwili*) Mój panie, co to miało znaczyć?

KOTWICZ Jak to? Co?

STRASZ Proszę pana, czy ja jestem smarkacz? Powiedz pan.

KOTWICZ Ale skąd znowu, przecie pan musisz być pełnoletnim.

STRASZ Mam lat dwadzieścia pięć i niezależną pozycję... Przyznałem się panu otwarcie, że lubię kobiety, i bardzo lubię, to jest moja słaba strona... A że wyszedłem spod kurateli, zdaje mi się, że nie mam potrzeby kryć się z tym moim upodobaniem i wolno mi je objawić. Gdybym przebrał miarkę i obraził przyzwoitość publiczną, jest na to władza policyjna, która by mnie wsadziła do ciupy albo kazała zapłacić karę... ale żeby mi jakiś tam arystokrata prowincjonalny ubliżał prawieniem morałów...

KOTWICZ Zupełnie pana nie rozumiem, o cóż chodzi?

STRASZ Pomijam niegrzeczne obejście się tych panów, chociaż zdaje mi się, że kiedy kto mówi do mnie, przyzwoitość nakazuje odpowiedzieć – ale co znaczyło to: „mała rzecz, a wstyd”, które jeden z nich powiedział odchodząc?

KOTWICZ Nie słyszałem.

STRASZ To było wymówione z akcentem, panie, u musiało mnie obrazić... Wdzięczny panu jestem za zaproszenie, ale korzystać z niego nie myślę. Ja nie jestem pierwszy lepszy panie, żebym mógł słuchać impertynencji i znosić fomy jakichś tam półpanków.

KOTWICZ (*na stronie*) O, jakiś drażliwy. (*głośno*) Ale panie, panie, jaki pan jesteś niedomyślny... a warszawiak!... Gdzież tu chęć obrażenia? To była prosta zazdrość, a w takich razach trzeba być wyrozumiałym.

STRASZ Jak to zazdrość?...

KOTWICZ Czyż potrzebuję panu tłumaczyć?... Wkraczałeś pan na cudze terytorium, przywłaszczałeś sobie prerogatywy osób trzecich...

STRASZ Aha! Teraz rozumiem... Więc ta dziewczyna?... (*zapytuje wzrokiem*)

KOTWICZ (*odpowiada podobnie*) Emhę!

STRASZ Kiedy tak, to co innego... (*po chwili*) Ale zawsze kwituję, z tych stosunków... jest coś, co mi się nie podoba... Po co mi się cisnąć do wysokich progów?... Najlepiej niech

swój z swoim przestaje... ot, jak my na przykład... z panem ja jestem swobodnym, jakbyśmy się znali Bóg wie odkąd... Ale! Powiedz mi pan, jakież pan masz tytuł zapraszać mnie do tych państwa?

KOTWICZ Bardzo prosty... jako ich krewny.

STRASZ Nie może być! Pan jesteś ich krewnym? Nie wiedziałem.

KOTWICZ (*z pańska*) Miałem zaszczyt rekomendować się przy poznaniu... Kotwicz-Dahlberg Czarnoskalski.

STRASZ Także Czarnoskalski? Nie uważałem, daję słowo... Kotwicz—Dahlberg, Dahlberg... a a a... to pan, co go nazywają hrabią... Teraz wiem... (*na stronie*) Hrabia von Habenichts.

KOTWICZ (*urazony*) Skoro nazywają, zdaje mi się, że jest do tego prawo... Jestem ze starszej linii.

STRASZ (*na stronie*) Jak to szydło wyłazi z pustego worka. (*głośno*) A, to mocno przepraszam... ja bo myślałem, że to tak sobie, na żarty. Mnie w kawiarni u Andzi na Trębackiej nie nazywano inaczej, tylko hrabią... Prawda, że właśnie wtenczas spadła na mnie ta sukcesja.

KOTWICZ Ph!... W knajpie uchodzą takie koncepta.

STRASZ (*dotknięty*) Ale za to nie uchodzi wiele rzeczy, które muszę znosić w salonie.

KOTWICZ Także porównanie!

STRASZ Przede wszystkim używam przyjemności otwarcie, nie potrzebuję grać komedii, i jestem panem za swoje trzy grosze.

KOTWICZ Ha, są gusta i guściska... Ale jako wielbiciel kobiet, gdzież pan szukasz ich towarzystwa? Bo kobietę, tak jak się ją pojmuje idealnie, może wyhodować tylko atmosfera salonu.

STRASZ A, winszuję!... Cha! cha! damy salonowe... czyż to są kobiety?

KOTWICZ A cóż?

STRASZ Jakieś istoty zagadkowe, z obliczem sfinksów, sercem pełnym niestworzonych zachceń, a z pretensjami na aniołów.

KOTWICZ Gdzieżeś je pan miał sposobność tak studiować?

STRASZ Teoretycznie, za pomocą patologii, bo to wszystko się tłumaczy stanem chorobliwym. U Andzi bywał jeden doktor medycyny, młody chłopak świeżo wyszły z uniwersytetu... No! Co ten nam nagadał o kobietach, to proszę, było słuchać... (*stanowczo*) Hrabia nie znajdziesz w salonach jednej kobiety zdrowej.

KOTWICZ Ale fe!

STRASZ To jest fakt. Więc co mi za przyjemność?... Ja nie szukam jakiegoś półbożyszcza, przed którym musiałbym chodzić na palcach, tylko kobiety z krwi i ciała, o której byłbym przekonany, że nie dostanie spazmów, gdy jej powiem słowa prawdy bez obwijania w bawelnę... Chcę zdrowej natury, a nie sztuki. Ot, na przykład, ta tutaj dziewczyna, to rozumiem...

KOTWICZ Pod tym względem gusta młodych ludzi zmieniają się... Zobaczymy, co pan powiesz o tym za miesiąc...

STRASZ Dlaczegoż za miesiąc?

KOTWICZ No, niby mniej więcej, gdy się porobi stosunki, gdy pan zżyjesz się z naszym towarzystwem i spotkasz w nim zdrowe natury.

STRASZ (*miętko*) Kiedy ja nie mam do tego najmniejszej ochoty.

KOTWICZ To prosty obowiązek, panie.

STRASZ (*skromnie*) Nie myślę się narzucać.

KOTWICZ Narzuca się ten, kto może mieć wątpliwość, jak będzie przyjętym... ale pan nie jesteś, jak sam powiedział, jakiś tam pierwszy lepszy.

STRASZ No, zdaje mi się... Taki majątek, jak moje Zagrajewice, piechotą nie chodzi.

KOTWICZ (*na stronie pociągając nosem*) Jak zaleciał parweniusz. (*głośno*) Więc idziesz pan z nami do Czarnoskały i kwita!... I tak, nie dziś, to jutro trzeba to zrobić, tego pan nie unikniesz... stanowisko pańskie to nakazuje.

STRASZ Hm... subiekcja... Przyznam się, że mi nie pilno... (*spoglądając po sobie*) Zresztą, czyż tak mogę?

KOTWICZ Nie masz pan się w co przebrać?

STRASZ Wziąłem tużurek na wszelki wypadek.

KOTWICZ Ano!

STRASZ Ale nie wiem, czy to uchodzi tak, z polowania... nie byłem z wizytą etykietalną.

KOTWICZ Złożysz ją pan później, nic nie szkodzi.

STRASZ Ha, kiedy nic nie szkodzi... to jazda!... (*na stronie*) Co tam!

KOTWICZ (*na stronie*) No, ja swoje już zrobiłem.

(*wchodzi z prawej strony Lechcińska, przywołuje gestem Kotwicza i zamieniwszy z nim kilka słów, wchodzi do domku*)

STRASZ (*po chwili na stronie*) Puszczam się na bystrą wodę! (*po chwili*) No i niechże mi kto powie, kiedy ja byłem na swoim miejscu... czy wtenczas, gdy jako gryzipiórek sądowy wieszaleń psy na arystokracji, czy dziś, gdy jestem tak słabym, że mnie te zaprosiny polechtały? Głupia natura ludzka, daję słowo: czuję formalnie jakiś nastrój uroczysty... (*po chwili*) Żeby się tylko nie pośliznąć na tych woskowanych posadzkach!... Ale prawda! To, za co by dependentowi pokazano drzwi, ujdzie dziedzicowi Zagrajewic... nie ma kłopotu!

SCENA VII

KOTWICZ, STRASZ, SZAMBELANIC, MAURYCY, WŁADYSŁAW, później DZIEN-DZIERZYŃSKI.

SZAMBELANIC Nie! Teraz jest niemożliwym polowanie w swoim własnym lesie, słowo uczciwości daję... komunizm jakiś, zuchwalstwo bez granic... Co to był za jeden?

WŁADYSŁAW (*śmiejąc się*) Pisarz wójta.

SZAMBELANIC (*oburzony*) Nie może być! No patrzcież, i taki fagas, panie, pozwolił sobie zająć stanowisko obok mnie, za pan brat!... Lis szedł prościusieńko na mnie, wtem jak go poczuł...

WŁADYSŁAW Za pozwoleniem, bo to jeszcze pytanie, kogo on poczuł... Może nie jego, tylko właśnie stryja.

SZAMBELANIC (*niecierpliwie*) Jakże chcesz... palił jakieś śmierdzące cygaro i nadto jeszcze przygwizdywał sobie, bo to jest!... Na stanowisku, gdy psy gonią, słyszeliście co podobnego?... Złości mnie porwały... wołam: - Cicho tam! — a ten zdejmuję czapkę i powiada: — Moje uszanowanie panu dobrodziejowi... Jeszcze mi się błazen kłania.

WŁADYSŁAW No, grzeczny, cóż stryj chce?

SZAMBELANIC Mój Władysławie, nie dowcipkuj kosztem zdrowego sensu, a przede wszystkim nie pozuj na demagoga, bo ja cię dobrze znam.

STRASZ (*poufale, stając przed Szambelanicem*) To pewno ten sam lis był, co wyszedł później na mnie... Nie wiedziałem nawet, że to lis, ale domyślałem się po ogonie.

SZAMBELANIC (*zdziwiony*) A!... (*na stronie*) A toż znowu kto?... (*głośno*) Z kimże mam szczęście?

KOTWICZ (*na stronie*) A to palnął! (*głośno*) Przedstawiam kuzynowi naszego nowego sąsiada... pan Strasz, dziedzic Zagrajewic z przyległościami.

SZAMBELANIC (*rozweselając się*) Aha! to pan jesteś...

KOTWICZ Pan szambelanic Czarnoskalski...

STRASZ (*podając rękę*) Bardzo mi przyjemnie.

SZAMBELANIC (*drwiąc, podając palce*) A, i mnie także!... Nie wiedziałem, że przybył w sąsiedztwo taki myśliwy... Więc jakże to było z tym lisem?

STRASZ Ano, ja stałem, a on przyszedł do mnie... ot, tak, blisko...

SZAMBELANIC I nie strzelił pan?

STRASZ Myślałem, że to był pies... chciałem nawet na niego zawołać, bo bardzo lubię psy, ale skorom się poruszył, zniknął mi, tylko zobaczyłem ogon ogromnie długi.

SZAMBELANIC (*z drwiącą powagą*) No, to oczywiście był lis.

WŁADYSŁAW (*do Maurycego*) Wiesz ty, że on paradny sobie.

SZAMBELANIC (*ogłędając Strasza*) Dubeltóweczka ładna bo ładna...

STRASZ Dałem za nią dwieście rubli... lepażówka.

SZAMBELANIC Widzę, widzę... caca... Z tym wszystkim, wielkiej szkody zwierzynie pan nią nie zrobi.

STRASZ Bo też mnie o to nie chodzi... (*poufale*) Za to na inną zwierzynę to ja jestem majster.

SZAMBELANIC Na przykład?

STRASZ Jaką pan szambelanic masz dziewczynę w tym tu domku, to dawno nie zdarzyło mi się spotkać.

SZAMBELANIC (*obrażony*) Cóż to za koncept?

MAURYCY Ojcze, mieliśmy jechać.

SZAMBELANIC (*wyniośle, z gestem*) Padam do nóg! (*na stronie*) Przyznam się, że trochę zanadto poufałości... (*idą w głąb*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*wchodząc z zającem przy torbie*) No gdzie? Dokąd?... Q u o u s q u e t a n d e m? Już odjeżdżacie? Jakże można, c o m m e n t p e u t — o n! Ja w najlepsze zaczynam, jestem w sztosie... patrzcie, q u e l zająć!

WŁADYSŁAW I po co to samemu dźwigać, zamiast oddać strzelcowi?

DZIEŃDZIERZYŃSKI S a v e z — v o u s q u o i, c' e s t b o n!... Kot moją własną ręką zabity? nie czuję ciężaru... Ja to noszę jak znak honorowy... (*spostrzegłszy Strasza, do Kotwicza*) Q u i e s — k i — e — s a c e m o n s i e u r?

KOTWICZ Strasz z Zagrajewic.

DZIEŃDZIERZYŃSKI A! sąsiad, sąsiad! (*idzie do Strasza podając mu obie ręce; nagle, wpatrując się weń, na stronie*) Jak on mi przypomina...

STRASZ Pan Dzieńdzierzyński?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Pan mnie znasz?

STRASZ Doskonale. Miałeś pan handel kolonialny na Miodowej ulicy.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*na stronie*) To ten sam... (*głośno*) Tak... z amatorstwa... bawiłem się... (*zaambarasowany*) P a r d o n... (*patrzy na zegarek*) już tak późno... (*na stronie*) Człowiek, któremu dałem w łapę kilka rubli za kopię wyroku... Jezus Maria! Oni tu chyba o tym nie wiedzą... (*głośno*) Panie szambelanie... m o n s i e u r c h a m b e l a n... ja jadę do was, bo tam jest moja Pola... Pojechała właśnie do szambelanówny.

SZAMBELANIC I owszem, bardzo nam będzie przyjemnie. (*do Kotwicza, który mu mówił do ucha*) Co? Zapraszać go? A dajcież mi pokój!... W imię Ojca i Syna!... Czy ja wiem, co za jeden?

WŁADYSŁAW (*do Dzieńdzierzyńskiego*) Oddajże papka tego zająca na wóz, bo krwawi... powala siedzenie w wolancie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t?... A t t e n d e z... mam tu papier od butersznitów... (*dobywa z torby i obwija zająca; odchodzą, Maurycy i Władysław kłaniają się z daleka Straszowi*)

SCENA VIII

KOTWICZ, STRASZ, potem ŁECHCIŃSKA.

STRASZ (*po chwili*) A my?

KOTWICZ Ano, i my jedziemy.

STRASZ Przyznam się, że mógł być ten pan szambelanic powiedzieć mi choć słówko.

KOTWICZ Ale panie, to jest człowiek, który niewolniczo trzyma się form... nie wypadało mu... skądże?... wszak to nie jest proszona zabawa... tylko po prostu pan, korzystając ze sposobności, robisz krok grzeczności sąsiedzkiej.

ŁECHCIŃSKA (*w progu, załamując ręce*) Odjeżdżają... Cóż teraz będzie?

STRASZ (*po chwili*) Nie jadę.

KOTWICZ Ale panie, dlaczego?

STRASZ Stanowczo powiadam: nie jadę, i skończony interes.

KOTWICZ (*na gest Lechcińskiej, która zaraz znika*) No to przynajmniej przetrąćmy co, jest tu śniadanie.

STRASZ Gdzie?

KOTWICZ U leśniczego.

STRASZ (*żywo*) A ta dziewczyna jest tam?

KOTWICZ (*podobnie*) Jest! Jest!

STRASZ No widzisz pan, jak mi kto robi rozumną propozycję, to zupełnie co innego. (*ścisnąc mu rękę*) Zgadzam się.

KOTWICZ Więc służę. (*prowadząc go, na stronę*) Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle... Referendarzowa da sobie z nim radę. (*wchodzą do domku*)

Z a s ł o n a s p a d a

AKT DRUGI

Salonik — umeblowanie gustowne, ale zszarżane; troje drzwi: jedno w głębi, dwoje po bokach; z prawej okno, po tejże stronie zwierciadło stojące; z lewej kanapa, fotele i stół, na którym pisma, parę książek, album z fotografiami itp.

SCENA I

POLA, SŁUŻĄCY wchodzi głównymi drzwiami, potem GABRIELA.

POLA (*z której Służący zdejmuje okrycie*) Więc starsza pani słaba?

SŁUŻĄCY Tak... po swojemu.

POLA Jak to po swojemu?

SŁUŻĄCY Niby... jak zawsze, na głowę... (*na stronie*) Więcej ambarasu, jak co warto.

POLA Panna Gabriela jest przy matce?

SŁUŻĄCY A jakże.

POLA Zaczekam tu... (*Służący wychodzi z okryciem. Pola zdejmuje kapelusz, przygląda włosy przed zwierciadłem, potem, przeszedłszy się parę razy w milczeniu, zbliża się do stołu i przegląda pisma; po chwili, biorąc album z fotografiami*) A!... Nie ma świadków... mogę sobie pozwolić. (*znalazłszy fotografię wpatruje się w nią*) Mój drogi!... Gdybyś ty wiedział... gdybyś mógł tymi martwymi oczyma zajrzeć w głąb mojej duszy... (*po chwili*) Jak on tu jest doskonale trafiony... (*wysuwając kartę*) Gdybym tak sobie przywłaszczyła... dobra sposobność... ale brak mi odwagi... Ach! Na samo przypuszczenie, że mógłby kto spostrzec... (*oglądając się machinalnie, spostrzega Gabrielę*)

GABRIELA (*wchodząc z lewej strony*) Usłyszałam turkot, byłam pewną, że to panowie z polowania, tymczasem przez okno spostrzegłam powóz z Zabrodzia... Miła dla mnie niespodzianka... Jak się masz? (*całują się*)

POLA (*zakłopotana albumem, którego nie wypuszcza z rąk*) Podobno mama słaba.

GABRIELA Trochę migreny, ale już przeszło... teraz usnęła... Ucieszy się bardzo, gdy cię zobaczy, tak dawno już nie byłaś u nas.

POLA (*jak wyżej*) Podobną wymówkę mogłabym i ja tobie zrobić... (*na stronie*) To się zła-pałam... Gdybym mogła wsunąć na powrót... (*udaje, że przegląda album*)

GABRIELA Cóżes ty się tak zagłębiła w tym albumie? Nie ma tam nic ciekawego, same wy-bierki przeznaczone na plądrowanie.

POLA (*szybko chowa fotografię do kieszonki, na stronie*) Stało się! (*głośno, przewracając karty albumu na chybił trafił, zmięszana*) Tak sobie przeglądam... ale istotnie, ile tu brakuje! Pełno pustych miejsc... (*na stronie*) E, przecież nikomu nie przyjdzie na myśl... (*głośno*) Kto jest ten młody mężczyzna?

GABRIELA Młody mężczyzna? Ten?... Cha! cha!... czy ci się podobał?

POLA Ma wyraz twarzy uderzający... (*na stronie*) Nie wiem sama, co mówię.

GABRIELA To nasz daleki kuzyn... oryginał sławnie brzydki, ale kolosalnie bogaty... Powiedz sama, czy nie ma on wypisanego na czole: materiał na męża!

POLA Dlaczego?

GABRIELA Dla tych właśnie przymiotów. Wyobraź sobie, dostał kobietę wykształconą i prześliczną, która jest z nim najszczęśliwszą.

POLA Mógł się przecie podobać.

GABRIELA Jako partia — bez wątpienia... Kochała się szalenie w innym i kocha go podobno jeszcze... ale pokazała się kobietą dziwnego hartu.

POLA Inaczej bym to nazwała.

GABRIELA Wyratowała z nędzy matkę.

POLA A! Więc po prostu spełniła ofiarę.

GABRIELA Na której przede wszystkim sama zyskała grubo, dostawszy męża zgadującego jej myśli i dogadzającego najkapryśniejszym zachceniom... To nic więcej, tylko dowód praktyczności, której mogłybyśmy jej wszystkie pozazdrościć.

POLA Dziękuję za to.

GABRIELA Ale bo my popełniamy zwykle ten błąd, że nadto dajemy się powodować czułościowości... Po romansowych głowach snują się obrazy sielankowego szczęścia, które jako marzenia chorobliwe narażają nas tylko na spadanie z obłoków.

POLA Nawet choćby się urzeczywistniły?

GABRIELA Alboż to się trafia?

POLA A małżeństwo z miłości?

GABRIELA Raz na tysiąc razy, moja droga, wielki los na loterii; jakiegoż to trzeba zbiegu okoliczności, żeby zadowolnić zarazem i pragnienie serca, i wymagania rozumu.

POLA Gdy chodzi o szczęście całego życia, zdaje mi się, że powinnyśmy się radzić tylko serca. Ja przynajmniej nigdy bym nie potrafiła iść za mąż bez przywiązania.

GABRIELA Potrafiłabyś, gdybyś musiała... A zresztą wszystkie te rojenia o szczęściu o tyle są coś warte, o ile przedstawiają jakąś rękojmię trwałości.

POLA To już od nas samych zależy.

GABRIELA Niekoniecznie... Czy wiesz, jak ja sobie wyobrażam szczęście? (*obejmując Polę i patrząc jej w oczy*) Oko utopione w oku, w którego głębiach obietnice rajów, dłoń w dłoni, której dotknięcie wzbudza bicie mojego serca...

POLA (*śmiejąc się*) Pokazuje się, że mamy jednakowy gust... ja nie inaczej myślę. Ale tym sposobem jesteś w sprzeczności sama z sobą.

GABRIELA (*jak wyżej*) Za pozwoleniem, nie dokończyłam... Ale to wszystko pod warunkiem, żeby się odbywało na lśniącej parkietce, wśród ścian zwierciadlanych odbijających bez wykrzywienia oblicza dwojga ludzi szczęśliwych, w atmosferze przesiąkniętej wonią wyszukanych pachnidła... bo wierzę mi, choćbym usychała z miłości, nie odważyłabym się na życie z człowiekiem ukochanym wśród trosk... Przykucie go do siebie w tych warunkach uważałabym za szczyt nierozsądku... Zdaje mi się, że zniechęciłabym go, gdyby mi przyszło wystawiać uczucie na walkę z losem!... (*spokojnie*) Rozumiesz mnie teraz?

POLA Jeżeli mówisz prawdę, to żałuję cię. Ja podzieliłabym chętnie najsmutniejszą dół z tym, którego bym wybrała.

GABRIELA Tak ci się zdaje, bo nie jesteś w tym położeniu.

SCENA II

GABRIELA, POLA, DZIĘNDZIERZYŃSKI, SŁUŻĄCY.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*we drzwiach w głębi, spostrzegłszy Polę z Gabrielą, uszczęśliwiony, odsuwając Służącego, który chce mu odebrać torbę z zającem*) Co za widok! Q u e l j o l i p a y s a g e... Serce mi rośnie, gdy patrzę na tę ich przyjaźń.

GABRIELA A, pan Dzieńdzierzyński...

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*przybiegając*) Padam do nóżek, moje uszanowanie... całuję rączki panny szambelanówniej. (*całuje ją w rękę; do Poli całując ją w głowę*) Jak się masz?

GABRIELA (*spostregłszy zająca*) Cóż za trofeum przy torbie!

DZIĘNDZIERZYŃSKI Ach, p a r d o n, (*cofając się*) jakież ja jestem roztargniony... wchodzić tak do salonu pomiędzy damy... Tęgi zając, n'e s t c e p a s? (*idąc do drzwi*) w tej chwili służę. (*zatrzymując się, do Poli*) Pani szambelanowej nie ma?

POLA Słaba na migrenę...

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*ze współczuciem*) Ach, co za szkoda!... Byłaby go zobaczyła.

POLA Czy papka sam to zabił?

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t? (*powtarzając po niej*) „Czy papka sam to zabił?”... Miałem przy sobie sól w papierku i posypałem na ogonek... Oj, ty, ty... córka myśliwego i robić tak naiwne pytanie... Zabiłem, i to strzeliwszy spod pachy... (*do Służącego*) No, weźże tego zająca i zanieś do kuchni, ale powiedz tam, że to ja moją własną ręką zabiłem... pamiętaj!... Pan z Zabrodzia swoją własną ręką... Powiesz?

SŁUŻĄCY Powiem... co mi to szkodzi?... I tak nie uwierzą... (*odchodzi z torbą i zającem*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI Co?

GABRIELA Pan sam tylko przybyłeś?... Gdzież reszta towarzystwa?...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Przyjechaliśmy wszyscy, ale szambelan i obadwa młodzi poszli do siebie. (*na stronie*) Głupiec!

GABRIELA (*siadając na kanapie*) A z obcych jest kto? (*robiąc mu miejsce koło siebie*) Siadaj pan.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Dziękuję uprzejmie. (*siadając*) Nie ma, broń Boże... jesteśmy w swoim kółku.

GABRIELA Czyż nie było nikogo więcej na polowaniu?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale i owszem! Nie brakowało nieproszonych gości... Spotykaliśmy pełno jakiejś hołoty, figur zakazanych...

GABRIELA Ale z sąsiadów był kto?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Nikt prócz Strasza z Zagrajewic.

GABRIELA A! Pan Strasz... Czemużeście go panowie z sobą nie przywieźli?

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*niechętnie*) Do czegoż by to było podobne?

GABRIELA Wiadomo, że pan jesteś zwolennikiem form, ale cóż by to szkodziło!... Powiedź mi pan co o nim... Cóż to za osobistość?

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*jak wyżej, wstając*) Ale proszę pani, czy ja go znam? Nie wiem, co za jeden.

GABRIELA Jakżeż go pan z góry traktujesz!... Mówmy tak otwarcie: czy to grzecznie, żeście odjechali zostawiając tego pana?... Może go nawet nikt nie prosił.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Nie wiem.

GABRIELA Jego rzeczą było przyjąć zaproszenie albo wymówić się, ale od panów należał się ten krok uprzejmości.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale kiedy to jest człowiek nie z naszej sfery, j e v o u s a s s u r e.

GABRIELA (*śmiejąc się*) Już takiego ultraarystokraty, jak pan jesteś, to nie znam.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*zadowolony*) C o m m e n t? Pani uważasz, że ja jestem arystokratą?

GABRIELA (*wstając*) Ale jakim!

POLA (*która przeglądała pisma, a potem przechadzała się, zniecierpliwiona tokiem rozmowy*) Papka bo gotów jest bronić nawet tego, w co nie wierzy, i na odwrót... wbrew własnemu przekonaniu, byle tylko mieć materię do sprzeczenia się z tobą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*protestując*) Ale za pozwoleniem...

POLA Szczególne ma w tym upodobanie.

GABRIELA O, ja wiem, że pan jesteś duchem sprzeciwienia... (*na stronie*) Muszę się dowiedzieć, co się dzieje z Łechcińską... (*głośno*) Moja Polu, przepraszam cię, że odejdę na chwilę, ale muszę zobaczyć, czy mama się nie obudziła... Natychmiast wrócę.

POLA O proszę cię... nie rób z nami żadnej ceremonii.

GABRIELA (*na odejściu, do Dzieńdzierzyńskiego*) Gniewam się na pana. (*odchodzi na lewo*)

SCENA III

DZIEŃDZIERZYŃSKI, POLA.

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t? S u r m o i? S a v e z v o u s q u o i, c' e s t b o n!

POLA (*po chwili*) Cóż papka ma znowu przeciwko temu Straszowi?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale cicho! Bo nic nie wiesz!... (*tajemniczo*) Był dependentem przy adwokacie... Wystaw sobie, ja sam, moją własną ręką dałem mu kiedyś pięć rubli za kopię wyroku w jednej sprawie... no!

POLA Więc cóż?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Nic... Wziął i schował do kieszeni.

POLA Ale należało mu się czy nie?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Wprawdzie to było ekstra zwykłych kosztów, ale że chodziło mi o pośpiech, więc sam mu obiecałem... Pisał przez całą noc.

POLA Więc cóż papka chce od niego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI No, pozwolisz, że to jest ambarasujące położenie, gdy naraz taki jegomość zjawia się jako sąsiad, dziedzic dóbr i drze się do poufałości...

POLA I to papka może mówić?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Nie przez arystokrację, jak cię kocham, chociaż mnie o to posądzają twoja przyjaciółka... tylko chcę powiedzieć, że taki człowiek nie miał gdzie nabrać tego poloru... *c e t t e p o l i t u r e*... której się wymaga w towarzystwie *c o m m e i l f a u t*. Na przykład na polowaniu, gdy mi go zaprezentowano, powiada: — A, pan miałeś handel na Miodowej ulicy... — No proszę cię!

POLA Niechże się papka tego nie wypiera, tyle razy już prosiłam... ja się tak boję złośliwych języków.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Bardzo dobrze, ale to mnie tylko wolno o tym pamiętać, a nie komuś tam... Tak nakazuje poczucie delikatności... Stawiam ci dowód: wszakże szlachcic na wsi handluje wszystkim, co wyprodukuje, tak czy nie? A niechżeby komu przyszło do głowy nazwać go handlarzem... dajmy na to, nierogaczyny... *c e s e r a i t b o n!*... Dlaczegoż ten sam Strasz nie zaprezentował się jako były dependent, tylko jako dziedzic Zagrajewic...

POLA Ale papeczko, to są słabostki ludzkie, na które trzeba być wyrozumiałym.

DZIEŃDZIERZYŃSKI To swoją drogą, ale trzeba także szanować siebie... i dlatego dziwi mnie zapytanie szambelanównej... Bo że on się chce tu wkręcić, to rzecz prosta, ale ona... chociaż to twoja przyjaciółka, niech mi daruje... Jakby już brakowało w sąsiedztwie ludzi przyzwoitych... I do mnie pretensja, że go nie przywiózł... Skąd? Co?... *(po chwili)* Chociaż wiesz ty, że to było powiedziane mądrze, w tym była myśl... niby uważają nas za swoich, traktują jakby już należących do rodziny.

POLA *(która odeszła do okna)* Z jakiegoż to tytułu?

DZIEŃDZIERZYŃSKI *(żartując)* *J e n e s a i s p a s... c o m m e c e l a!*

POLA Jak papkę kocham, nie rozumiem... Może papa sobie z troskliwości o mnie snuć jakieś projekta, ale... to jeszcze coś tak dalekiego... niepewnego...

DZIEŃDZIERZYŃSKI *(pieszczotliwie)* Ale nie bój się, nie bój... nic pewniejszego... trzeba znać ludzi; gdybyś nie była jedyną dziedziczką Zabrodzia, nie mówię... *(ciszej)* ale oni są po szyję w interesach... taka partia jak ty to dla nich wielki los.

POLA Na Boga! Czyż papka nie czuje, jak ubliża i sobie, i mnie takim odezwaniem się?

DZIEŃDZIERZYŃSKI *(nieśmiało)* *C o m m e n t?* *(po chwili)* No cóż... przecie mówimy między sobą... w cztery oczy.

POLA Wszystko jedno. Poczucie własnej godności nie pozwoliłoby mi oddać ręki człowiekowi, którego bym podejrzewała, że starając się o mnie ma na względzie nie moją osobę, lecz majątek.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Ale Polu, pozwól no...

POLA Powiadam papie, że odmówiłabym... chociażbym nawet szalała za nim.

DZIĘNDZIERZYŃSKI A Jezus Maria! Kiedy unosisz się bez najmniejszego powodu... Któż tu o tym mówi?...

POLA Papka sam nasuwa mi wątpliwość.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Ja?... W imię Ojca i Syna... przekręcasz moje słowa... powiedziałem tylko tak w ogóle... e n g é n é r a l... *(po chwili, z wymówką)* Jesteś tak drażliwa, że sam nie wiem, jak z tobą mówić.

POLA Mam powody.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Jakie?... *(po chwili)* Słuchaj no, czy ja chcę twojego szczęścia, czy nie? Jak ci się też zdaje?

POLA *(całując go w rękę)* Ale nie mam pod tym względem wątpliwości... tylko...

DZIĘNDZIERZYŃSKI Tylko co? *(po chwili)* Że pragnę tego związku, to swoją drogą. Wbiłem sobie w głowę, że musisz być Czarnoskalską, i tego ćwieka mi nie wyciągniesz, ale chociażby mi to było najobojętniejszą rzeczą, nie widzę żadnej racji drożenia się i wyszukiwania trudności, skoro Maurycy się o ciebie stara.

POLA Nic o tym dotychczas nie wiem.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Nie wiesz? A bójże się Boga... toć o tym już wróble na dachach śpiewają... Wszyscy wiedzą!

POLA Ludziom mogą wystarczyć pozory, ale nie mnie.

DZIĘNDZIERZYŃSKI A to już nic nie rozumiem... Czegoż ty chcesz od niego? Powiedz mi wyraźnie.

POLA *(po chwili, cichym głosem)* Żeby nie zadawał sobie gwałtu, jeżeli narzucona rola za- nadto mu jest przykrą.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Narzucona rola? Cóż to, on komediant, czy co?... *(po chwili)* Moja Polu, zastanów się; to z twojej strony tylko kaprys, romanse, nic więcej... *(niecierpliwiąc się)* Nie pojmuję, w kogo się wdałaś, bo ani we mnie, ani w nieboszczkę matkę... nie masz grosz praktyczności. *(Pola ociera łzy)* Co to, płaczesz? Dajżeż pokój, tego tylko brakuje! Jeszcze ja przy tobie się rozbeczę, i będzie!... Czy cię tyranizuję, czy zmuszam gwałtem?... Powiedz, co chcesz, wszystko zrobię.

POLA Ja tylko proszę, błagam, niech papka nie nagli i zostawi to czasowi... Skoro się przekonam...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale ba, czasowi, czasowi... Takie rzeczy się nie odwołczą... Jak zaczniesz grymasić, to ich może urazić, zniechęcić... (*ciszej*) A nużby uderzyli gdzie indziej... będzie żal...

POLA Jeżeli pana Maurycego nic by nie kosztowało zwrócić w inną stronę swoje zapły...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale moja droga... cóż chcesz?... z samej desperacji, p a r d é s p é r a t i o n, gdy mu będziesz fochy stroić... Cóż on zrobi, jak go rodzice zmuszą? (*na stronie, zdesperowany*) Poplątałem się... (*po chwili, błagalnie*) Polu!

POLA Ale cóż papka żąda ode mnie?

DZIEŃDZIERZYŃSKI N e f a i s p a s d e s g r i m a s, miej wzgląd na mnie, zrób też coś dla papki.

POLA Powinniśmy się strzec cienia pozoru, że się narzucamy... przeceniając zaszczyt należania do towarzystwa osób, które właśnie z tego tytułu... mogłyby nas traktować... lekko...

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*niespokojny*) Nas traktować lekko? Nic podobnego nie zauważyłem... skądże ci to w głowie?

POLA Mówię tylko... że nie powinniśmy się na to narażać.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*chodzi, po chwili*) To prosta rzecz, ale tu nie ma tego rodzaju obawy... Sami ujmują nas na każdym kroku, a jeżeli jesteśmy już jak domowi, to wszystkie awanse były z ich strony.

POLA Papka może się ludzić.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale broń Boże! Chybaby tak zręcznie udawali. Są ze mną tak poufale... nazywają papką.

POLA Ojciec jest w tym wieku, że zbyt duża poufałość może być dla niego ubliżeniem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Przesadzasz, Polu, jak cię kocham, przesadzasz... (*uprzedzając odezwanie się Poli*) Tylko daj no się przekonać: ty mnie tak nazywasz, a że ciebie uważają już za swoją... więc... tak sobie, p o u r p l a i s i r... w dobrej komitywie... Ale à p r o p o s papki... Proszę cię, bo ty znasz lepiej język francuski... co za przysłowie może być na „papka”?

POLA Dlaczego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Bo Władysław powiedział mi coś, czego nie zrozumiałem, a nie wypadło mi się zapytać...

POLA (*żywo*) Pan Władysław?... I cóż to było?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Kiedy zapomniałem... czekaj no... *q u i e s t p a p k a , p l u s p a p k a* (sposzregając Gabrielę) Cicho! Później ci powiem.

SCENA IV

POPZEDZAJĄCY, GABRIELA, po chwili SZAMBELANIC, później MAURYCY.

GABRIELA (wchodząc z lewej strony) Polu, może byś się teraz pofatygowała do mamy.

POLA Już można?

GABRIELA Obudziła się i prosi cię. (bierze Polę pod rękę)

SZAMBELANIC (wchodzi z prawej strony) Jest tu sąsiad? (sposzrega Polę) A, witam pannę Paulinę! (ściska jej rękę, ona mu oddaje niski dyg) Powiem państwu pocieszoną nowinę: zgadnijcie też, kogo będziemy mieli dziś na obiedzie... Aniby wam przez myśl przeszło.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (zainteresowany) No no no?

SZAMBELANIC Głupstwo, ale mnie irytuje... Co to jednak znaczy forma w życiu towarzyskim... Są tacy, co się z tego śmieją, tymczasem ja powiadam, że gdybyśmy odrzucili formy, obcowanie z ludźmi stałoby się istną torturą.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (spoglądając na Polę) To, co ja zawsze powiadam.

SZAMBELANIC Bo o cóż nam chodzi?... O to, żeby człowiek, z którym okoliczności każą nam żyć był gładkim i nie raził nas obejściem nieprzyzwoitym.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (do Poli) *V o y e z — v o u s!*

SZAMBELANIC Gdy tego nie znajduję, no, to padam do nóg.

GABRIELA Do kogoż ojciec to stosuje?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale! Więc któż to się zaprosił na obiad?

SZAMBELANIC Nasz nowy sąsiad, pan... pan... jakże mu tam... z Zagrajewic...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Strasz! (do siebie) Powiedziałem, że się tu wsrubuje.

GABRIELA Aha! (do Poli) Chodźmy.

POLA (żartobliwym tonem) Widzisz, więc będziesz go miała.
(wychodzą na lewo)

SZAMBELANIC Bo to niby mała rzecz... sąsiad... znalazł się na polowaniu... no, i przyjeżdża... ale jak to charakteryzuje człowieka!... Nie zarekomendowawszy się złożeniem wizyty, nie dawszy się poznać, bo istotnie nie wiemy, co za jeden... i tak sobie bez ceremonii.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Jak do oberży!... Ale skądże szambelan wie?... Czy już jest? (*idzie do okna*)

SZAMBELANIC Podobno jedzie, dowiedziałem się przypadkiem od służby! Pytam się, gdzie jest pan Kotwicz... hrabia... czy już wrócił z lasu... Powiadają mi, że został na śniadaniu na leśniczówce wraz z panem Straszem i że obaj mają przyjechać. Hrabiątko głupieje na starość, słowo uczciwości. (*rzuca się na kanapę*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI A niech mi daruje... Bo, proszę szambelana, nie chodzi o tę łyżkę rosółu... (*patrzy przez okno*) O! już przyjechali!... Ale nie... to chyba ktoś inny... jakaś bryczka... ale wygląda na najętą furmankę... stoi przed oficyną... wyjmują z niej jakieś zawiniątko czy papiery...

SZAMBELANIC (*na stronie*) Sekwestrator albo woźny... (*głośno*) Bodaj to w mieście... tam jestem przynajmniej panem swojej woli... nic mnie nie obowiązuje do przedstawiania z kimś dlatego, że sąsiaduje ze mną przez ścianę, a tu!... Lada jakiś tam obieżyświat pod pozorem sąsiedztwa chce być ze mną w zażyłości... i to trzeba przyjmować grzecznie, całować się z tym z dubeltówki i jeszcze być wdzięcznym za zaszczyt, bo to jest...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale po cóż znowu robić sobie subiekcję?

SZAMBELANIC Jeżeli ktoś jest nieprzyzwoitym, to mnie nie upoważnia do naśladowania go... Od tego właśnie są formy.

DZIEŃDZIERZYŃSKI O u i, c' e s t v r a i b o n t o n.

SZAMBELANIC (*do Maurycego, który wchodzi z papierami*) Cóż to tam nowego? (*biorąc*) Już jak zobaczę papier ze stemplem, to mnie dreszcze biorą... (*czyta; marszcząc brwi*) Nakaz komornika?

MAURYCY Tak, niestety.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*przechadzając się, na stronie*) Ten człowiek będzie mi psuł krew... przewiduję to.

SZAMBELANIC (*przejrzawszy*) Więc cóż? Niech zostawi i jedzie sobie z Panem Bogiem.

MAURYCY Ojciec chyba nie przeczytał uważnie.

SZAMBELANIC Dajże mi pokój... możesz mnie sam objaśnić... jeżeli wiesz.

MAURYCY Chce zaraz robić zajęcie.

SZAMBELANIC (*oburzony*) Serio?

MAURYCY Utrzymuje, że wyrok stał się prawomocnym... wszystkie terminy już upłynęły.

SZAMBELANIC *(po chwili)* Nie dopilnowało się... diabli nadali... można było odwłóczyć Bóg wie jak długo... *(po chwili)* Ano, wiesz ty, nie ma innej rady, tylko powiedzieć otwarcie Dzieńdzierzynskiemu, on da na to.

MAURYCY Za nic w świecie!

SZAMBELANIC O, tylko nie dziwacz z tymi skrupułami... jak gdyby ludzie nie pożyczali!... Od czegoż kredyt?

MAURYCY Gdzież fundusz na oddanie, jeżeli się od niego weźmie?

SZAMBELANIC Alboż nie mam Czarnoskały?... *(z uśmiechem, znacząco)* Zresztą... to już ty znajdziesz...

MAURYCY Ojczy!

SZAMBELANIC *(zniecierpliwiony)* Więc cóż zrobić? Zabawny jesteś... Dopuszczać do zajęcia... kompromitować się publicznie!

MAURYCY Czyż lepiej nadużyć zaufania?

SZAMBELANIC *(surowo)* Maurycy, zapominasz się.

MAURYCY *(całując go w rękę)* Niech ojciec tego zaniecha.

SZAMBELANIC *(wstając)* No to znajdźcie inne lekarstwo... Gdzie Władysław? Idźcie oba i traktujcie z tym jegomością... może zyskacie zwłokę... Jedyne sposob: wsadzić mu co w łapę... *(po chwili)* No idź, idź... nie ma co! *(Maurycy po chwili wahania się wychodzi)* Szarańcza, słowo uczciwości! *(chodzi)*

DZIĘDZIERZYŃSKI *(na stronie, chodząc)* Że też to nikt się nie pyta, do czego go Pan Bóg stworzył, tylko byle się piąć!... Głupota ludzka!

SZAMBELANIC *(na stronie)* Ale co to na nich rachować... wiem, że nic nie zrobią... Nie ma innego środka, tylko do tego się udać. *(po chwili, głośno)* Głupie czasy, mój sąsiedzie.

DZIĘDZIERZYŃSKI No?

SZAMBELANIC A z tymi interesami. Dawniej między nami była jakaś solidarność, o kredyt nikt się nie kłopotał; dziś w nagłym razie trzeba się udawać do Żydów... dlatego to stare rody upadają.

DZIĘDZIERZYŃSKI Istotnie, że teraz nie ma już tego zaufania.

SZAMBELANIC Właśnie... ale dlaczego?

DZIĘDZIERZYŃSKI Widać dlatego, że dawniej oddawano... *e t à p r é s e n t o n n e v e u t p a s.*

SZAMBELANIC Mówię o tych, co oddają, a przynajmniej chcą oddać, a że nie mogą... no, to inna kwestia... to bywa chwilowo. W każdym razie gdzieś lepsza pewność jak na wielkich majątkach, chociażby nawet obdłużonych... zawsze tam miejsca jeszcze wystarczy... Tymczasem prędzej znajdzie kredyt jakiś tam dorobkowiec na lichej wioszczyźnie niż pan milionowych dóbr... I jakże tu egzystować?

DZIEŃDZIERZYŃSKI To ja powiem szambelanowi przyczynę. Jak z dwóch rybek jedną wpuścić do małej sadzaweczki, a drugą do wielkiego jeziora, to tę pierwszą zawsze łatwo dostać, ale drugą... niekoniecznie... choć ona tam pewna, najpewniejsza... Chybaby spuścić jezioro, a to grubo kosztuje. Nieprawdaż?

SZAMBELANIC No, to tylko sobie bajeczka (*na stronie*) Dowcipniś!

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*po chwili wahania się*) Czy szambelan... masz jakie kłopoty?

SZAMBELANIC (*żywo*) Mój sąsiedzie, któż jest bez nich?... Czarnoskała to jest majątek od lat kilkuset pozostający w naszym rodzie... (*do Łechcińskiej, która wchodzi głębia*) Czego mi się tu kręcić?

ŁECHCIŃSKA Myślałam, że tu jest panna Gabriela.

SZAMBELANIC (*półgłosem*) Podsluchiwać... ploteczki znosić...

ŁECHCIŃSKA (*z niewinną miną*) Ja? (*do siebie, idąc ku drzwiom z lewej strony*) Musi być coś, kiedy się boi podsluchania.

SZAMBELANIC (*do Dzieńdzierzyńskiego*) Może sąsiad pozwolisz do mnie na cygarko... (*bierze go pod rękę*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI B o n! (*wychodzą na prawo*)

SCENA V

GABRIELA, ŁECHCIŃSKA.

ŁECHCIŃSKA (*tryumfująco do Gabrieli, która wchodzi z lewej strony*) Jedzie!

GABRIELA Wielka nowina! Czy to miały znaczyć owe znaki telegraficzne przez okno? Dowiedziałam się już przedtem... ale nie jestem kontenta, tak się jakoś zrobiło nie wiedzieć po jakimu.

ŁECHCIŃSKA Co znowu! Wszystko poszło jak po maśle.

GABRIELA Ale gdzie tam! I ojcu tak się to nie podobało.

ŁECHCIŃSKA O! Starszy pan...

GABRIELA Gdyby był przynajmniej przyjechał razem ze wszystkimi, a nie tak sam, z polowania prosto na obiad.

ŁECHCIŃSKA Jak to sam? A hrabiego to się już nie rachuje?

GABRIELA Zawsze to jakoś śmiesznie.

ŁECHCIŃSKA Moja pannuńciu, to już tak jest, że starający się nie uważają na formuły... Nieraz jeszcze większe głupstwa robią z miłości, a to uchodzi.

GABRIELA (*wzruszając ramionami*) Z miłości! Toteż tym da się wytłumaczyć; ale tu pan starający się, jak go Łechciński podobało się nazwać, nie widział mnie w swoim życiu.

ŁECHCIŃSKA Otóż właśnie pokazuje się, że widział.

GABRIELA A to gdzie?

ŁECHCIŃSKA W kościele podobno... (*na stronie*) Co mi to szkodzi powiedzieć?... (*głośno*) Nie dla czego innego tak pilno się o pannuńcię wypytywał.

GABRIELA (*ironicznie*) Jak wyglądam?

ŁECHCIŃSKA O, o... pannuńcia chce mnie łąpać za słówka, jak matkę kocham.

GABRIELA Więc o cóż się pytał?

ŁECHCIŃSKA O wszystko, jak to kiedy kto sobie czym głowę nabije... jakie pannuńcia ma gusta, jakich mężczyzn woli, brzońców czy blondynów... a taki był zatopiony w myślach...

GABRIELA (*śmiejąc się*) Łechcińska się uwzięła, żeby mi go ośmieszyć, a to jedno mogłoby mnie zrazić... Po co tu wysilać imaginację?

ŁECHCIŃSKA Ale bo...

GABRIELA Czyż to wszystko potrzebne?... To, co wiadomo o tym panu, wystarcza, abym go dobrze przyjęła, jeżeli rzeczywiście przedstawi się jako starający... Niestety, nie mam w czym przebierać.

ŁECHCIŃSKA E, to o pannuńcię nie ma, widzę, kłopotu!... A starsza pani tak się martwiła... Jak matkę kocham, tak mi się już jej żal zrobiło, że byłam gotową zryzykować się na intrygę — chociaż się tym brzydzę — byle pannuńcię namówić... (*poufnie*) Starsza pani turbowała się szczególnie o to, czy pannuńcia z kim w romansie nie stoi.

GABRIELA A toż co znowu!

ŁECHCIŃSKA No niby, czy się pannuńcia w kim skrycie nie kocha.

GABRIELA Choćby tak było, mama wie, że moje położenie nie pozwala na ten zbytek, abym mogła iść za mąż z miłości... *(po chwili)* Gdyby, gdyby!...

ŁECHCIŃSKA *(z współczuciem)* Mój Boże, to tak jest... chciałoby się duszy do raj, a tu... Jakie my, kobiety, nieszczęśliwe! *(po chwili)* Pan Maurycy tak marudzi z tą swoją panną Pauliną, że Bóg wie, kiedy to będzie... A chociażby, to cóż z tego? Obejmie Czarnoskałę, a z pannunią co się stanie?... Czyje dzieci piastować, bo... Ale! *(ciszej)* Znowu komornik przyjechał.

GABRIELA Nie może być!

ŁECHCIŃSKA Jak matkę kocham! Podśluchałam niechcący, przechodząc koło kancelarii... Chce spisywać wszystko w pokojach, licytować... Awantury!... Pan Maurycy i pan Władysław sekują się tam z nim, szczególnie pan Władysław... słyszałam... słyszałam... Ale co oni poradzą, kiedy nie ma tego... *(pokazuje liczenie pieniędzy)*

GABRIELA *(chodząc i łamiąc ręce)* Moja Łechcińsiu!

ŁECHCIŃSKA Pannuniu złota, nie ma co medytować, tylko Pana Boga wezwać w pomoc i... próba f r e i... może Bóg da... *(poufnie)* Mnie się zdaje, że on ma żyłkę do kobiet, a takiemu niewiele trzeba, żaby się zapalił... Już kiedy on do mnie się wdzieczył, a nawet Zuzi nie przepuścił, to dosyć... a gdzież tu porównanie!... *(wskazuje na zwierciadło, przed którym właśnie stoją)*

GABRIELA Ale cóż Łechcińsia wygaduje!

ŁECHCIŃSKA *(spojrzawszy w okno)* A Jezus! Jada... Biegnę do starszej pani... *(idzie na lewo; wracając się)* A niech się pannunią przeżegna. *(wychodzi na lewo)*

SCENA VI

GABRIELA, *po chwili* MAURYCY.

GABRIELA *(sama)* Po co ona mi to powiedziała? Czułam rumieniec na twarzy.

MAURYCY *(wchodzi głębią, nie widząc Gabrieli, wzburzony)* Nie! Prowadzenie rozmowy w tym tonie jest dla mnie niepodobieństwem... Słuchać zarzutów, z których każdy wypadałoby odbić policzkiem, być zmuszonym zniżać się do próśb, wykrętów... A! Życ raczej suchym chlebem, byle uniknąć takiego położenia!

GABRIELA Gdyby się to dało wykonać tak łatwo, jak szumnie brzmi w frazesie.

MAURYCY A! Byłaś tu?

GABRIELA Cóż cię tak wzburzyło?

MAURYCY Nie... tak... złożyły się rozmaite okoliczności.

GABRIELA Nie potrzebujesz robić przede mną tajemnicy... wiem, jaki znowu macie kłopot.

MAURYCY Wiesz i pytasz się, co mnie wzburzyło?... Powiedz mi, po co to odgradzać się od ludzi chińskim murem pretensji kastowych, kiedy sami go przekraczamy i grzęźniem w błocie dając broń przeciwko sobie tym, którymi skądinąd każdy z nas pogardza? Jakież piekielny urok ma ten pieniądz, że dla niego...

GABRIELA (*z uśmiechem*) Bo jest najlepszym stróżem honoru i tarczą przeciwko wszelkim pociskom...

MAURYCY Winszuję ci, że możesz w tej chwili dowcipkować.

GABRIELA To tylko dowodzi, że widzę jasno sytuację, nie tak jak mój braciszek, który uwziął się od niejakiego czasu rozpływać w sentymentalizmie i zamiast działać energicznie, bajronizuje... Ja bo widząc, co się dzieje, postanowiłam sobie choćby kosztem największych ofiar dźwignąć się i stanąć silną przeciwko wszystkiemu, co mi los może zgotować.

MAURYCY Tylko że tych ofiar nie bardzo potrzebujesz, a jeżeli będą jakie, to lżej wam przyjdzie znieść je we dwoje. Szczęśliwa jesteś, zazdroścę ci, nikt wam obojgu nie będzie miał prawa zarzucić brudnej rachuby, możecie iść do celu z podniesioną głową.

GABRIELA Nie rozumiem cię.

MAURYCY Już to, że poznałaś się na tym człowieku, stawia cię bardzo wysoko.

GABRIELA O kim mówisz?

MAURYCY Pytasz się? Naturalnie o Władysławie. On tam został i układa się, bo ja byłem bezsilnym... Gdybyś wiedziała, jak to wziął do serca... O, on cię kocha prawdziwie.

GABRIELA Czy aż tak, że się zwierza? Dzieciaki jesteście!

MAURYCY Nie miej mu tego za złe... twoja wzajemność tak go uszczęśliwia!

GABRIELA A ty skąd wiesz o mojej wzajemności?

MAURYCY Wnosząc z tego, co mi mówił...

GABRIELA (*żywo*) Cóż ci mówił?

MAURYCY Że jest pewnym twojego serca... I nic dziwnego, zasługuje na to, byś go kochała.

GABRIELA (*śmiejąc się z przymusem, zirytowana*) Czy za swoją zarozumiałość? I toż jest ten praktyczny, trzeźwo patrzący Władysław? Jeżeli miałam jaką słabość do niego, nie dawało mu to prawa robić mnie przedmiotem studenckich przechwałek?

MAURYCY Co ty mówisz?

GABRIELA Ublizył mi... A zresztą uczucie, jeżeli je bierze na serio, robi go egoistą... Dla dogodzenia mu, dla jakichś romansowych urojeń chce ze mnie zrobić ofiarę... Nie cierpię go teraz.

SCENA VII

POPZEDZAJĄCY, WŁADYSŁAW.

WŁADYSŁAW (*wchodząc prędko głębia, do Maurycego*) Zgadnij, jaki obrót rzeczy wzięły... Tego się nigdy nie spodziewałem... (*ciszey*) Gabriela wie?

MAURYCY Wie.

WŁADYSŁAW (*do Gabrieli, biorąc jej rękę*) Chciałem usilnie załatwić jakoś ten interes, bo kłopoty wasze od dawna już stały się moimi.

GABRIELA (*zimno, odbierając rękę*) Pozwól, ściskasz mi rękę.

WŁADYSŁAW O, przepraszam cię... Wystaw sobie, już, już miałem nadzieję doprowadzenia rzeczy do końca, bo przystawano spłatę ratami, wprowadzie w stanie naszych finansów dosyć uciążliwymi, ale zawsze pozwalającymi odetchnąć... wtem ni stąd, ni zowąd traf przynosi, wiecie kogo?... Patrzę, zajeżdża Kotwicz z tym Straszem, który był dziś na polowaniu... Komornik, zobaczywszy ich przez okno, wybiega i ci panowie witają się jak najlepsi znajomi... pokazuje się, że kolegowali z sobą w Warszawie... potem odchodzą na bok... i po krótkiej konferencji... no, zgadnijcie...

GABRIELA (*niecierpliwie*) Cóż za dziwny sposób opowiadania.

WŁADYSŁAW Komornik oświadcza, iż pan Strasz nabył wszystkie pretensje pana Josel Wucherstein i prolonguje dług do pewnego czasu, że zatem nie ma już co robić, i oddawszy mu wszystkie papiery, odjeżdża.

GABRIELA A!

MAURYCY (*zdziwiony*) Strasz nabył ten dług?

WŁADYSŁAW Rzecz bardzo prosta: to jest dług lichwiarski, ręczę, że mu przyszedł tanio... Teraz, bądź co bądź, musimy spłacić tego pana... zależność podobnego rodzaju mogłaby nas kosztować zbyt drogo... (*do Gabrieli*) Ciężko to przyjdzie, ale bądź spokojną, już ja to biorę na swoją głowę... Trzeba będzie pracy, zaparcia się, może ofiar z niejednego, do czego się nawykło... ale gdy chodzi o wyzwolenie się...

GABRIELA O, tylko proszę cię, bez poświęceń, bo nie potrafilibyśmy ci się wywzajemnić... Zresztą wiesz, że ja jestem materialistką i że sielankowego szczęścia nie rozumiem.

WŁADYSŁAW Chciałbym, abyś przejęła się tą wiarą, że jeżeli snują jakie projekta, to pierwszym ich celem jest twoje szczęście... (*wzruszony*) Gdybyśmy poszli razem przez koleje życia, wszystko to, co w powszednich kłopotach dotyka i boli, przyjąłbym na siebie... ty byś tego nie poczuła.

GABRIELA Mój kuzynie, sam ten pomysł uderza niepraktycznością, a rola bierna, jaką mi naznaczasz w tej fantastycznej wędrówce przez ciernie i głogi, nie pochlebia mi bynajmniej... Ja także mam pretensję do jakiejś samodzielności, a pozwolił, że... drzemać — to nie jest żyć...

WŁADYSŁAW Obracasz to w żart?

GABRIELA Właśnie jeżeli kiedy, to teraz mówię zupełnie poważnie. Bywają chwile, w których wolno się pobawić, ale od złudzeń wyborną prezerwatywą jest rzeczywistość i obowiązki... Wobec nich wszystkie te mrzonki wydają się dzieciństwem.

MAURYCY (*na stronie*) Dosyć wyraźnie... Biedak, jak zbladł... a mówiłem mu!

WŁADYSŁAW (*po chwili*) Gabrielo!

GABRIELA (*drwiąco*) Cóż za ton, jakie spojrzenie... czy próbujesz na mnie siły swojego wzroku? Wygląda to na studia do jakiegoś teatru amatorskiego... może dano ci rolę niefortunnego adonisa?

WŁADYSŁAW (*do siebie, osłupiały*) Nie pojmuje!... To chyba jakieś nieporozumienie...

SCENA VIII

POPZEDZAJĄCY, KOTWICZ, później SZAMBELANICOWA, POLA.

KOTWICZ (*wchodząc głębia*) No, co mi dacie za ten interes, bo to na czysto moje dzieło... Wiecie już?... Potrafiłem go tak napompować przez drogę, że był do gotowego... Ojciec będzie miał doskonały humor przy obiedzie, bo nadto jeszcze udało mu się tak rozczulić starego Dzieńdzierzyńskiego, że... (*sposzregłszy wchodzące Szambelanicową i Polę, chrząka*) Hm... hm... (*do Władysława, biorąc go na bok*) Dostał od niego weksel na spłacenie tego długu, ale że właśnie Strasz już go nabył...

WŁADYSŁAW Więc mu go odda na powrót, jako już niepotrzebny.

KOTWICZ (*śmiejąc się*) A to byłby wariatem!... Zostanie mu w kieszeni... taka gratka nie zawsze się trafi.

WŁADYSŁAW (*oburzony*) Rozumowanie, którego by się nie powstydział pierwszy lepszy kantorzysta.

KOTWICZ (*jak wyżej, drwiąco*) Filozof! (*odchodzi od niego*)

SZAMBELANICOWA (*która usiadła na kanapie, do Kotwicza*) Kuzynie, podobno przywiozłeś z sobą kogoś z polowania?

KOTWICZ (*z humorem*) A tak... jestem w roli mentora wprowadzając w nasze kółko młodzieńca surowego jeszcze, ale pełnego nadziei.

SZAMBELANICOWA Cieszyłabym się, gdyby nasz dom mógł zarobić sobie na miano szkoły życia towarzyskiego... ale... nie wiem, jak to mój mąż przyjmie.

KOTWICZ Nie ma obawy... już się zaprzyjaźnili. (*siada przy niej*)

SZAMBELANICOWA (*ciszej*) Przyzwoity człowiek?

KOTWICZ Przynajmniej na początek przyzwoicie się znalazł, bo spłacił Żyda.

SZAMBELANICOWA Serio? (*Kotwicz odpowiada jej cicho; głośno do Maurycego i Władysława*) Panowie młodzi, rozweselcie mi też Polunię, bo jakaś smutna dziś... (*rozmawia po cichu z Kotwiczem. Władysław usiadł na uboczu i śledzi spojrzeniem Gabrielę, która przechadza się, unikając z afektacją jego wzroku*)

POLA (*do Maurycego, który się zbliża do niej*) Misja uciążliwa, nieprawdaż?

MAURYCY Tym goręcej też pragnąłbym jej podolać.

POLA Do tego trzeba tylko dobrej i nieprzymuszonej woli.

MAURYCY Te działałyby cuda, gdyby nie była zależną od okoliczności, od usposobienia duszy.

POLA Pańskie usposobienie bywa jakieś... wyjątkowe.

MAURYCY Jest takie, jakim je wyrobiło położenie. Życie nie daje mi sposobności do śmiechu, dlatego na wszystko zapatruję się z strony poważnej... a tym trudno zabawić, wzbudzić wesołość, jak tego pragnęłaby moja matka.

POLA W samej rzeczy... czasem chłód aż wieje od pana.

MAURYCY A panie w takich razach jesteście bez litości... Nic nie uwzględniacie wydając sąd, nie dopuszczacie okoliczności łagodzących.

POLA Ja nie sędzę ani krytykuję, tylko przez współczucie dałabym panu lekarstwo na jego usposobienie... przede wszystkim nie przymuszać się, gdy to zbyt wiele kosztuje. (*idzie do Gabrieli i bierze ją pod rękę*)

MAURYCY (*na stronie*) Co ona przez to rozumie?

SCENA IX

POPZEDZAJĄCY; SZAMBELANIC *wchodzi głębią, prowadząc pod rękę STRASZA, za nimi DZIĘDZIERZYŃSKI z kwaśną miną.*

SZAMBELANIC (*prowadząc Strasza, do żony; Kotwicz wstaje*) M a c h è r e, przedstawiam ci naszego nowego sąsiada: pan Strasz herbu Strasz.

SZAMBELANICOWA Bardzo mi przyjemnie... słyszałam wiele o panu... (*Strasz się kłania*)

SZAMBELANIC (*ciągle trzymając go*) Myśliwy nietęgi, ale wstęp swój w koło obywatelskie inaugurował czynem, który mu przynosi zaszczyt.

DZIĘDZIERZYŃSKI (*siadając obok Szambelanicowej*) Padam do nóżek pani szambelanicowej.

SZAMBELANICOWA A, witam pana.

DZIĘDZIERZYŃSKI (*całując ją w rękę*) C o m m e n t l a t ê t e?

SZAMBELANICOWA (*zbywa go gestem; do męża*) Jakież to czyn?

SZAMBELANIC (*jak wyżej*) Pan Strasz pojął swe posłannictwo w sposób pozwalający żywić o nim najpiękniejsze nadzieje... Spostrzegłszy, że jestem w chwilowym kłopotcie, chociaż zaledwie przestąpił mój próg, bez najmniejszego namysłu... bo to jest... przyszedł mi z pomocą dając dowód prawdziwie bezinteresownej sąsiedzkiej uczynności... Bezinteresownej, bo nabywając pretensje, zrzekł się prawa egzekucji.

DZIĘDZIERZYŃSKI (*wstawszy z kanapy, do ucha Szambelanicowi, przechodząc koło niego*) Spekulacja... (*ściska mu ramię z znaczeniem*)

SZAMBELANICOWA (*do Strasza podając mu rękę*) Winszuję panu.

SZAMBELANIC I prolongował mi sumę.

STRASZ (*do ucha*) Ale na rok tylko... dłużej nie mogę, daję słowo.

SZAMBELANIC Mamy dosyć czasu do porozumienia się... Zresztą to już drobnostka wobec samej treści czynu, który jest prawdziwie obywatelskim; wszakże dnia dzisiejszego, gdy majątki nasze coraz częściej przechodzą do Niemców lub Żydów, należy nam trzymać się za ręce... solidarność tylko może nas zbawić.

STRASZ (*do Szambelanicowej*) Ja bardzo przepraszam panią dobrodziejkę, że nie przybyłem we fraku, ale...

SZAMBELANICOWA O, to rzecz najmniejsza... Chęć prędszego poznania naszego domu zbyt nam pochlebia, abyśmy uważali na małe przekroczenie formy, spowodowane zresztą zapewne okolicznością, że to z polowania...

STRASZ Wynagrodzę to następną razą.

SZAMBELANICOWA Bardzo prosimy.

SZAMBELANIC Pozwoli pan, że go zaprezentuję pannom, mojej córce i pannie Dzieńdzierzynskiej... Także sąsiadka, a do tego warszawianeczka.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Przepraszam, łączycanka.

SZAMBELANIC (*prezentując*) Pan Strasz... (*puszcza go i zostawia z pannami, które przechadzają się; ukłony*)

STRASZ (*na stronie*) U! Ładne obydwie...

GABRIELA (*po pewnej chwili milczenia*) Pan niedawno w naszych stronach?

STRASZ Niedawno... Dostałem sukcesję po wuju... majątek w sąsiedztwie.

GABRIELA (*po chwili*) Jakże się panu podobała okolica?

STRASZ Phi... proszę pani... po Warszawie...

GABRIELA Dowód otwartości niezbyt dla nas pochlebny.

STRASZ (*zakłopotany*) Widzi pani... prawdę powiedziawszy... to ja tak... tu jeszcze dobrze nie znam... ale zdaje mi się, że sobie gust naprawię i zmienię zdanie.

GABRIELA (*śmiejąc się*) Trzymamy pana za słowo. (*chodzą w milczeniu*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*do Szambelana*) C h a m b e l a n, i l f a u t l u i p a y e r... spłacić go, i kwita...

SZAMBELANIC Zobaczymy... nic pilnego.

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t?

SŁUŻĄCY (*wchodząc z prawej strony z serwetą*) Proszę jaśnie państwa do stołu.

STRASZ (*wycofawszy się od panien, do Kotwicza*) Któraż z nich jest szambelanicówna?

KOTWICZ Ta, co z panem mówiła.

STRASZ Jak ona mi przypomina Julkę od Andzi, to rzecz zadziwiająca... Nawet taki sam pieprzyk ma na szyi.

KOTWICZ Przyjrzałeś jej się pan, widzę, dobrze.

SZAMBELANIC (*któremu żona, wstawszy z kanapy, szepnęła; do Strasza*) Podaj pan rękę mojej żonie.

SZAMBELANICOWA (*do Strasza, który ją prowadzi*) Panu zapewne nie w smak, że musiałeś odejść od panienek... przyznaj się pan...

STRASZ Hm, istotnie... ja to lubię.

SZAMBELANICOWA Za to przy stole pozwolę panu usiąść przy mojej córce. (*Strasz całuje ją w rękę; żartobliwie*) Tylko mi jej pan nie bałamuć, bardzo proszę.

STRASZ (*na stronie*) Zdaje mi się, że zrobiłem podwójnie dobry interes...
(*wychodzą na prawo*)

WŁADYSŁAW Parę wyrazów zimnych, gryzących... i co ta kobieta zrobiła ze mną!... W co tu wierzyć, w co tu wierzyć! (*wychodzi głębia*)

SCENA X

KOTWICZ, DZIĘNDZIERZYŃSKI, później SZAMBELANIC.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*zatrzymując Kotwicza*) C o m t e, temu Straszowi trzeba koniecznie oddać... ja na to tylko wyłącznie dałem te pieniądze... i l f a u t a b s o l u m e n t.

KOTWICZ (*surowym tonem i żywiej całą tę scenę*) Pańskie słowa są najlepszym dowodem, jak nam jest trudno obyć się bez kredytu żydowskiego.

DZIĘNDZIERZYŃSKI C o m m e n t?

KOTWICZ Wiedziony szlachetnym popędem udzieliłeś pan pożyczkę sąsiadowi, lecz ledwie to zrobiłeś, już ci żal i chciałbyś się cofnąć... Skoro tak, oświadczę kuzynowi, a zaręczam, że zwróci panu, jakkolwiek z bólem serca, bo wiem, że mu przykrym będzie ten brak zaufania. (*zapraszając go do wyjścia*) Niechże pan będzie łaskaw.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Ale co znowu, co znowu! Jaki brak zaufania?... C o m m e n t p e u t — o n!... Zdaje mi się, że dałem najlepszy dowód, iż tak nie jest.

KOTWICZ Prawda, ale... pozwól pan sobie powiedzieć, że nadużywasz sytuacji. Wszakże biorąc od kogoś pieniądze stają się ich właścicielem, nieprawdaż?... Więc dysponować mi, jak mam użyć tych pieniędzy, to, przyznam się... (*jak wyżej*) Służę.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Hrabio, ja radziłem tylko, i to w waszym własnym interesie.

KOTWICZ Być, może, ale nie jest miłą rzeczą zostawać w zależności. Już to prawdę mówią, iż nic tak nie narusza dobrych stosunków, jak kwestia pieniężna.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*na stronie*) Masz tobie, gotowi się jeszcze obrazić.

KOTWICZ (*na stronie*) Dobra sposobność. (*głośno*) Aby tego uniknąć, muszę i ja załatwić z panem nasz rachuneczek.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Jaki znów rachuneczek? Czy ja hrabiego napastuję?

KOTWICZ Tym bardziej. Człowiek z poczuciem godności osobistej nie powinien narażać się na podejrzenie, iż się nie szanuje... Przepraszam, że nie porachowałem się wcześniej.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*zniecierpliwiony*) Hrabia wiesz, że ta bagatela nie robi mi różnicy.

KOTWICZ Ale pan pozwolisz, że darowizny przyjąć nie mogę...

DZIEŃDZIERZYŃSKI Któż mówi... *c e s e r a i t c o m p r o m i t a t i o n*.

KOTWICZ (*dobytując notyskę*) Prowadzę skrupulatne notatki.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Pójdźmy, bo tam czekają na nas.

KOTWICZ Ogółem winienem panu z tym, co przegrałem w wista... pamiętasz pan... 3 ruble 97 kopiejek.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Rozegramy się. (*ciągnie go*)

KOTWICZ To swoją drogą... oraz z kosztami podróży do Łowicza na święty Mateusz...

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t ? P a r d o n ! To już do mnie należy!

KOTWICZ Za pozwoleniem... zapłaciłeś pan za mnie kolej pierwszej klasy tam i na powrót... oprócz tego łożyłeś na moje utrzymanie w drodze i w Łowiczu... Notowałem wszystko.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale nie słucham.

KOTWICZ Otwarciem powiem, że byłem wówczas goły i przyjąłem, ale jako pożyczkę... jedynie jako pożyczkę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*na stronie*) No, i są ludzie, którzy go mają za eksploatatora!

KOTWICZ To wszystko razem uczyni rubli srebrem 79 kopiejek 50.

DZIEŃDZIERZYŃSKI B o n ! Zwrócisz mi pan tam kiedy... Chodźmy!

KOTWICZ No, to dołóżże mi pan dla okrągłości 20 rubli 50 kopiejek, to razem będzie setka, którą panu oddam... jak tylko będę miał.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*do siebie, nieco zdziwiony*) S a v e z - v o u s q u o i , c ' e s t b o n ... (*dobytując pugilares*) Mam tylko same dwudziestopięciorublówki.

KOTWICZ To nic, zwrócę panu resztę, jak zmienię... Ale to już osobny rachunek... setka setką, a panu reszty przypada półpiąta rubla.

SZAMBELANIC (*z serwetą pod brodą*) Sąsiedzie, cóż za ceremonie?... Zupa stygnie... prosimy!

DZIEŃDZIERZYŃSKI Służę.

SZAMBELANIC (*puszczając go naprzód, do Kotwicza*) Jużes go, widzę, naciągnął... (*grożąc*) Ej, ty, ty... wstyd mi robisz... Niepoprawiony, niepoprawiony!

KOTWICZ Rachowaliśmy się z wista...
(*gra niema; wychodzą na prawo*)

Z a s ł o n a s p a d a

AKT TRZECI

Pokój w hotelu wytwornie umeblowany; jedne drzwi w głębi, a dwoje po obu bokach; na przodzie sceny po prawej stronie kanapa; z lewej biurko z przyborami do pisania; za nim mały stolik, na którym karafka z wodą i szklanka.

SCENA I

ŁECHCIŃSKA przy kanapie upina ślubną suknię, ZUZIA pomaga jej; KOTWICZ; CHŁOPCY wnoszą cukry i torty, a dwóch ogromną piramidę.

KOTWICZ Ostrożnie, chłopcy, bójcie się Boga, żeby się co nie uszkodziło... *(do Lechcińskiej i Zuzi)* Przypatrzcie się.

ZUZIA *(zachwycona)* Co za śliczny pałac!

ŁECHCIŃSKA Widziałam ładniejsze.
(Kotwicz z Chłopcami wychodzi na prawo)

ZUZIA I to jest do jedzenia?

ŁECHCIŃSKA A do czegożeś myślała?

ZUZIA Żeby mi kto dał tego choć na skosztowanie.

ŁECHCIŃSKA *(ironicznie)* Coś panna nabrała smaku do dobrych rzeczy... dawniej tego nie bywało... Któż cię to nauczył? *(na stronie)* Obrzydliwi ci mężczyźni, jak matkę kocham.

ZUZIA *(na stronie)* Jak mnie znowu zacznie zaczepiać, to muszę się przymówić.

KOTWICZ *(wraca z Chłopcami, którzy stają rzędem, czekając)* No, czegoż jeszcze? Możecie iść.

PIERWSZY CHŁOPIEC Spodziewaliśmy się na piwo.

KOTWICZ Fe, wstydź się. Jesteś młody, zdrowy, masz przed sobą całą przyszłość i już wyciągasz rękę. To nieładnie... Widzisz, zawstydyłeś się... Ucz się, chłopcze, ambicji zawczasu, żebyś na starość nie został eksploatatorem cudzych kieszeni... Pracować, pracować!...

DRUGI CHŁOPIEC No jużci, należałoby nam się... darmo nie żądamy.

KOTWICZ *(wypychając ich)* Za roznoszenie jesteście płatni przez pryncypała, więc nie macie nic do żądania... wynoście się... *(do drugiego Chłopca)* Z ciebie już nic dobrego nie będzie, przepowiadam ci... *(wraca od drzwi; do Lechcińskiej)* W jednym pokazał rozum

nasz pan młody, to jest, że spuścił się na mój gust w urządzeniu cukrowej kolacji... Jaki wynalazłem tokaj, to dosyć powąchać butelkę, a szampeter, świeżuteńka marka, jeszcze prawie nie znana w Warszawie.

ŁECHCIŃSKA (*ironicznie*) Hrabia jest w swoim żywiole.

ZUZIA (*do Kotwicza*) A nas pan nie poczęstuje cukierkami?

KOTWICZ O! Jeszcze ja cię będę paść słodyczami... nie masz na to swojego adonisa?

ZUZIA Co to jest adonis?

KOTWICZ No, kochanek.

ZUZIA (*figlarnie*) A któż to taki ma być?

KOTWICZ Twój Michał.

ZUZIA Piu! Co mi za... trafił pan jak kulą w płot.

KOTWICZ Idziesz przecie za niego.

ZUZIA Tak sobie na męża, to ulizie, ale na kochanka... Boże!

KOTWICZ Ale fe! Zuzia zaczyna być dowcipną.

ZUZIA Kazali, to i idę, zawsze lepiej niż tak zostać... Za jakim takim chłopcem to tak samo jak za płotem... bezpieczniej.

ŁECHCIŃSKA (*na stronie*) Jak matkę kocham, skąd ona ma taki rozum!

KOTWICZ Niby że jest parawan... brawo, Zuzieczko. Brawo!... Ale widać, że ci się gust zmienił w Warszawie, bo dawniej Miszel podobał ci się.

ŁECHCIŃSKA (*zniecierpliwiona*) Nie psuj jej też hrabia w głowie, do czego to podobne... (*do Zuzi*) Idź no do magazynu i dowiedz się, czy zarzutka już gotowa (*Zuzia idzie*) Tylko czy ty trafisz?

ZUZIA Olaboga! (*wybiega głębia*)

KOTWICZ (*patrząc za nią*) Jak się to wytresowało w krótkim czasie, to nie do uwierzenia... (*po chwili*) Uważała pani Lehcińska, z jakim to ona akcentem powiedziała, że kazali jej?

ŁECHCIŃSKA No to cóż?

KOTWICZ Oczywiście stosowała to do Strasza... F i n e s dziewczyna!

ŁECHCIŃSKA Nie wmawiajcie też w nią niestworzonych rzeczy, bo jej się do reszty w głowie przewróci. Wielkie historie, że pan młody wyposaża pokojówkę żony i wydaje ją za swojego fagasa.

KOTWICZ Którego umyślnie dlatego odmówił Dzieńdzierzyńskiemu.

ŁECHCIŃSKA A chociażby i tak było, myśli hrabia, że się tego złękniemy? Oj oj, dla nas to jeszcze lepiej. Nie ma jak tacy na mężów... będzie pantofel.

KOTWICZ Ale fe!

ŁECHCIŃSKA Jak matkę kocham, święta prawda. Jak tylko ma co na sumieniu, to prochy zmiata przed żoną i daje jej wolność robienia, co się podoba.

KOTWICZ Więc jakże pani Łechcińska wróży temu małżeństwu?

ŁECHCIŃSKA Zuzi z Michałkiem?

KOTWICZ E, to już ma swoje przeznaczenie. Mówię o naszej młodej parze... co też to z tego wyniknie?

ŁECHCIŃSKA Co ma wyniknąć?... To, co we wszystkich małżeństwach.

KOTWICZ Piekło.

ŁECHCIŃSKA Tego piekła nikt się nie boi i każdy do niego lezie.

KOTWICZ Szczególniej kobiety.

ŁECHCIŃSKA Cóż mają robić? My bo jesteśmy prawdziwe ofiary... każda czeka czyjego zmiłowania... to już świat taki. Mężczyzna stary kawaler to sobie pan, słowo daje... Każdy o nim powiada: nie ożenił się, bo mu się tak spodobało... A o starej panie jak? Siedzi, bo jej nikt nie chciał. I co się tu dziwić kobiecie, że gotowa nawet na piekło, byle być w nim panią.

KOTWICZ (*lekko*) Już pani świata nie przerobisz... (*po chwili*) A jakże się pani Łechcińskiej zdaje, kochają się oni czy nie?

ŁECHCIŃSKA A to po co? Żeby później łzy wylewać?... Gdzież to hrabia widział, żeby z kochania było co dobrego?

KOTWICZ Ale fe!

ŁECHCIŃSKA Mężczyźni nie warcą, żeby się do nich rozplęwać; każdy żeby się zaklinał świętymi słowami, że kocha, to mu nie można wierzyć. Póki sięga, to przysięga... a później lata za innymi, a ty, żono, wstydź się przed ludźmi, udawaj, że o to nie dbasz, żeby się nie wyśmiewali z pokrzywdzonej. Nie lepiej to od razu powiedzieć sobie, że mi to wszystko jedno? Nasza panna Gabriela ma święty rozum, jak matkę kocham... Niech tam mąż będzie sobie, jaki chce, dosyć że ona będzie panią całą gębą... To jest grunt... a to, co hrabia mówi o tym... tam... niby o Zuzi... o Jezus! I owszem!... To jest klucz do jego kasy.

KOTWICZ A jak go nie puści z rąk?

ŁECHCIŃSKA Co?... To już nasza rzecz. Mój hrabio, każda z nas sprzedałaby was wszystkich mężczyzn dziesięć razy... My słyszymy, jak trawa rośnie. On to robi niby w sekrecie, tymczasem i panna wie, i starsza pani wie, ale patrzą przez szpary... o tak, (*przykłada palec do oczu*) właśnie dlatego! I jak będzie na to czas, to ta sprawa przyjdzie na stół, nie bój się hrabia...

KOTWICZ Więc pani Łechcińska powiada, że ona weźmie górę?

ŁECHCIŃSKA Nie mam o nią kłopotu.

KOTWICZ A ja, co prawda, o niego.

ŁECHCIŃSKA O, bo hrabia trzyma teraz z nim... taki przyjaciel!... Ja wiem, ty a ty... Ale zobaczymy... (*po chwili*) A dlaczegoż to on teraz już tak się absztyfikuje, myśli gotów zgadywać... przecie nie z czułości, bo któż by patrząc na nich domyślił się, że to już dziś ich ślub? Tylko na złodzieju czapka gore... to za to, co się dzieje na boku.

KOTWICZ Co on sobie z tego robi?

ŁECHCIŃSKA Mój hrabio, jeżeli tak, to i na to mamy radę: jedno na boku, to i drugie potrafi... Jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg... (*po chwili*) Ciekawa też jestem, jaką minę będzie miał na ślubie pan Władysław...

KOTWICZ Czy myślisz pani, że będzie mdlał? Przecież to mężczyzna.

ŁECHCIŃSKA No no, nie chwalcie się tą swoją tęgością! A jak on to teraz wygląda, jak inny... Schudł, wyłysiał...

KOTWICZ Cóż dziwnego, tyfus.

ŁECHCIŃSKA Tyfus... ale z czego?... Jezus! Jaki on też był w niej zadurzony... Chociaż żeby miał rozum, to właśnie teraz niebo mu się otwiera... Bo co by to było, gdyby się byli pobrali?... Bieda, lament, i kochajże się tu w takich okolicznościach. Tymczasem tak... jedwabne życie, jak matkę kocham... (*ciszej*) Jak ona zawsze go lubi! Dziś już z kilka razy się dopytywała, czy nie przyjechał.

KOTWICZ Ja w moich młodych latach kochałem się na zabój w sąsiadeczce prześlicznej, ale gołej... I ona za mną szalała... Ale wie pani Łechcińska, daję słowo honoru, nie przeszło nam przez myśl małżeństwo.

ŁECHCIŃSKA Pewno hrabia już wtenczas ostatkami gonił.

KOTWICZ Sam jej wynalazłem męża.

ŁECHCIŃSKA Żeby się kochać z czystym sumieniem... rozumem... Ale musiał hrabia dopiero dobrać safandulę.

KOTWICZ Całe życie była mi wdzięczną.

ŁECHCIŃSKA Co! Kto chce, to się tak urządzi na świecie jak w raju, tylko trzeba mieć rozum. Najgorsze to czuwanie się, to nic nie warto, jak matkę kocham... *(po chwili)* Zapewne tylko go patrzeć, bo przecież wypada, żeby był družbą... Nie uwierzy hrabia, jak jestem ciekawą.

SCENA II

KOTWICZ, ŁECHCIŃSKA, MICHAŁEK w gustownej liberii strzelca, z pysznym bukietem w ręku, później ZUZIA.

ŁECHCIŃSKA Piu! Patrzcie państwo!... Co za bukiet!... On się jednak zna na rzeczy.

MICHAŁEK Ładny, prawda? Ale co kosztuje!... Jak płacił, aż mi żal było... za dwa cisnął całą garść papierków.

ŁECHCIŃSKA *(ciekawie)* Za dwa? A gdzież drugi?

MICHAŁEK Drugi? *(na stronie)* Bodajże cię!... *(głośno)* Jaki drugi?

ŁECHCIŃSKA Czy nie powiedziałeś, że kupił dwa bukiety?

MICHAŁEK No to co?

ŁECHCIŃSKA Nie udawaj głupiego, mój kochany.

MICHAŁEK Wszystkie mu były za małe, więc kupił dwa i kazał z tego zrobić jeden taki... *(na stronie robi gest drwiący, pokazując język)*

ŁECHCIŃSKA Wiesz, że twój pan miał doskonały węch, odmawiając cię panu Dzieńdzie-rzyńskiemu... Takiego mu właśnie potrzeba, jak ty... tylko wyciągnij dobre zasługi... *(poufnie)* Komuś nosił drugi?

MICHAŁEK Mogę przysiąc, że nie nosiłem nikomu... *(na stronie)* tylko posłaniec spod te-atru.

ŁECHCIŃSKA *(niekontenta)* No to zostaw i wynoś się.

MICHAŁEK Nie mogę, dalibóg, bo pan kazał mi zostać tu na usługi, a takie jest psie prawo, że trzeba słuchać pańskiej trąby.

ŁECHCIŃSKA Tylko nie odzywaj się tak ordynaryjnie, bo tu są pokoje, nie psiarnia, rozumiesz?

ZUZIA *(wchodząc)* Powiedzieli w magazynie, że będzie gotowe za pół godziny. *(sposstrzega bukiet)* Ach, jakież to śliczne kwiaty... jej! *(do Michałka)* Czy to dla panienki?

MICHAŁEK *(drwiący)* Myślałaś, że dla ciebie?

ZUZIA (*odbierając bukiet*) Co prawda, wolałabym co innego.

KOTWICZ (*do Michałka poufale, biorąc go na bok*) Słuchaj, bo mnie przecie możesz powiedzieć: gdzie nosiłeś drugi bukiet?

MICHAŁEK (*z niewinną miną*) Proszę pana! Przecie gdyby tak było, tobym zaraz powiedział... pan mnie zna.

KOTWICZ Na Chmielną?

MICHAŁEK Żeby mnie pan zabił, nawet nie wiem, gdzie Chmielna.

KOTWICZ (*do siebie*) Z pewnością dla Walerki.

SCENA III

POPZEDZAJĄCY; SZAMBELANIC *wchodzi głębią.*

SZAMBELANIC Nie macie tam co drobnych dla dorożkarza?

ŁECHCIŃSKA (*na stronie*) Oho!

SZAMBELANIC Łechcińska, (*z wyciągniętą ręką*) chociaż z rubla, będzie miał dosyć.

ŁECHCIŃSKA I grosza pan przy mnie nie znajdzie... (*na stronie*) Byłoby na wieczne nieodanie. (*wychodzi na lewo z Zuzią zabierając suknię*)

SZAMBELANIC (*do Kotwicza*) A ty nie masz?

KOTWICZ A ja skąd?

SZAMBELANIC Robiłeś jakieś zakupy.

KOTWICZ Jako znawca i biegły, ale nie płatnik.

SZAMBELANIC (*do Michałka*) To idźże mu powiedz, niech czeka, biorę go na cały dzień. (*Michałek wychodzi*) No, nie śmieszna to rzecz, żebym ja, przyjechawszy do Warszawy na ślub córki, którą n o t a b e n e wydaję za milionera, nie miał rubla w kieszeni?

KOTWICZ A gdzież to, co dał Goldfisz?

SZAMBELANIC No, nie ma, poszło!... Mówisz jak dziecko... Głupie kilkaset rubli... Rzecz niesłychana, jak w tej Warszawie lecą pieniądze... nie mieć czym zapłacić dryndy!

KOTWICZ Wszakże jest przez cały dzień kareta.

SZAMBELANIC Dla kobiet, które jej nie odstąpią na pół godziny... Musiałbym chyba jeździć z nimi jak patriarcha i asystować po sklepach... Ja potrzebuję oddzielnie. Zawsze co parwienusz, to parwienusz, trzeba by mu łopata kłaść w głowę, że człowiek szanujący się powinien wszystko robić wedle wymagań sfery, do której ma pretensję należeć... Kareta, bardzo ładnie... ale jeżeli się zdobył na tyle galanterii dla narzeczonej, to mógł być też i ojcu się przysłużyć chociaż porządną dorożką... To tak jak z teatrem... kupi łożę i każe nam się wszystkim mieścić jak w arce Noego, bo to jest... Nie cierpię łoży, chyba gdy w niej jestem sam labo we dwoje... Nie, nie, nie ma tego, co to w nas jest już wrodzonym... uczyć mu się dopiero. *(po chwili)* A z tym drugim Żydem widziałeś się?...

KOTWICZ Widziałem. Da, ale chce, żeby Strasz poręczył.

SZAMBELANIC No to niech ręczy... to teraz wspólny interes.

KOTWICZ Trzeba go poprosić.

SZAMBELANIC Co? Ja go mam prosić? Nie bredź też, mój hrabio... to jego obowiązek... Ale i Żyd szelma, żeby stawiać takie żądanie. Czy myśli, że ja teraz jestem pod kuratelą, czy co? Mogłeś go był zbesztać.

KOTWICZ Zrobiłem coś na kształt tego... dla zwyczaju.

SZAMBELANIC Ale bo głupi z swoją obawą. On chyba nie wie, co to jest Czarnoskała.

KOTWICZ Zna ją jak własną kieszeń... oglądał hipotekę.

SZAMBELANIC Długów już tak jakby nie było.

KOTWICZ Bo wszystkie Strasz ponabywał.

SZAMBELANIC Więc powykreślane...

KOTWICZ Gdzie tam! Wszystko jak było, tak jest, tylko na jego imię.

SZAMBELANIC *(nieco zmięszany)* Nie może być! *(po chwili)* Przecież tego nie zrobił w celu ograniczenia mi kredytu... nie przypuszczam nawet nic podobnego... To tylko jakieś zapomnienie, nieuwaga... *(po chwili)* W każdym razie trzeba się z nim rozmówić; mnie samemu nie wypada, ale rachuję na ciebie...

KOTWICZ Że?

SZAMBELANIC Że otworzysz mu oczy... bo to tylko jest nieświadomość sytuacji. *(chodzi; po chwili)* Jeżeli wydając za niego córkę robię pewne ustępstwo z zasad, mogę się tłumaczyć, że poszedłem za prądem czasu, bo dziś panuje wiatr demokratyczny... Mamy już liczne tego przykłady w naszym obozie... jest to konieczność dziejowa. Potrzeba nam odświeżyć krew, a co ważniejsza, odzyskać środki materialne, których nas okoliczności pozbawiły. Plutokracja powinna w nas wsiąknąć.

KOTWICZ Jakież cel mówić mu o tym? On nawet tego nie zrozumie.

SZAMBELANIC Toteż naszym obowiązkiem jest oświecić go. Ludzie nowi nie mają pojęcia o doniosłości ofiary, jaką się robi przypuszczając ich do prerogatyw zdobytych wiekowymi zasługami rodu. Taki Strasz może być niezły człowiek, ale pod tym względem z pewnością hebes... Trzeba mu dać o tym jakieś wyobrażenie.

KOTWICZ Dobrze, ale...

SZAMBELANIC Wiem, że to robisz, bo mnie pojmujesz... (*biorąc jego rękę*) Spuszczam się zupełnie na ciebie. Jesteś kawał lamparta, to prawda...

KOTWICZ Ja!

SZAMBELANIC No, o tym nie ma gadania... ale w pewnych razach można na ciebie liczyć, bo bądź co bądź, w tobie jest krew.

KOTWICZ Spodziewam się. Ale właściwie o cóż kuzynowi chodzi? Bo teorie...

SZAMBELANIC O kredyt, no, nie rozumiesz? O kredyt bez tych wszystkich szykan, które mi krew psują. Jeszczeż tego nie mam zyskać w zamian za ofiarę, którą robię? Ładnie bym wyszedł! Ja nie mogę być bez pieniędzy! Powiedz mu to. Byłem delikatnym, ale wszystko ma swoje granice.

KOTWICZ Ależ dziś ślub.

SZAMBELANIC Tym bardziej. Zresztą i od ołtarza się rozchodzą... To mój warunek, od którego nie odstąpię. Po ślubie, gdy oni sobie pojedają, ja chcę tu zostać, odetchnąć trochę w Warszawie bez tych głupich interesów na głowie... I żona tego potrzebuje.

KOTWICZ A jeżeli będzie twardy? On ma kuzyna w ręku, ponabywawszy długi.

SZAMBELANIC Nie wierzę, aby chciał z tego korzystać. Opinia by go ukarała. (*drzwi w głębi otwierają się*) A, kobiety! Pogadamy jeszcze o tym... pójdziesz do mnie.

SCENA IV

POPZEDZAJĄCY; SZAMBELANICOWA, GABRIELA ubrane jak na miasto; POLA — ubranie do pokoju, otulona szalem; MICHAŁEK z pakietami i pudełkiem; po chwili ŁECHCIŃSKA i ZUZIA.

SZAMBELANICOWA (*we drzwiach, całując się z Polą*) Skądżeś ty się tu wzięła?

POLA Zobaczyłam przez okno, jakeście panie wysiadały z karety, i tak mi było pilno przywitać się, że wyszłam umyślnie na korytarz.
(*wchodzi na scenę*)

SZAMBELANICOWA Moja droga, jak się cieszę, że cię widzę... Dawno przyjechaliście?

POLA Może przed godziną... (*całuje się kilka razy z Gabrielą*)

SZAMBELANIC Witamy z podróży... Jużemy prawie zwątpili o państwu.

POLA Przynękłam Gabrieli, że będę, i chyba tylko stan zdrowia zatrzymałby mnie w domu.

SZAMBELANIC O to też obawialiśmy się... Gdzież papka?

(z lewej strony wchodzi Łechcińska z Zuzią, która zdejmuje salopy, odbiera kapelusze i odnosi na lewo; Łechcińska odbiera od Michałka paczki i pudełko, do którego zagląda; Michałek wychodzi)

POLA Jest właśnie u siebie.

SZAMBELANIC Który numer?

POLA Dziesiąty.

SZAMBELANIC Czy sam?

POLA W tej chwili jest u nas pan Maurycy.

SZAMBELANIC *(zartobliwie)* Jak on się to prędko dowiedział o państwu.

POLA *(zakłopotana)* Przypadkiem... przechodząc.

SZAMBELANIC *(na stronie)* Muszę się i ze starym zobaczyć... *(do Kotwicza)* Pójdź no ze mną... *(wychodzą na prawo)*

GABRIELA *(do Poli, apatycznym głosem)* Zdejmże szal, rozgość się... tyle mamy z sobą do mówienia.

POLA *(zegnając się z Szambelanicową, potem z Gabriellą)* Później, teraz nie mam czasu, posłałam po pannę z magazynu dla przymierzenia sukni. Obstalowana przez pocztę, to może będzie trzeba co poprawić.

SZAMBELANICOWA Istotnie, dziś u nas czysty jarmark, więc do widzenia. Ale! Jakaż będziesz miała suknię?

POLA Jasnoniebieską p o u — d e — s o i e.

SZAMBELANICOWA Ach, to powinno ci być w niej prześlicznie, nieprawdaż, Łechcińska? *(żywo)* Tylko nie każde garniować koronką.

POLA Zostawiłam to modniarce; już to co do tych subtelniejszych tajemnic strojów, to przyznam się...

SZAMBELANICOWA Ale bo widzisz, panience nie wypada, to stosowne tylko dla mężatek... Gabriela, jako panna młoda, to co innego.

POLA *(która od niejakiego czasu uważała Gabrielę, na stronie)* Jaka ona zamyślona.

ŁECHCIŃSKA (*która otworzyła pudełko i wydobyła stroik na głowę, przyglądając mu się*)
Pieścidelko, jak matkę kocham.

SZAMBELANICOWA No, schowaj, schowaj... (*do Poli*) To na pierwsze wizyty... (*po chwili*) No, do widzenia, moje życie, jak się załatwisz z modniarką, przyjdź do nas. (*odchodzi na lewo z Łechcińską*)

SCENA V

GABRIELA, POLA.

POLA (*patrzy jej w oczy; po chwili*) No cóż? Jesteś szczęśliwą?

GABRIELA Pytasz się! Cóż mi brak?... Patrz, to pierścionek zaręczynowy!... Ach, prawda, znasz go już... Ale nie widziałaś tych kolczyków, przypatrz im się, pokażę ci jeszcze resztę garnituru... I wszystko odpowiednio do tego: apartament pierwszej klasy, co dzień łoża, kareta, strzelec na usługi...

POLA (*protestując*) Moja droga...

GABRIELA Chcesz powiedzieć: przesłiczne rzeczy, ale niestety dają narzeczonemu pewne prawa... może być zbyt natrętnym... Otóż i pod tym względem nie mam nic do życzenia. Zgaduje moje myśli, ledwo objawię życzenie, już je spełnia, otworzył nam kredyt w sklepach, nie targuje się, gdy chodzi o zrobienie mi przyjemności... i obok tego nie prześladowuje mnie sobą. Czyż można więcej żądać? Widuję go raz na dzień... i to prawie nigdy sam na sam... (*śmiejąc się z przymusem*) Oboje tego unikamy... jakbyśmy się umówili.

POLA Gabrielo, co ty mówisz?

GABRIELA Nie tałam się nigdy przed tobą z moimi przekonaniem, więc i dziś mogę być otwartą. Trzeba mieć odwagę do ich obrony. Nie ma nikogo tak naiwnego, co by uwierzył, że idę za mąż z przywiązania, ale ręczę ci, że większość mi zazdrości... (*wzdryga się nagle*)

POLA Co ci to?

GABRIELA Dreszcz jakiś. (*śmiejąc się, jak wyżej*) Śmierć mi zajrzała w oczy... to ten sen dzisiejszy.

POLA Jaki sen?

GABRIELA Wystaw sobie, co mi się śniło... W ślubnej sukni stałam nad otwartą trumną. Mój narzeczony, także ubrany jak do ślubu, trzymał moją rękę w zimnej jak lód dłoni i szepcząc jakieś niezrozumiałe zaklęcia usiłował nakłonić abym zajęła to niewygodne łożo. Spojrzenia jego wywierały na mnie jakiś wpływ magnetyczny, któremu musiałam być posłuszną... Szłam niby lunaticzka i już miałam ulec nieznannej sile, gdy na szczęście obudziłam się. Czy może być głupszy sen?

POLA (*przerażona*) Dlaboga! Ja bym to uważała za wyraźną przestrożę.

GABRIELA (*po chwili*) Za daleko zaszło. Moja droga, kto walczy, ten może ulec, i nic dziwnego, jeżeli wyobraźnia nasuwa mu niepokojące obrazy. Ale też może i zwyciężyć. Moje życie od samego początku było walką, więc przywykłam do jej niepokojów i nie robią na mnie takiego wrażenia. Mam siły do zniesienia wiele.

POLA Czy ty ich nie przeceniasz?

GABRIELA Nie wiem, być może... ale tego bądź pewną, że przed nikim uskarżać się nie będę. Mogę cierpieć, ale nikt tego po mnie nie pozna... Czego bym nigdy nie zniosła, to litości... Zasługiwać na politowanie ludzi byłoby dla mnie czymś okropnym. Zresztą... zobaczymy. Wiesz, dlaczego i dla kogo to robię.

POLA (*po chwili, z wylaniem*) Życzę ci, już jeżeli nie mogę powiedzieć szczęścia, to sił do wytrwania... (*całuje ją*) Do widzenia.

GABRIELA (*z wybuchem czułości, ściskając ją*) Jak jestem szczęśliwą, że przyjechałaś... nie będę przynajmniej samą... moja Polu! (*wybucho na chwilę spazmatycznym płaczem*) Ach, ten sen!

POLA Moja droga! (*trzymają się w objęciach; po chwili patrząc jej w oczy badawczo*) Pan Władysław będzie na ślubie?

GABRIELA (*krótko*) Nie wiem. (*po chwili*) Powinien... spodziewamy go się... gdyby nie był, pokazałby brak serca. (*po chwili*) A! Kto wie? Ludzie są egoiści.

ŁECHCIŃSKA (*we drzwiach*) Proszę panniuńci, fryzjer przyszedł... (*znika*)

(*Gabriela podaje rękę Poli, po czym robi parę kroków na lewo. Po chwili wraca się i rzuca w jej objęcia, ściskają się kilkakrotnie, po czym Gabriela śpiesznie wychodzi na lewo*)

SCENA VI

POLA, później MAURYCY.

POLA (*sama, stoi przez kilka chwil zamyślona, z rękami splecionymi przed sobą; po chwili*) Biedna, biedna ona!... A jednak, gdyby chciała, mogłaby być szczęśliwą... bo ja widzę, co się w jej sercu dzieje... (*po chwili*) Chcieć, czyż to dosyć?... A ja... czyżbym nie chciała... czyżbym dla niego nie poświęciła wszystkiego?... Ale któż wie, czyby mnie nie spotkał najboleśniejszy zawód?... Może lepiej kazać milczeć uczuciu... Boże, Boże! Kto mi wskaże, co mam zrobić!... (*ukrywa twarz w dłonie; po chwili*) Czy też to wszystkim tyle niepokoju robi to nieszczęśliwe serce? (*zamyśla się; po chwili idzie w głąb, przy drzwiach spotyka się z Maurycym, który wchodzi*)

MAURYCY Pani sama?

POLA Przed chwilą rozeszliśmy się z Gabriellą. A pan już skończyłeś konferencję z ojcem?... O cóż to szło? Słyszałam jakby jakąś sprzeczkę.

MAURYCY (*zakłopotany*) Robiłem ojcu pewną propozycję, na którą nie przystawał.

POLA Cóż to było?

MAURYCY (*z wahaniem*) Powiedziałbym pani, ale...

POLA O, jeżeli tajemnica, to nie wymagam (*kasze*)

MAURYCY (*troskliwie*) Pani przechodzisz przez korytarz tak lekko ubrana, a tam są przeciągi... Przyniosę pani coś cieplejszego... futro...

POLA O, niech się pan nie fatyguje!... Te kilka kroków... Zresztą ten szal taki ciepły... (*kasze i dobywa chustkę, przy czym wypada fotografia*) Do widzenia. (*wychodzi*)

SCENA VII

MAURYCY, później DZIĘDZIERZYŃSKI.

MAURYCY Pani coś zgubiłaś. (*podnosi fotografię i idzie z nią do drzwi*) Panno Paulino!... (*nagle wstrzymuje się*) Co widzę! Czy mnie wzrok nie myli... to ja! (*z wzrastającym uniesieniem*) Ja! O Boże!... Więc ona mnie kocha! Kocha mnie! Kocha!... (*chodzi wielkimi krokami*) Nie wierzę mojemu szczęściu... (*po chwili, innym głosem*) Ale naturalnie, że kocha... inaczej czyżby nosiła przy sobie moją fotografię? Ja tak samo miałem ją tu zawsze, na sercu. (*dobywa fotografię*) Mój aniołek najdroższy! Moje szczęście jedyne!... O, teraz tym bardziej muszę doprowadzić do skutku moje zamiary, choćby ze strony ojca były przeszkody... Niech ma dowód niezbity, że nie cofnę się przed niczym, co może mi zapewnić jej posiadanie... (*całuje fotografię kilkakrotnie; żartobliwym tonem*) A, moja pani, toś ty mnie kochała, a tyle mi nadokuczałaś dla jakiegoś błahego przywidzenia... Poczeka, zemszczę się! (*z tkliwością*) Zemszczę się poświęcając ci całe moje życie, aniele mój... Ach, jakież ja jestem szczęśliwy! (*chodzi ogromnymi krokami, cisnąc skronie rękami*)

DZIĘDZIERZYŃSKI (*staje we drzwiach, patrząc na Maurycego*) Dobryś!... Wziął to do serca... (*chodzi za nim*) Maurycy!... Nie słyszy... Maurycy, nie bądź dzieckiem.

MAURYCY A! (*rzucając mu się w objęcia*) Ojcze, wszystko będzie dobrze! (*ściska go i całuje namiętnie*)

DZIĘDZIERZYŃSKI A t t e n d e z, udusisz mnie... (*uwalnia się z jego objęć*) Dobrze? No, to chwała Bogu... Więc rozmyśliłeś się... przestaniesz zawracać mi głowę tym twoim projektem? Ja tu za tobą przyszedłem umyślnie po to, żeby ci jeszcze raz powiedzieć, i to stanowczo, że z tego nic nie może być.

MAURYCY Musi być. Od tego nie odstąpię, zwłaszcza teraz.

DZIĘDZIERZYŃSKI C o m m e n t? A cóż się stało nowego?

MAURYCY (*poufnie*) Zdaje mi się, że panna Paulina mnie kocha.

DZIĘDZIERZYŃSKI (*uradowany*) Niepodobna! Wygadała się?

MAURYCY Przypadkiem pochwyciłem dowód.

DZIĘDZIERZYŃSKI (*jak wyżej*) Kiedy? Teraz?

MAURYCY Przed chwilą.

DZIĘDZIERZYŃSKI Dlatego też to miała taką minę powróciwszy stąd... (*ściskając go*)
Winszuję ci z całego serca. Oświadczyłeś się zaraz, z kopyta?

MAURYCY Nie.

DZIĘDZIERZYŃSKI C o m m e n t? Nie? A, jakież to safandula! Takie rzeczy kończy się na gorąco. Chodź zaraz ze mną... jeszcze by trzeba kogo na świadka, żeby się które nie rozmyśliło.

MAURYCY (*śmiejąc się*) Jakżeż pan to traktujesz.

DZIĘDZIERZYŃSKI Ale bo ja wam nie wierzę... No, zawsze interes jest na lepszej drodze... tylko już tego wcale nie rozumiem... E c o u t e z, skoro masz pewność, że cię kocha...

MAURYCY Ale nie pewność, domysł dopiero.

DZIĘDZIERZYŃSKI No chociażby domysł, to z tych twoich zamków na lodzie możesz skwitować.

MAURYCY Broń Boże!

DZIĘDZIERZYŃSKI Rozumiem, że mogłeś projektować p a r d é s p é r a t i o n, ale...

MAURYCY Właśnie teraz chcę dać dowód pannie Paulinie, że ją kocham bezinteresownie.

DZIĘDZIERZYŃSKI M a i s p o u r q u o i?... Teraz ona cię już będzie kochać takim, jakim jesteś, możesz założyć ręce i nic nie robić. Ja zapracowałem tyle, że wystarczy dla moich dzieci i wnuków. (*po chwili*) A zresztą, skoro chcesz pracować dlatego, że z waszego majątku nic ci się nie okroi, to pracuj w Zabrodziu. Ja abdykuję, nie znam się na gospodarstwie.

MAURYCY Wstydzilibym się... Przyjść do gotowego, samemu nic nie wniosłszy... Co innego, gdybym mógł mieszkać w Czarnoskale.

DZIEŃDZIERZYŃSKI No to w Czarnoskale! Jeszcze lepiej, majątek rodzinny. Spłacimy tego twojego szwagierka, nawet jeżeli chcesz, zhipotekuję tę sumę na imię Poli, będziesz mi płacił procent.

MAURYCY Co za sztuka! To nie byłby dowód miłości, a ja muszę przekonać pannę Paulinę, że mi chodzi o nią, a nie o majątek. Zresztą, jak się pan będziesz opierał, to się zrzeknę chyba posagu.

DZIEŃDZIERZYŃSKI To to to... Sfiksowałeś wyraźnie, t u a s f i x é. Czy myślisz, że pozwoliłbym na to, żebyście siedzieli o głodzie i chłodzie? Cóż bym ja był za ojciec?

MAURYCY A ja co za mąż, gdybym nie potrafił własną pracą utrzymać żony?

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*zdesperowany*) No i gadajże tu z nim!

SCENA VIII

POPZEDZAJĄCY, WŁADYSŁAW.

DZIEŃDZIERZYŃSKI A, pan Władysław, jak się masz. (*ściska go, po czym Władysław ściska się z Maurycem*) Jesteśmy e n f a m i l l e, w całym komplecie; bardzo dobrze, bo rozsądzisz tu sprawę pomiędzy mną a tym upartym kozłem.

WŁADYSŁAW (*roztargniony, wyraża się lakonicznie*) On zawsze był takim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Wyobraź sobie: daję mu córkę, bez żadnych ograniczeń, ze wszystkim, co posiada i do czego ma prawo, a on stawia warunki, targuje się ze mną.

WŁADYSŁAW Chciwość?

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t? A wiesz co, że naprowadzasz mnie na myśl: to chyba chciwość (*Maurycy się śmieje*) Bo że się chce zrzec posagu, to gadanie... wie dobrze, że go i tak nie minie... Ale zachciało mu się jeszcze samemu robić majątek. Powiedział mu ktoś plotkę, której uwierzył, że ja zawsze prowadzę mój handel hurtowy, tylko pod inną firmą.

WŁADYSŁAW Dziwiłbym się panu.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*triumfująco do Maurycego*) A co! V o y e z — v o u s! (*do Władysława*) Ale nie wierz temu, to nieprawda.

WŁADYSŁAW Dziwiłbym się, gdybyś pan zmienił firmę. Po co?

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t? Ale czekaj no! Więc chce wejść ze mną w spółkę, stać za kantorem, zapisywać rachunki i świecić swoim nazwiskiem... Szlacheckie nazwisko mojego zięcia na szyldzie! Nigdy!

WŁADYSŁAW Ma rozum.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Szarzać się dla pieniędzy to rozum?

WŁADYSŁAW Najprzód, że to nie jest szarżaniem się; a potem, pieniądz jest wszystkim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Zgoda i na to. Więc niechże go nie lekceważy i bierze, kiedy mu da-
ję.

WŁADYSŁAW Przyjmować, gdy sam nic nie ma, byłoby zbyt wielkie ryzyko.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Jakie ryzyko? Pola bierze go jak jest, nie pyta... e l l e n e d e m a n
d e p a s... szaleje za nim, sam mi to powiedział.

MAURYCY A to kiedy?

WŁADYSŁAW Uczucie miłości jest przechodnim. Pannie Paulinie dziś może się zdawać, że
go kocha...

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*zły*) Zdawać, zdawać... jak się co zdaje, to widać, że tak jest, inaczej
jakże by się mogło zdawać?

WŁADYSŁAW Przypuśćmy. Ale czy pan wiesz, co się dzieje na dnie jej serca? Czy nie kieł-
kują tam maleńkie ziarnka wątpliwości? Gdzież dowód, że on nie gra roli zakochanego dla
interesu?

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*patrzy na Maurycego*) On?... Nie! To być nie może.

WŁADYSŁAW Dlaczego?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Najlepszy dowód, że dla niej chce głupstwo zrobić.

WŁADYSŁAW Więc pozwól mu pan na to głupstwo, chociażby na próbę. Jeżeli wytrwa...

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*po chwili*) Co z wami gadać! Wariaty... (*biorąc Maurycego pod
rękę*) Choć ze mną do ojca... chociażżeś pełnoletni, on zawsze ma nad tobą władzę... Jeżeli
na to pozwoli... no! (*na stronie*) Tak głupim przecie nie będzie.

MAURYCY Co bądź ojciec powie, stawiam panu dwa pewniki: od zamiaru mego nie odstą-
pię i pannę Paulinę mieć muszę.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Dobrze, dobrze. (*do Władysława*) Ty idziesz z nami?

WŁADYSŁAW Na chwilkę tylko, bo mam jeszcze do załatwienia parę interesów przed ob-
rędem. (*Dzieńdzierzyński z Maurycym wychodzą na prawo*)

SCENA IX

ŁECHCIŃSKA, WŁADYSŁAW.

ŁECHCIŃSKA (*która od kilku chwil czatowała we drzwiach z lewej strony, zatrzymując Władysława*) A! Złoto, srebro widziałam, a naszego pana Władysława już nie pamiętam kiedy, słowo daję.

WŁADYSŁAW (*ironicznie*) Skądże tyle łaski... naszego! Nie wiedziałem, że nas łączą jakie nici sympatyczne, i to do tego stopnia.

ŁECHCIŃSKA Nasz, nasz, bo nie ma godziny, nie ma minuty, żebyśmy z panną Gabriellą nie mówiły o panu. Już tak zaciętego człowieka, jak pan, nie widziałam w życiu, jak matkę kocham. Żeby się tak zawziąć, to niesłychane rzeczy. Ale ja mówiłam i perswadowałam, że pan przyjedziesz.

WŁADYSŁAW Zagadkowe słowa dla mnie.

ŁECHCIŃSKA To już tam nasza panna Gabriela panu wytłumaczy. Jeżeli się pan nie poczujesz do niczego, to tym lepiej... widać, że było nieporozumienie. (*ciszey*) Zatrzymaj się pan chwileczkę, zaraz tu wyjdzie, chce się z panem zobaczyć, tak sobie, sam na sam... Bo to dziś, przy tym rejwachu, trudno by było złapać dobrą sposobność... Momenciczek tylko. (*wychodzi na lewo*)

SCENA X

WŁADYSŁAW, *po chwili* GABRIELA.

WŁADYSŁAW (*sam*) Jak to! Mnie serce mogło jeszcze zabić?... Rzecz dziwna. Sądziłem, że to przejście uciszyło je na zawsze... Tłukło się w piersi, ale już tylko jak wyschnięty orzech w łupinie... (*po chwili*) Czy my moglibyśmy jeszcze być szczęśliwi? Czy byłbym w stanie zapomnieć jej bezlitosnego ze mną postępu?... (*po chwili*) Ha, ktoś wie, jak to było rzeczywiście? Może to był szczyt poświęcenia się, heroizmu, a teraz braknie jej odwagi i na mnie rachuje?... Ach, ta myśl...

GABRIELA (*wchodząc szybko w zarzutce na białym peniuarze, głowa ubrana; podaje mu obie ręce*) Władysławie! Jakże ci wdzięczną jestem, że przybyłeś.

WŁADYSŁAW (*po chwili, patrząc jej w oczy*) Zrobiłem to, co nakazywała prosta przyzwyczajoność.

GABRIELA Pokazałeś serce, o którym już zwątpiłam.

WŁADYSŁAW (*jak wyżej*) Mówisz szczerze?

GABRIELA Od tego dnia, w którym zagnana koniecznością zadałam sobie dobrowolnie okropny ból, nie widziałam cię prawie... zamknąłeś się w swoim samolubstwie... Tyś mnie chyba nie zrozumiał naówczas?

WŁADYSŁAW Nie przypominaj mi tej chwili. Kochałem cię i kocham jeszcze. Cios był straszny, ale świadczę się Bogiem, że sam przed sobą tłumaczyłem cię i chcąc ci ulżyć ciężaru poświęcenia sądziłem, że nic innego nie pozostawało mi, jak usunąć się zupełnie.

GABRIELA Władysławie, nie mogłam się zdobyć na tyle odwagi, żeby to uczucie, które nas łączyło, wystawić na próbę w walkach z powszednimi kłopotami. Idąc za innego poświęcam się dla rodziców, dla wymagań naszego położenia... ale... jedynych chwil, które mnie robiły szczęśliwą, nie zapomniałam... one zawsze są tu przytomne... Wyrwij je, jeżeli potrafisz, ucałuj ci ręce, ale to nie w twojej mocy!

WŁADYSŁAW (*pod wpływem jej spojrzenia*) Gabrielo!

GABRIELA Wiesz więc wszystko. Jeżeli z zimną krwią będziesz śledził moje miotania się w tych więzach narzuconych mi wyższym zrządzeniem, nie znajdując słowa pociechy, jednego spojrzenia, które by mi czyniło lżejszą tę walkę, dasz dowód...

WŁADYSŁAW (*porywając ją w objęcia*) Więc zerwij te więzy! Pójdźmy nie oglądając się na następstwa... Przy moim sercu cię utulę, zapomnisz o wszystkim, coś przeszła... ale otrząśnij stopy z tego kału, w który cię wepchnięto, uleć z niego aniołem czystym, godnym tego poświęcenia bez granic, jakie ci gotów jestem ślubować.

GABRIELA (*placząc*) Władysławie, jak ty mi utrudniasz drogę, i tak już pełną cierni.

WŁADYSŁAW (*po chwili, zimno*) Nie rozumiem cię, kuzynko... czegoż więc wymagasz ode mnie?

GABRIELA (*jak wyżej*) Poblężliwości! Rachowałam na to, że nie zapomnisz o nas, że będziesz moją podporą.

WŁADYSŁAW Lituję się nad tobą, biedna, zbłąkana kobieto... O, bo ty tego bardzo potrzebujesz.

GABRIELA Litości!... (*namiętnie*) Ja potrzebuję serca, nie litości!

WŁADYSŁAW (*surowo*) Moje jeden raz w życiu zabiło nadzieją, ale to dawno minęło. Twoja własna ręka uciszyła to bicie i dziś ja jestem sobie zwyczajnym człowiekiem oddychającym prozą, za jedyne bóstwo uznającym obowiązki, a owoc zakazany nie przestaje być dla mnie zakazanym, choćby tchnął najponętniejszymi obietnicami. To są rzeczy z nadto poetyczne dla prozaika, zbyt niskie dla człowieka honoru.

GABRIELA (*na stronie*) Boże!

WŁADYSŁAW Więc zapomnij o tym, co przed chwilą powiedziałem... Przepraszam cię za mimowolne uniesienie, była to prosta omyłka serca... źle zrozumiałem twoje słowa.

GABRIELA (*z dumą*) Więc zgrzeszyłeś, tłumaczając je w pośpiechu fałszywie. Rzuciłeś mi w twarz największą obelgę, jaką kobieta usłyszeć może. (*z płaczem*) Żegnam cię!

WŁADYSŁAW Gabrielo!

SCENA XI

GABRIELA, WŁADYSŁAW, STRASZ *wchodzi głębia.*

STRASZ (*w dobrym humorze, nacięty, ale się trzyma; we fraku i białym krawacie*) A, moja narzeczona... i kuzynka... (*do Władysława*) Dawno nie widzianego... (*do Gabrieli chcąc wziąć jej rękę*) A moja pani niech mi pozwoli jako zadatek należności, która wkrótce ma być spłaconą...

GABRIELA Przepraszam, widzisz pan, że jeszcze nie ubrana. (*na stronie wychodząc na lewo*) Jakżem okropnie ukarana.

STRASZ Bodaj to być kuzynkiem! Ma się prerogatywy zaprzeczane temu, który za chwilę będzie legalnym posiadaczem tylu wdzięków. (*na stronie*) Utałem mu nosa. (*głośno*) Cóż pan mówisz na to? Jużci pozwól, że mógłbym mieć słuszną pretensję. (*dobywa cygarnicę*)

WŁADYSŁAW (*do siebie*) Kocham ją i aniołem stróżem jej będę. (*wychodzi na prawo*)

SCENA XII

STRASZ, *później* ZUZIA.

STRASZ (*sam, rzuca się na kanapę*) Niegrzeczny... nawet się nie odezwał i wyszedł sobie bez ceremonii... Ale poczekajcie wszyscy! Wezmę ja was w takie kluby, że mnie poczujecie. Hołota! Świecące próchno! W moim własnym mieszkaniu będą mi robić impertynencję!... (*po chwili*) Znadto pozwoliłem sobie przy tym śniadaniu, ale należało pożegnać kawalerskie życie... No, niby tak koniecznie żegnać, to nie, bo niegłupim się ograniczać... Walerce dam dymisję chyba wtenczas, gdy mi się przeje... (*po chwili*) Co mnie ta kobieta kosztuje!... Ale mi nie żal, bo wszyscy zazdroszczą. Większy kłopot miałem z odmówieniem jej temu generałowi niż z pozyskaniem żony — arystokratki... tu sami do mnie leźli. (*Zuzia przechodzi z lewej strony ku prawej, niosąc zawinięcie w serwecie*) Zuziu, chodź no tu!...

ZUZIA Nie mam czasu.

STRASZ (*tupiąc nogą*) Co to jest: nie mam czasu!... Jestem twój pan, rozumiesz?... Chodź tu zaraz!

ZUZIA Niosę bieliznę panom. A co pan chce ode mnie?

STRASZ Chcę ci popatrzeć w oczy.

ZUZIA Można z daleka.

STRASZ Kiedy stąd nie widzę... Nawet dotychczas nie wiem, jakie masz: czarne czy niebieskie?

ZUZIA (*śmiejąc się*) Bure... (*wchodzi Kotwicz*) Ach! (*wybiega na prawo*)

SCENA XIII

STRASZ, KOTWICZ.

KOTWICZ (*na stronie*) Spłoszyłem ich. (*zbliża się z miną dyplomatyczną*)

STRASZ A, pan hrabia... cóż tam? (*po chwili, pociągając go na kanapę*) Siadaj, stary łobuzie.

KOTWICZ Cicho! (*ogłada się*)

STRASZ Mój drogi, nie bądź faryzeuszem.

KOTWICZ Ale bo ty czasami jesteś zanadto sobie s a n s f a ç o n s.

STRASZ Ech, (*uderza go mocno po udzie*) bądź, jakim jesteś... Czego się to oblekać w baranią skórę... Każdy powinien mieć odwagę swoich przekonań... Ty innym jesteś ze mną w cztery oczy, a za innego chcesz uchodzić przy ludziach... Gdy cię karmię i poję u Francuza albo gdy się włóczymy całymi nocami po knajpach, jestem twoim bożyszczem.

KOTWICZ Cicho!

STRASZ Cha! cha! cha! Znałem podobnego świętoszka, który lubił dobrze żyć, a nie miał za co.

KOTWICZ Podobno zanadto dziś piłeś. (*chce wstać*)

STRASZ (*przytrzymując go*) Piłem, ale nie do ciebie, więc nie urażaj się... nie jednemu psu łysek... Więc tedy ten... jakże mu tam... miał swoich amfitrionów, z którymi całe noce się łądaczył, był z nimi „per ty”... tak jak my... ale strzegł się pokazywać w ich towarzystwie w jasny dzień... tak na przykład w Saskim Ogrodzie po sumie. Miał inne znajomości nocne, a inneienne. Słuchaj no, czy ty mnie traktujesz jako nocną, pokątną znajomość?

KOTWICZ Aleś ty się, widzę, ululał naprawdę... A to ładnie, w dzień ślubu.

STRASZ Nie bój się o mnie... Daj no mi wody.

KOTWICZ (*wstaje i nalewa z karafki*) Muszę ci służyć jak dziecku...

STRASZ Nieprawda! Dziecku byś tak nie służył... bo nic by ci z tego nie przyszło. (*pije*)
Cukry i wino przynieśli?

KOTWICZ Jest wszystko.

STRASZ Pewnoś znowu rozdał z parę rubli na piwo, bo ty lubisz szastać z cudzego.

KOTWICZ (*wąchając dym z cygara, które pali Strasz*) Jakieś dobre cygaro... nie masz tam jeszcze z jednego?

STRASZ (*dając mu cygarnicę*) Na, masz... czerp... weź sobie z parę do kieszeni, znaj pana.

KOTWICZ Gdzieżeście tak bomblowali?

STRASZ Wyprawiałem śniadanie tym wyżeraczom... na pożegnanie stanu kawalerskiego.

KOTWICZ Ale fe! (*śmiejąc się*) Na pożegnanie! (*po chwili*) Kobiety były?

STRASZ Jak myślisz?

KOTWICZ Walerka? (*uderzając go*) Hultaj! (*po chwili*) Ale słuchaj no, z tym szambelanikiem trzeba by jakoś...

STRASZ Co trzeba by?

KOTWICZ Bój się Boga, on goły jak święty turecki... daj mu co odczepnego.

STRASZ Mój kochany, złapaliście mnie i doicie już do ostatniego. Czy myślisz, że tak ciągle będę na to pozwalał?

KOTWICZ O, znowu nie fanfaronuj!

STRASZ Co, nie złapaliście mnie?

KOTWICZ Daj no pokój! Tak między nami mówiąc, zyskujesz pozycję, wchodzisz w koligacje.

STRASZ Tego towaru za miły grosz zawsze dostanie.

KOTWICZ Ale piękność okrzyczana... wszyscy ci zazdroszczą, możesz się pysznić.

STRASZ Koczkodana bym nie wziął. Za swoje pieniądze powinienem zaimponować. Płacę, do milion diabłów, gotówką, i tandety nie chcę.

KOTWICZ No, no, no! Tylko się nie gorączkuj.

STRASZ To nie błażnuj.

KOTWICZ Zapominasz się.

STRASZ Jeżeli ci się zdaje, że pijany, to się grubo mylisz. Jestem przy zdrowych zmysłach, zdrowszych niż wy wszyscy. Możecie mnie naciągać, ale tylko do pewnego stopnia... to sobie powiedziałem, bo golizny się boję jak zarazy. Przychodzi mi to na myśl, ile razy patrzę na was... Ty, na przykład, wyrzucałeś pełnymi garściami, a dziś w łapę byś mnie pocałował za kilka rubli.

KOTWICZ Widzę, że z tobą dziś nie ma co gadać. (*wstaje*)

STRASZ (*przytrzymując go*) Siedź!... Jak się będziesz dąsał, to nic nie wskórasz. Stary zostawił mi tyle, że mogę sobie dużo pozwolić, ale żeby mi wszystko puścić, to nieglupim... gołego za psa nie mają... (*po chwili*) Jakem był dependentem u adwokata...

KOTWICZ (*na stronie*) Teraz się wygada... (*głośno*) Dependentem, ty?

STRASZ Nie wiedziałeś? Stary kazał mi praktykować, ale na utrzymanie nic nie dawał, obiecując gruszki na wierzbie... Nałamałem sobie nieraz głowy, skąd wykręcić na ogródki i baliki... ale to mnie nauczyło wartości pieniędzy.

KOTWICZ Cóż to za stary? Papka?

STRASZ Gdzie tam papka... wujaszek!... Papki nigdy nie znałem... (*innym tonem*) Miałem tylko matkę... to była męczennica.

KOTWICZ A! Więc ty jesteś wychowany przez mamę... pieszczoszek, gagatek... teraz się nie dziwię niczemu.

STRASZ (*ponuro, wstając*) Gagatek! Prawda, byłem gagatkiem, kochała mnie... a ja... ja bo, trzeba ci wiedzieć, nikogo nie kocham i w nic nie wierzę, ale to w nic co się nazywa, prócz pieniędzy... ale ją kochałem... to jest teraz tak mi się zdaje, bo dopóki żyła, zatruwałem jej życie. Jak zapamiętam, siedziała po całych dniach i nocach przy maszynie... szyla i płakała... pracowała na mnie, bo ja ostatni grosz jej wyciągałem na hulanki... Dopiero gdy umarła, zrobiło mi się jakoś głupio na sercu... napadła mnie jakaś nienawiść do ludzi, którzy się nad nią znęcali... szalona chęć odwetu... (*chodzi*)

KOTWICZ Alboż ten wuj nie przychodził wam wcale pomóc?

STRASZ Co, wuj? Brudny sknera, dbał o nas tyle, co pies o piątą nogę.

KOTWICZ Przecież dał dowód pamięci, zapisując ci taki ładny majątek.

STRASZ Cha! cha!... zapisując! Ani mu się śniło, tylko kipnął nagle i mnie się dostało, jako jedynemu krewnemu... Szkoda tylko, że matka tego nie doczekała... byłbym miał satysfakcję patrzeć, jak by jej się nisko kłaniali ci wszyscy, którzy najbardziej zalewali sadła za skórę... Tak jak mnie... dawniej potracali jak psa, dziś kochają... Cha! cha! cha!... (*biorąc Kotwicza w objęcia*) Kochasz mnie? (*ściska go gwałtownie*) Bardzo? Póki funduję, co? (*odpycha go*) Pieniądz to dobra rzecz... Przepraszam cię, ale kto go trwoni, ten osioł.

KOTWICZ (*na stronie*) Pijany jak bela... (*głośno*) Więc kiedy masz, to nie bądźże egoistą... z szambelanice...

STRASZ Czegoż on chce? Dajcież mi raz pokój. Czarnoskała już moja, ponabywałem długi, których było tyle, że mu się niewiele należy.

KOTWICZ No, widzisz, niewiele, ale zawsze coś... Powinno ci też chodzić o to, żeby ludzie nie gadali, żeś z niego korzystał. Ja wiem, żeś ty na tym zarobił. Później się tam będziecie rachować po familijnemu, a tymczasem daj mu co... zamkniesz mu usta.

STRASZ Ileż on chce?

KOTWICZ Ja ci powiem: daj mu kredyt na jakie parę tysięcy i będziesz miał spokojną głowę.

STRASZ (*dobywa z pugilaresu weksel, idzie do biurka; na stronie*) Ostatni raz to robię, ale po ślubie...

KOTWICZ (*zaglądając przez ramię*) Tysiąc rubli... cóż to znaczy!

STRASZ Więcej ani grosza... (*daje mu weksel*) Masz i nie nudźcie mnie. (*Kotwicz się ociąga*) A przede wszystkim pozwólcie mi się przedrzemnąć choć chwilę, bo będzie skandal, jak chrapnę przy ołtarzu. (*rzuca się na kanapę*)

KOTWICZ A nie zaśpijże, bo to już niedługo. (*wychodzi na prawo*)

SCENA XIV

STRASZ, MICHAŁEK, później ZUZIA.

STRASZ (*rozwiązując krawat, do Michałka, który wszedł przed chwilą*) Miszel!

MICHAŁEK Słucham jaśnie pana.

STRASZ Daj mi wody. Co tam robią?

MICHAŁEK Gdzie?

STRASZ (*wskazując na lewo*) Tam! Panie...

MICHAŁEK (*podając wodę*) Ubierają się... nie wpuszczają nikogo.

STRASZ To dobrze, zamknijże drzwi na klucz. (*Michałek odniósłszy szklankę, zamyka drzwi*) Tamte, do panów, także. (*Michałek zamyka na prawo*) Gdyby mieli do siebie interes, to są drugie wyjścia na korytarz. (*po chwili*) I sam się wynoś, bo ja się muszę prześpać. Ale pilnuj mi przy drzwiach i zwracaj każdego, co by chciał wejść.

MICHAŁEK (*całując go w rękę*) Miałem jeszcze mały interes do jaśnie pana.

STRASZ Teraz! Czyś zgłupiał?... Później!

MICHAŁEK Kiedy później pan będzie czym innym zajęty, a tymczasem Zuzia spokojności mi nie daje.

STRASZ A, Zuzia! Cóż Zuzia?

MICHAŁEK Zobaczyła w magazynie jakiś kaftanik i zachciało jej się go koniecznie na dzisiejszy fest... chce się w nim pokazać przy gościach.

STRASZ Więc co?

MICHAŁEK Chciałem prosić jaśnie pana o kilka rubli.

STRASZ Co parę dni jej coś sprawiasz, nie przyzwyczajaj ją do tego, bo sobie potem nie dasz rady.

MICHAŁEK To jaśnie pan ją tak popsuł... teraz dufa w jaśnie pana i jak się czego naprze, tak nie ma gadania.

STRASZ No, no, mniejsza o to... masz! A kupże jej coś ładnego.

MICHAŁEK (*na stronie*) Będzie widziała! (*głośno*) Nie trzeba jaśnie panu nic więcej?

STRASZ Nie trzeba. (*po chwili, na pół drzemiąc*) Jak będą gotowi, to przyjdź tu... (*Michałek wychodzi głębią; sam*) Na wszystkie strony się opłacać... ale przynajmniej człowiek pan! Robi, co mu się podoba... Ach, te pieniądze... bez nich, co ja bym znaczył. (*pukanie na prawo*) Jest! Nie pozwolą mi zasnąć.

ZUZIA (*za sceną*) Któż znowu te drzwi zamknął?

STRASZ Zuzia, daję słowo! (*biegnie i otwiera, Zuzia wchodzi*)

MICHAŁEK (*wraca głębią*) A ty tu po co? Nie mogłaś przyjść przez korytarz? Jaśnie pan chce się przespać.

ZUZIA Nie wiedziałam.

MICHAŁEK Chodź. (*wyprowadza ją, zamyka drzwi za sobą*)

STRASZ Bodajeś diabła zjadł... (*kładzie się na kanapie*)

Z a s ł o n a s p a d a

AKT CZWARTY

Dekoracja aktu drugiego.

SCENA I

SZAMBELANIC w zszarzanym szlafroku chodzi mierzonymi krokami; SZAMBELANICOWA siedzi na kanapie, dłoń na czole obwiązany chustką, przy końcu sceny ŁECHCIŃSKA.

SZAMBELANICOWA (*po chwili milczenia*) A, jużes też sobie postąpił bez żadnej rozwa-
gi... jestem bardzo ciekawa, co teraz będzie!

SZAMBELANIC Ale nie żałuj, proszę cię. Lepiej, że się to stało teraz, anizeli gdyby później,
już po czasie, były z tego... jakie...

SZAMBELANICOWA Zapomniałeś o naszej sytuacji.

SZAMBELANIC Nie miałem czasu zastanowić się, zanadto byłem oburzony. Przyjeżdżać na
swoją własny ślub pijanym jak bydlę! Prosto z knajpy, gdzie afiszował się z jakimiś flądra-
mi!... Cóż to znowu?! Takie lekceważenie naszego domu!

SZAMBELANICOWA Można było zwrócić na to uwagę w inny jakiś, delikatniejszy spo-
sób... byłby się zreflektował.

SZAMBELANIC Nie mogłem, powiadam ci! Wszystko ma swoje granice... Co on sobie ro-
zumiał, błazen jakiś! Za honor, którego dostępował łącząc się z naszą córką?

SZAMBELANICOWA Co do tego, masz rację. Ale zapytam się, czy pora bawić się w zby-
teczną drażliwość, gdy nam grozi ruina i gdy może przyjść chwila, że staniemy się celem
ludzkich uragań.

SZAMBELANIC Celem uragań! My, Czarnoskalscy!

SZAMBELANICOWA Jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy, więc nie potrzebujemy fanfaro-
nować. Jakież masz przed sobą widoki?

SZAMBELANIC No, najprzód, Maurycy się żeni.

SZAMBELANICOWA Przyznam ci się, że bardzo mało spodziewam się z tego korzyści...
Zupełnie co innego, gdyby Gabriela poszła za Strasza: nie potrzebowaliśmy się stąd ru-
szać, bylibyśmy u siebie, bo chociaż ponabywał twoje długi, pozostawiłby je na Czarno-
skale, nie tratowałby przecie rodziców żony.

SZAMBELANIC To wszystko prawda, ale są pewne względy, których bezkarnie naruszać nie wolno. *(po chwili)* Dlatego bardzo mi się to nie podobało, że Kotwicz pozostał z nim w Warszawie... zwłaszcza jeżeli to zrobił za waszym wpływem, co mogę przypuszczać.

SZAMBELANICOWA Może nam być przydatnym, nawet rachuję na to i powiem otwarcie, że jeżeli na twoje żądanie odesłałam Straszowi wszystko, co ofiarował Gabrieli jako prezenta przedślubne, to tylko w tej nadziei, że to z tryumfem powróci do nas.

SZAMBELANIC Nie przyjmę, chyba się ukorzy i jawnym przeproszeniem da mi zadosyćuczynienie. Potrzebuję rękojmi jego dobrej wiary.

SZAMBELANICOWA A ja nie uspokoję się, póki się ten stosunek nie naprawi. *(bolejąca)* Nie wyobrazisz sobie, co się ze mną dzieje od czasu tego twojego skandalu... Coraz ze mną gorzej... nerwy mam tak rozstrojone, że co chwila drzę i czegoś się obawiam, jak gdyby coś okropnego wisiało nad nami... Zdaje mi się, że nie jestem już u siebie, że nas stąd wyrzuca, że lada chwila piorun w nas uderzy!

SZAMBELANIC *(siadając przy niej)* Ale moja droga, tylko sobie nie przypuszczaj do głowy takich rzeczy... są tysiączne środki... *(na stronie)* Jak ja się boję tych jej nerwów...

SZAMBELANICOWA Miej też wzgląd na mój stan! *(gorączkowym ruchem porywa jego rękę i całuje)*

SZAMBELANIC Zrobię, co się da, bez ujmy moim zasadom... i bez narażenia przyszłego losu naszej córki.

SZAMBELANICOWA Napraw to jakimkolwiek sposobem!... Coś zaturkotało... Ach, to woźny! Woźny albo komornik!... Przeczuję, jestem pewną!... Weź mnie stąd... Ach, ja nie przyjdę do siebie, póki będę miała powody do niepokoju.

SZAMBELANIC *(na stronie)* Dobryś!... *(głośno)* Hej, jest tam kto?... Łechcińska!... *(Łechcińska wchodzi z lewej strony)* Proszę odprowadzić panią... *(idzie do okna)* Kotwicz! Pewno z jaką misją... nie gadam z nim. *(odchodzi na prawo)*

SZAMBELANICOWA Ach, ach!... *(z ręką na sercu)* Tu!... Tu!... *(do Łechcińskiej po odejściu męża, innym tonem)* Zobacz, kto to przyjechał.

ŁECHCIŃSKA *(spojrzawszy w okno)* Hrabia!

SZAMBELANICOWA Przyprowdźże go do mnie *(odchodzi na lewo)*

SCENA II

ŁECHCIŃSKA, *po chwili* KOTWICZ.

ŁECHCIŃSKA *(sama)* Hrabia! Ach, jakżem ciekawa... Może się jeszcze wszystko naprawi, bo to przecie sensu nie ma, jak matkę kocham... Żeby też mieć tak mało oleju w głowie i

samo chcąc zniechęcać takiego milionera, to nie do uwierzenia! Staremu to już klepki w głowie się porujnowały, słowo daję... Czego to dać, kiedy nie ma w co?... Nie wiem, gdzie znajdą lepszą partię... (do Kotwicza, który wchodzi) No? no? no?

KOTWICZ Co? co? co?... No nic... przyjechałem.

ŁECHCIŃSKA Od Strasza? z Zagrajewic?

KOTWICZ Nie, z księżyca.

ŁECHCIŃSKA No i cóż? Będzie z tego co?

KOTWICZ E!

ŁECHCIŃSKA No?

KOTWICZ Pojedynek!

ŁECHCIŃSKA Jezus!

KOTWICZ Dwa pojedynki.

ŁECHCIŃSKA Rany boskie!

KOTWICZ Czy tu jest Maurycy?

ŁECHCIŃSKA Skądże? Wszak został w Warszawie z Dzieńdziejczyńskimi.

KOTWICZ Przecie wiem o tym... ale spodziewałem się, że tu jest.

ŁECHCIŃSKA Czy to on ma się strzelać?

KOTWICZ A Władysława tu nie było?

ŁECHCIŃSKA I on?

KOTWICZ Obadwaj, a ja jestem sekundantem ze strony Strasza.

ŁECHCIŃSKA Jakże to było? Bójcie się Boga!

KOTWICZ Jak? Głupio, bez sensu... trzeba było mu się dać wyspać, i kwita.

ŁECHCIŃSKA Ja też to zaraz powiedziałam.

KOTWICZ (*siada na kanapie; Lechcińska przy nim poufale, on się zrywa*) Wystaw pani sobie, jak mu stary zrobił tę scenę, chłopcu naturalnie było przykro.

ŁECHCIŃSKA Co mu się dziwić.

KOTWICZ I powiedział tam coś... jak to w żalu.

ŁECHCIŃSKA Komu?

KOTWICZ Swoim... no... jużci trochę zanadto, że go łapali, to, owo, że sobie z nich nic nie robi, że tej łaski dostanie wszędzie za swoje pieniądze... e t c e t e r a... Dosyć, że się to rozeszło.

ŁECHCIŃSKA Aha!

KOTWICZ Maurycy, jak to posłyszał, posłał mu zaraz sekundanta.

ŁECHCIŃSKA (z wybuchem) Wariat!

KOTWICZ Przepraszam, to znowu co innego... Przyznaję, że nie trzeba było doprowadzać do tej ostateczności, ale jak się już stało, Maurycy nie mógł postąpić inaczej.

ŁECHCIŃSKA Więc cóż będzie?

KOTWICZ Ano, pukanina, i to niemała, bo i Władysław ze swojej strony, tak że jeden o drugim nie wiedział, podobnie go wyzwiał.

ŁECHCIŃSKA (*oburzona*) A ten znowu czego się wtrąca?... No, przecież państwo, to już teraz z tym wszystkim kaput! A stara tak jest pewna, że się to jeszcze da naprawić. Jezus! Co się to z nimi teraz zrobi... Ja już tego wszystkiego mam póty! Dosyć się nawysługiwałam i głodu namarłam... trzeba o sobie pomyśleć!... Ale że to hrabia się w to wplątał... Sekundować! W imię Ojca i Syna!...

KOTWICZ Widzi pani Łechcińska, to była dyplomacja, umyślnie to zrobiłem... Byłem pewny, że zdołam doprowadzić do porozumienia... tymczasem nadspodziewanie napotkałem u Strasza taki upor barani, tyle determinacji, że wszystkie moje projekta w łeb wzięły.

ŁECHCIŃSKA To tak rozdrażniać kogo... Nie wiadomo, jaki diabeł w kim siedzi.

KOTWICZ Przynajmniej tyle zrobiłem, że pojedynek ma się odbyć tu w pobliżu, w lesie na granicy Zagrajewic.

ŁECHCIŃSKA I cóż z tego?

KOTWICZ Można by spróbować jeszcze jednego środka... Gdyby pani Łechcińska szepnęła o tym tak coś od siebie kobietom... wy czasem miewacie pomysły... Może by się dało urządzić jakąś dywersję, sprowadzić scenę rozczulającą, która by naprawiła dobre stosunki.

ŁECHCIŃSKA Jak matkę kocham, dobry koncept... A hrabia sam nie pójdzie do pani?

KOTWICZ Nie wypada mi.

ŁECHCIŃSKA I kiedyż się to ma odbyć?

KOTWICZ Zaraz... (*patrząc na zegarek*) za godzinę.

ŁECHCIŃSKA Jezus! I nie było to wcześniej powiedzieć.

KOTWICZ Niedawnośmy przyjechali, ledwo się mogłem wymknąć cichaczem... (*znowu patrzy na zegarek*) Muszę jeszcze wrócić po niego... umyślnie będę zwlekał.

ŁECHCIŃSKA Lecę, biegnę... (*oglądając zegarek*) Ale do jakiego hrabia zegarka przyszedł, fiu fiu!

KOTWICZ Spieszże się pani.

ŁECHCIŃSKA Ktoś zajechał. (*idzie do okna*) A, to Dzieńdzierzyński z córką... także już wrócili z Warszawy... To dobrze, będzie sukces... Jezus! Jak się panna Paulina dowie! (*wychodzi na lewo*)

SCENA III

KOTWICZ, *po chwili* DZIĘNDZIERZYŃSKI, POLA.

KOTWICZ Wlazłem w kabałę, diabli wiedzą, po co... potrzeba mi to było?... Ale któż mógł przewidzieć, że będzie taki twardy. Może Dzieńdzierzyński na to poradzi, jak mu córka zacznie robić sceny... Najpewniej na niego rachuję.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*wchodząc zdejmując z Poli okrycie; wesoło*) Niechże pani hrabina pozwoli usłużyć sobie.

POLA (*podobnie*) Niechże papka ze mnie nie żartuje.

DZIĘNDZIERZYŃSKI No to pani szambelanowa.

POLA I do tego tytułu nie mam prawa.

DZIĘNDZIERZYŃSKI To trudno, ja cię muszę koniecznie tytułować... Będiesz wkrótce Czarnoskalską, tak jakbyś już nią była, a przecie Czarnoskalscy... (*sposzrzega Kotwicza*) A, pan hrabia, witamy... Powiedz mi, cóż tu słyhać?

KOTWICZ Nie widziałem się z nikim.

DZIĘNDZIERZYŃSKI C o m m e n t?

KOTWICZ Przyjeżdżam prosto z Zagrajewic.

DZIĘNDZIERZYŃSKI (*krzywiąc się*) Z Zagrajewic? Cóż wy tam macie jeszcze z Zagrajewicami? Spodziewałem się, że już skończone z tym Straszem... Znadto się zblamował...
i l s' e s t t r o p b l a m a n g é.

KOTWICZ Są jeszcze pewne stosunki.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Jakie? Pieniężne? (*do Poli, która poprawia włosy w zwierciadle*) Idźże do szambelanówny, proszę cię... ona może słaba. (*Pola wychodzi, do Kotwicza*) Pieniężnych stosunków żadnych z nim już nie mają, ponabywałem wszystkie te sumy pod cudzym, (*z dumą*) wykupiłem Czarnoskałę dla mojego zięcia... Tylko cicho sza, niech nikt o tym nie wie... przyjdzie czas. Tymczasem co innego hrabiemu powiem: musiałem mu pozwolić na jeden wybryk, bo to ci wielcy panowie mają zawsze swoje chimery. Wystaw sobie hrabia, mojemu zięciowi zachciało się bawić w kupca.

KOTWICZ Ale, fe!

DZIEŃDZIERZYŃSKI Zupełnie jak nieboszczykowi memu dziadkowi. Co ja z nim przeszedłem, to na wołowej skórze by nie spisał, ale nareszcie ułożyło się jakoś. Zakładamy dom komisowy rolników z trzech powiatów... będzie wilk syty i owca cała. Chociaż się będzie handlować tym i owym, to jakoś zachowa się d e c o r u m. To teraz w modzie... najpierwsze nazwiska dają na takie rzeczy firmę. Co innego zwyczajny sklep. Uważa hrabia, jak to będzie dobrze brzmieć: „Czarnoskalski, Dzieńdzierzyński i Spółka”... Spółka, to się zna czy akcjonariusze... obywatelstwo trzech powiatów... będzie solidarność... Tylko ja miałem ochotę, żeby było: „hrabia Czarnoskalski”, ale się uparł i nie chciał. Powiedz mi hrabia, dlaczego oni się tytułują tak samo, jak wy?

KOTWICZ Dlatego, że nie mają tego prawa, co ja.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale to być nie może, c’ e s t i m p o s s i b l e! Po jakimuż tu?... Ja muszę tego koniecznie dojść; nie ma najmniejszego sensu, żeby ludzie, już nie mówię jednego nazwiska, ale z tej samej rodziny, tak się różnili.

KOTWICZ Czy z Maurycym rzeczy już ułożone?

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t?

KOTWICZ No, niby z panną Pauliną.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Możemy sobie już mówić: kuzynie. (*całuje go*)

KOTWICZ Bardzo by mi było przyjemnie, ale... jeszcze kto wie? Czy pańska córka go kocha?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Co za pytanie! N a t u r e l l e m e n t, że go kocha... i jak! Oboje się kochają.

KOTWICZ Tym gorzej... (*tajemniczo*) Gdyby do pana coś doszło przypadkiem o nim, zachowajcież to przy sobie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t?

KOTWICZ W sekrecie przed panną Pauliną.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Nie rozumiem kuzyna.

KOTWICZ Maurycy ma dziś pojedynek.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*przerazony*) C o m... c o m m e n t? (*pada na kanapę*) W oczach mi pociemniało... Po... pojedynek?... Dziś?... (*po chwili, słabym głosem*) Z kim?

KOTWICZ Ze Straszem.

DZIEŃDZIERZYŃSKI E!

KOTWICZ Co „e!”?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Kpiny. Z nim? (*wstaje*)

KOTWICZ Z nim.

DZIEŃDZIERZYŃSKI On by się miał pojedynekować? Jakiś dependent, który miał do czynienia tylko z piórkiem i z knajpą?

KOTWICZ Ja sam nie spodziewałem się spotkać w nim tyle odwagi i zimnej krwi... Pokazało się, że jest gotów na wszystko.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale o cóż im poszło?

KOTWICZ Jak to, pan nie wiesz?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Wiem, że mu pokazano drzwi, i bardzo dobrze zrobiono... Nie może mieć o to pretensji.

KOTWICZ Innego był zdania; mszcząc się zbeczczył rodziców niedoszłej żony i Maurycygo wyzwał.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Maurycy! Co za szaleństwo, jemu nie wolno się narażać... mógłby zginąć.

KOTWICZ Nic niepodobnego. Jako wyzwany, Strasz ma pierwszy strzał, a strzela podobno a r t e; odgrażał się z fanfaronadą, że trupem położy napastnika.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Trupem! (*łamiąc ręce*) Kuzynie!

KOTWICZ Kto wie, czy nie za wcześnie jeszcze ten tytuł, panie Dzieńdzierzynski.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Na Boga! Żeby przypadkiem Pola o tym się nie dowiedziała.

KOTWICZ To panu nie wskrzesi zięcia, jeżeliby zginął.

DZIEŃDZIERZYŃSKI V o u s a v e z r a i s o n!... (*chodzi; po chwili*) Trzeba koniecznie znaleźć na to jaki sposób... Kiedyż ma być to spotkanie?

KOTWICZ (*patrzając na zegarek*) Fe, jak to czas leci... Do widzenia, nie chciałbym się spóźnić.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Dokądże?

KOTWICZ Na plac.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Po co?

KOTWICZ Jestem sekundantem Strasza.

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t? Hrabia jego sekundantem?

KOTWICZ Nie mogłem mu odmówić... nie miał nikogo. Zresztą lepiej, że się to odbędzie pomiędzy nami... potrzebną jest tajemnica.

DZIEŃDZIERZYŃSKI I gdzież to ma być?

KOTWICZ Na granicy Czarnoskały i Zagrajewic... w lesie... na Pustkowiu.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Tam, gdzie niedawno znaleźli wisielca?... Wiem, słyszałem, ma być bardzo dzikie ustronie... Cóż za miejsce obrali!

KOTWICZ Chciałeś pan, żeby się strzelali na dziedzińcu? I tak jest ryzyko... Wszystko przygotowane do natychmiastowego wyjazdu za granicę w razie nieszczęścia... (*odchodząc*) Proś pan Boga, żeby do tego nie przyszło... Ale nie powiem, żebym miał dobre przeczucie. (*odchodzi głębia*)

SCENA IV

DZIEŃDZIERZYŃSKI, *potem POLA.*

DZIEŃDZIERZYŃSKI Jeżeli on ma złe przeczucie, cóż dopiero ja!... Co zrobić?... (*chodzi prędkimi krokami*) Gdyby moje usposobienie na to pozwalało, sam bym tam pojechał i rozbroił tych szaleńców... przymusił, żeby sobie dali pokój... Nawet gotowem to zrobić... ale nuż nie zechcą mnie słuchać, dostałbym się pomiędzy pistolety, musiałbym być poniewolnym świadkiem spotkania... dziękuję za to. (*chodzi jak wyżej; po chwili*) Gdyby tak było bliżej do miasta, poleciałbym do powiatu i wziął stamtąd strażnika ziemskiego, na takich półgłówków nie ma innej rady. Ale gdzież! Nim tam zajadę, to już będzie po wszystkim. (*patrzy machinalnie na zegarek; nagle*) Ale, mam, b o n! Wszakże tu jest gmina, wójt... leć do niego o pomoc... Niech będzie co chce... powiązać ich jak baranów... (*szuka kapełusza*)

POLA (*wchodząc prędko z lewej strony, splakana*) Papko!

DZIEŃDZIERZYŃSKI Czego chcesz? Nie mam czasu... Dlaczego odchodzisz od szambelánówniej?

POLA (*z płaczem*) On ma się strzelać.

DZIĘDZIERZYŃSKI A! Wiesz już o tym? Nie bój się, właśnie idę po wójta.

POLA Po wójta? A to po co?

DZIĘDZIERZYŃSKI *S a v e z — v o u s q u o i, c' e s t b o n!* Po co? Mam pozwolić, żeby się działy takie bezprawia? Puść mnie, bo będzie za późno, mogę go nie zastać.

POLA Papka chyba żartuje.

DZIĘDZIERZYŃSKI Dajże mi pokój, wiem, co robię.

POLA Ależ to niepodobna! Papka się nie zastanowił.

DZIĘDZIERZYŃSKI Ona chce, żebym ja się teraz zastanawiał! Ty wiesz, że ja nie jestem masło maślane, co pomyszę, to robię w powietrzu... Tu tylko energia może wszystko uratować.

POLA I ja tak samo sędzę, ale niech papka jedzie sam.

DZIĘDZIERZYŃSKI Sam? A cóż ja tam sam poradzę?

POLA Jak papka z energią zaprotestuje przeciwko tak nieludzkiemu załatwieniu zajścia... wszakże pojedynek jest przesadą, pozostałością barbarzyńskich czasów.

DZIĘDZIERZYŃSKI Bardzo to pięknie, ale prawdopodobnie nie będą sobie nic robić z mojego gadania. Ludzie stający do pojedynku to są tygrysy, wściekłe zwierzęta.

POLA O, papa dobędziesz z głębi swojego serca siłę przekonywającą.

DZIĘDZIERZYŃSKI Na co się to zda?... Ja wole jechać z wójtem.

POLA Na to nigdy nie pozwolę.

DZIĘDZIERZYŃSKI Sam nie pojedę.

POLA Jeżeli papka nie pojedzie, ja to przechoruję... dostałam takiego bicia serca na tę wiadomość...

DZIĘDZIERZYŃSKI (*płaczliwie*) Polu!

POLA Ach! niech papka się spieszy! Prędzej... Na samą myśl, że tam może on już stoi pod wymierzoną ku sobie lufą pistoletu...

DZIĘDZIERZYŃSKI (*na stronie*) I ja mam na to patrzeć! (*głośno*) Ale nie imaginuj sobie...

POLA Jakże nie imaginować, alboż to żarty?

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*do siebie, zafrasowany*) Co ja pocznę!

POLA Ja wiem, że papka na to poradzi... nie tłumaczę sobie w tej chwili jak, ale wierzę, że będzie dobrze... Sama ta myśl mnie uspokaja, zdaje mi się, że przy papce nic mu się złego nie stanie.

SCENA V

POPZEDZAJĄCY, SZAMBELANIC.

SZAMBELANIC (*wchodząc z prawej strony, ubrany*) A to co? Dokądże sąsiad?... Ledwo przyjechałeś, jeszcześmy się nie przywitani, i już odjeżdżasz?

POLA (*żywo, do ucha ojcu*) Cicho! On pewno o niczym nie wie.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*podobnie*) To może by mu powiedzieć, pojechalibyśmy we dwóch.

POLA (*jak wyżej*) Nie można! Przecie to o syna chodzi, po co go niepokoić.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*do Szambelanica*) Z jedynaczkami nie ma rady... Kazała i ojciec musi słuchać. Jadę... do domu.

SZAMBELANIC Po co?

DZIEŃDZIERZYŃSKI O, nie ma co gadać... (*po chwili, tajemniczo*) Zapomniała chustki do nosa.

SZAMBELANIC Cha! cha! cha!

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale za godzinkę będę... do widzenia. (*na stronie*) Jadę jak na ścięcie.

SZAMBELANIC Proszę dotrzymać słowa, mamy tysiące rzeczy z sobą do mówienia.

SCENA VI

POLA, SZAMBELANIC.

SZAMBELANIC Cóż to za tajemnicę papka upozorował ową chusteczką?

POLA (*pomieszana*) Sama nie wiem.

SZAMBELANIC A co znaczyła apostrofa do jedynaczek? Widocznie musiało mieć miejsce jakieś nadużycie posiadanej władzy. (*bierze jej rękę i pieszcząc się z nią*) Pieszczotka, ty-

ranek domowy... *(na stronie)* Jaką ona ma rasową rączkę! *(głośno)* Czy to tak i z mężem będzie?... Co?... Ale... a cóż się robi z Maurycem? Może także został użyty do podobnie ważnej misji?

POLA *(jak wyżej)* Nie wiem... sądziłam, że pana Maurycego już tu zastaniemy.

SZAMBELANIC Nie widzieliśmy go od czasu wyjazdu do Warszawy... miał z państwem przyjechać. *(po chwili)* Cóż to, łezki w oczach? *(po chwili)* Może był nieposłusznym?... *(Pola wybucha płaczem, zdziwiony)* O!... *(na stronie)* Cóż to znaczy? *(po chwili, głośno)* Panno Paulino, czy mogę wiedzieć przyczynę tych łez?

POLA *(powściągając płacz)* Ale nic... żadna przyczyna... tak mi nie wiedzieć skąd przyszło... miewam często takie napady.

SZAMBELANIC A, nerwy!... *(na stronie)* A to wiesz mu przyjemności w pożyciu... sprząc je obie razem z moją żoną... *(głośno)* Proszę się uspokoić, zaprowadzę pannę Paulinę do Gabrieli.

POLA O! niech się pan nie fatyguje, pójdę sama. *(odchodzi na lewo; we drzwiach spotyka się z Łechcińską)*

SZAMBELANIC *(do Łechcińskiej)* Panna Paulina słaba.
(na jego znak Łechcińska odprowadza Polę)

SCENA VII

SZAMBELANIC, *po chwili* ŁECHCIŃSKA.

SZAMBELANIC *(sam)* Poswarzyli się widocznie... one wszystkie jednakowe. No, koniec końców był duet, teraz przybywa trzeci głos, będzie tercet... Uciekać z domu, słowo uczciwości!

ŁECHCIŃSKA *(wracając)* Pan nic nie wie, co się dzieje?

SZAMBELANIC Spazmy i beki, gdzie się obrócić.

ŁECHCIŃSKA Ale o pojedynku... nic?

SZAMBELANIC O jakim pojedynku?

ŁECHCIŃSKA Pana Maurycego.

SZAMBELANIC *(żywo)* Z kim?

ŁECHCIŃSKA Z przyszłym szwagrem? Niedoszłym chyba. Proszę! Więc się obraził... Nie przypuszczałem u niego tyle ambicji.

ŁECHCIŃSKA Alek kiedy to pan Maurycy go wyzwał.

SZAMBELANIC A, skoro pan Maurycy, to co innego... Musiał mieć powód, chociaż za wiele mu zrobił honoru. (*do siebie*) To na pewno tego płakała, biedaczka... a ja ją posądziłem o kaprys.

ŁECHCIŃSKA Pan mówi o tym, jakby o czym najzwyczajniejszym... Jezus!... (*po chwili*) Przecie temu trzeba koniecznie zapobiec.

SZAMBELANIC (*ironicznie*) Nie może być! Takeście uradziły?

ŁECHCIŃSKA Pani, i tak już cierpiąca, gdy się o tym dowiedziała, dostała spazmów... Pan nie był przy tym... okropny atak!

SZAMBELANIC O, wierzę ci na słowo. Ale skądże ta wiadomość? (*patrzac na nią*) Czy też to ktoś przypadkiem plotki nie skomponował?...

ŁECHCIŃSKA O, już wiem, co pan ma na myśli, nie trzeba mi mówić... Łechcińska, wszystko Łechcińska... tymczasem Łechcińska nic na wiatr nie mówi... (*tajemniczo*) Sama się widziałam i rozmawiałam z sekundantem tamtego.

SZAMBELANIC A to gdzie?

ŁECHCIŃSKA Tu... w tym samym miejscu.

SZAMBELANIC (*zdziwiony*) Był tu?... I cóż to za figura?

ŁECHCIŃSKA Nasz hrabia!

SZAMBELANIC Kotwicz? Cha! cha! cha! Sekundantem Strasza? Niepodobna!

ŁECHCIŃSKA Niech się pan śmieje, tak, tak, a oni się tam może teraz w najlepsze zarzynają. Gdyby, czego Boże broń, przyszło do jakiego nieszczęścia, pani się rozchoruje na dobre.

SZAMBELANIC Ale moja Łechcińska, wyperswaduj sobie, że na to nie ma sposobu; chyba- bym sam stanął w miejscu Maurycego.

ŁECHCIŃSKA Ale kiedy to już nie o to chodzi... Chociażby nawet mieli sobie nic nie zrobić, pan powinien nie dopuścić do pojedynku, bo inaczej nie zreperuje się to, co się posuło... Pan tej bagateli nie chce zrobić dla pani?

SZAMBELANIC (*zniecierpliwiony*) Dajże mi pokój, proszę cię; co się tobie w to mieszać.

ŁECHCIŃSKA (*urazona*) Tak! Więc już Łechcińskiej nic do tego!... Ha, niechże i tak będzie... to za moje szczerze serce, które miałam zawsze dla państwa... Tylko pan mi nie weźmie za złe, że poproszę o obrachunek z tych dziesięciu lat, a za jedną drogą o oddanie tego kapitaliku, który panu pożyczyłam.

SZAMBELANIC A tobie co po pieniądzach?

ŁECHCIŃSKA Potrzeba mi.

SZAMBELANIC Teraz? Gdy podobno wygrywasz proces z sukcesorami referendarza? Byłem pewny, że mi dasz jeszcze i to.

ŁECHCIŃSKA Chybabym też rozumu nie miała!

SZAMBELANIC U mnie byłoby im bezpieczniej niż w twojej własnej kieszeni.

ŁECHCIŃSKA Pan ze mną komediasy wyprawia, słowo daję... Zapewne, że nie kłopotałabym się, gdyby pan był nie zrobił pani na złość i pana Strasza tak nie zmaltretował... Byłby i kredyt, i wszystko... Ale kiedy tak się stało...

GABRIELA (*wchodząc z lewej strony, do Lechcińskiej*) Proszę do mamy... prędko!

ŁECHCIŃSKA Oho! (*półgłosem*) Niech pan będzie łaskaw postarać się, skąd chce... ja nie mogę już patrzeć dłużej na to wszystko. (*odchodzi na lewo*)

SCENA VIII

GABRIELA, SZAMBELANIC.

GABRIELA (*idzie prędko do Szambelanica i całuje go w rękę*) Mój ojczel!

SZAMBELANIC Moja Gabrielciu, tylko proszę cię, żadnych scen melodramatycznych, bo... co się stało, to się stało.

GABRIELA Nie. Ja przychodzę tylko przeprosić ojca za to, że z mojego powodu byliście narażeni na tyle nieprzyjemności i na taki zawód. Mama wyrzucała mi to już gorzko, ale sądzę...

SZAMBELANIC Cóż ci matka wyrzucała?

GABRIELA Że nie miałam taktu w zachowaniu się z narzeczoną i że nie potrafiłam go przywiązać do siebie. (*z wybuchem płaczu, zsuwając się ojcu do kolan i ściskając je*) To było nad moje siły! Zdawało mi się, że jestem skazaną na śmierć!

SZAMBELANIC (*żywo, podnosząc ją*) Zakazuję ci myśleć o nim!... A! Odetchnąłem, gdy tak się rzeczy mają!... Ja myślałem, że ty mi chcesz robić wyrzuty o to zerwanie, i... miałem do ciebie żal... czy pretensję... sam nie wiem, jak to nazwać, ale byłem niekontent z ciebie.

GABRIELA O, bo też zawiniłam!

SZAMBELANIC No, już to oboje nie mamy czystego sumienia i moglibyśmy sobie niejedną zrobić wymówkę... Lepiej porozumiejmy się. (*prowadzi ją na kanapę*) Widzisz, mnie tak te interesy przycisnęły, że nieraz musiałem się przenieść temu, co powinno było li-

czyć się dla mnie do artykułów wiary. Niech kto do mnie wyciągnął choćby najbrudniejszą łapę, byle z paczką banknotów, gotów byłem ją uścisnąć, chociaż wewnątrz coś mi się burzyło na to... Pieniądz jest wielką potęgą, dając człowiekowi możliwość utrzymania się na wysokości swoich zasad, i zaczynam wierzyć, że największą ze zbrodni, źródłem wszystkich innych, jest trwonienie go bezmyślnie, bo tylko wyjątkowe natury zachowują godność w niedostatku. Masz przykład: byłem zagrożony sekwestracją, wtem ten się zjawiał jako wybawca... I cóż? Tego człowieka, na którego bym kiedy indziej nie spojrział, posadziłem na pierwszym miejscu przy stole... z musu odegrałem z nim niską komedię, (żywo) bo świadczę się Bogiem, że mi wówczas ani przez myśl nie przeszło to, co się później stało.

GABRIELA O, ja sobie tego przebaczyć nie mogę... ale z początku widziałam to zupełnie inaczej; mama, nie powiem, żeby mnie zmuszała, ale przedstawiła mi to w takim świetle... (żywo) a głównie przyczyniła się do tego Łechcińska.

SZAMBELANIC O, ta baba!

GABRIELA Byłam zbląkaną... Powinam była, poznavszy go, od razu przyjąć, jak na to zasługiwał, bo czułam do niego wstręt... na każdym kroku obrażał moje najdelikatniejsze uczucia... O, co ja wycierpiałam!

SZAMBELANIC Biedaczka.

GABRIELA (z płaczem rzucając mu się w objęcia) Ja dla was robiłam tę ofiarę, ale czułam, że mi braknie siły.

SZAMBELANIC Czemużeś mi się nie zwierzyła, byłbym się postawił względem niego tak, żeby i nie zamarzył o zbliżeniu się do ciebie... (wstając, żywo) Błazen jakiś!... dziecko chciał mi zaprzepaścić! (po chwili) Przebac mi, to moja wina, powinienem był to spostrzec... tym bardziej że od razu mi się to nie podobało, ale byłem egoistą, przyznaję się do tego... przy tym słabym, bezsilnym... Może nawet nie chciałem widzieć... myślałem sobie, że potrafi ci się podobać, więc byłem kontent, że to... jakoś... interesa się poprawią... Oj, te pieniądze...

GABRIELA (nagle) Ach! Mnie to wszystko rozum odebrało!... Gdy sobie wspomnę... (zastania oczu rękami)

SZAMBELANIC No, cóż jeszcze? Uspokój się... już się skończyło.

GABRIELA Jak mogłam zdobyć się na podobny krok z nim... to było chyba z rozpacz! On miał prawo mną pogardzić!

SZAMBELANIC Kto?

GABRIELA (z płaczem) Władysław.

SZAMBELANIC Nie rozumiem.

GABRIELA Ojczy drogi, myśmy się kochali... Najlepszy, najszlachetniejszy z ludzi, i ja dobrowolnie, odrzuciłam te skarby serca, jakie mi ofiarował, z zimną krwią zadałam mu taki ból i jeszcze, jakby mało tego było... (szlocha; po chwili) Co on sobie o mnie pomyślał!

SZAMBELANIC (*po chwili*) No więc pójdiesz za niego, skoro tak. Dumnym będę z takiego zięcia... Najprzód, Czarnoskalski, a potem... on dojdzie wysoko, ja to czuję... Jedyne człowiek, który może podnieść świetność naszego rodu... Maurycy przy nim... e!... Zdolność uniwersalna, obrotność w interesach... Bo cóż on miał zaczynając? A dziś, jak już stoi...

GABRIELA I strzela się mojego powodu!

SZAMBELANIC On? Mówiono mi o Maurycym.

GABRIELA Obaj go wyzwali.

SZAMBELANIC Tak? Pierwsze słyszę.

GABRIELA Ach, gdyby on miał zginąć!...

SZAMBELANIC Ale nie bój się, nie bój... nauczą tego błazna rozumu, i cała rzecz. Cóż ty myślisz, pojedynek... Ja w młodych latach strzelałem się trzy razy i żyję... chociaż niewiele brakowało... patrz, widziałas ten znak od kuli? (*pokazuje na policzku*)

GABRIELA Nie wiedziałam, że to w pojedynku... sądziłam...

SCENA IX

POPZEDZAJĄCY, POLA, po chwili DZIĘNDZIERZYŃSKI, później SZAMBELANICOWA i ŁECHCIŃSKA.

POLA (*wbiegając z lewej strony, do Gabrieli*) Papka wrócił! (*biegnie do drzwi środkowych*)

GABRIELA (*niespokojna*) Sam?

SZAMBELANIC (*wesoło*) A, przywiózł chusteczkę, może teraz się uspokojemy.

POLA (*odpowiadając Gabrieli*) Zdaje mi się, że sam... o Boże! Co się tam stało? Cała drzę.

SZAMBELANIC Więc gdzież jeździł?

GABRIELA (*jak wyżej*) Na plac.

SZAMBELANIC Na plac? Papka! A to po co? (*wchodzi Dzieńdzierzyński drżący i blady*)

POLA (*biegnąc do niego*) Cóż?

DZIĘNDZIERZYŃSKI Na Boga! Pomocy, ratunku, szarpi!

SZAMBELANIC Jak to?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ciężko raniony, jeżeli nie zabity.

POLA (z krzykiem) Maurycy?

GABRIELA (podobnie, równocześnie) Władysław?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Tak!

SZAMBELANIC Więc któryż?

DZIEŃDZIERZYŃSKI No, powiedziałem, Maurycy! Alboż tam był i Władysław?

SZAMBELANIC Mój syn!

GABRIELA Mój brat!

POLA Ach! (mdleje)

SZAMBELANICOWA (która przed chwilą weszła, wsparta na Łechcińskiej) Ach! (słabnie)

DZIEŃDZIERZYŃSKI (pochwyciwszy Polę w objęcia) Polu! Moje dziecię!

ŁECHCIŃSKA (sadzając Szambelanicową na kanapie, z wyrzutem do Szambelanica) A co! mówiłam, prosiłam... zapobiec, póki był czas... (płacze mocno)

SZAMBELANIC (z mocą) Moja pani, powiedziałem: milcz i nie wtrącaj się do rzeczy, które do ciebie nie należą. Proszę mi przynieść kapelusz i laskę.

ŁECHCIŃSKA (wychodząc, na stronie) O, poczekaj!

SZAMBELANIC (idzie do okna) Konie stoją. (do Dzieńdzierzyńskiego) Może jest jeszcze ratunek? Jakżeż to było?

DZIEŃDZIERZYŃSKI Zaraz, niech zbiorę siły... jestem tak zdenerwowany, rozebrany... j e s u i s t o u t à f a i t d é s h a b i l l é... (siada; po chwili) Przyjeżdżam na miejsce... furman powiada: to tu!... Pustkowie... okropna, dzika ustron... wysiadam, patrzę... Maurycy przekrada się przez gęstwinę... chciałem na niego zwołać, ale coś mi stanęło w gardle... nie mogłem.

SZAMBELANICOWA (z kanapy, tonem wyrzutu) Ach, panie Dzieńdzierzyński!

DZIEŃDZIERZYŃSKI No, nie mogłem... (wstając) Wtem po chwili... rrrym! jak wypali z pistoletu...

SZAMBELANIC Kto?

DZIEŃDZIERZYŃSKI No, Strasz... tuż mnie pod nosem... nawet nie wiem, czy imaginacja, ale przysiągłbym, że jedno ziarnko trafiło mnie tu gdzieś w klapę od surduta. (szuka)

SZAMBELANIC Cóż sąsiad gadasz? Śrutem strzelali z pistoletów? (*ogłędając się*) Ta nie wraca.

DZIEŃDZIERZYŃSKI C o m m e n t?... A prawda! No to musiało mi się zdawać.

SZAMBELANIC (*niecierpliwie*) Ale cóż dalej? (*Łechcińska przynosi mu kapelusz i laskę*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI Natychmiast, już nie ogłędając się, wskoczyłem na bryczkę i przyleciałem pędem wiatru... po pomoc...

SZAMBELANIC (*rozgniewany*) Samemu nic nie zrobiwszy!... A, to winszuję sąsiadowi zimnej krwi.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Mnie? Zimnej krwi?... A wiecie państwo, to sławne! Czyż szambelan nie widzisz, że się cały trzęsę?

SZAMBELANIC Ale tym sposobem to nawet sąsiad nie jesteś pewny, co się stało.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Padł, padł... to jest fakt.
(*Maurycy wchodzi głębią i zatrzymuje się we drzwiach*)

SZAMBELANICOWA (*z płaczem*) Mój syn?

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*płacząc*) Mój zięć, tak! Szambelanie, na Boga, śpiesz! (*tuląc Polę*)
Moja biedna córko!

SCENA X

POPZEDZAJĄCY, MAURYCY.

SZAMBELANIC (*który chciał wyjść*) A to co? (*wstrzymuje śmiech ogłędając się na Dzieńdzierzyńskiego*) Cóż ten twój papka tu nagadał?

MAURYCY (*pocałowałszy ojca w ramię, zbliża się do Dzieńdzierzyńskiego*) Nieskończenie wdzięczny panu jestem za to, żeś mnie zrobił nieboszczykiem, bo miałem sposobność przekonać się, że byłbym żalowanym, gdyby naprawdę... (*całuje w rękę Polę*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*osłupiały*) C o m m e n t!... Ty żyjesz?

MAURYCY Mówisz pan takim tonem, jakby cię to nie cieszyło. (*całuje go*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*machinalnie*) Jak się masz?

POLA (*z wyrzutem do ojca*) Ach, papko, jakże można było mnie tak zatrwożyć!

MAURYCY (*idzie do matki siedzącej na kanapie i całuje ją w rękę*) Witam mamę.

SZAMBELANICOWA (*całując go w głowę*) Nie mogę przyjść do siebie. (*do Dzieńdzierzynskiego*) Przyznam się, że żartować sobie w ten sposób z uczuć rodzicielskich nie godzi się.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale pani szambelanowo dobrodziejko, ja temu nic nie winien... Jeżeli ten żyje, to chyba Władysław padł... musiałem się omylić.

MAURYCY (*całując się z Gabrielą*) Najzdrowszy w świecie... inaczej, czyżbyście mnie tu widzieli?

GABRIELA (*cicho*) Przyjedzie tu?

MAURYCY Odjechał do domu. (*wraca do Poli, Gabriela odchodzi na bok, zamyślona*)

DZIEŃDZIERZYŃSKI No to ja już nic nie rozumiem.

SZAMBELANIC (*śmiejąc się*) Koniecznie sąsiad uwziął się wyprawić jednego z nich na tamten świat, bo to jest!

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale za pozwoleniem... p e r m e t t e z m o i.

SZAMBELANIC Jakże się z tego wytłumaczysz?

ŁECHCIŃSKA (*do Szambelanicowej, cicho*) To jakaś intryga.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Na Boga, sądzicie mnie... było tak...

SZAMBELANIC (*półgłosem do Dzieńdzierzynskiego*) Mnie się zdaje, że było trochę strachu i widziało się to, czego nie było... Już to ziarnko śrutu wydało mi się podejrzanym.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale szambelanie, jakże można przypuszczać... c o m m e n t p e u t — o n...

SZAMBELANIC Ze strachu, ze strachu.

DZIEŃDZIERZYŃSKI Ale pozwólcieź mi mówić... Któż był wyzwany? Strasz, prawda? Więc któż miał prawo pierwszy strzelić? On!... A jak drugiego strzału nie było, cóż mogłem wnosić, no?... Śmiejcież się teraz.

SZAMBELANIC Byłoby z czego, bo pokazuje się, żeś sąsiad nie miał serca sprawdzić rzeczy naocznie. (*śmiejąc się*) C o m m e n t p e u t — o n?

DZIEŃDZIERZYŃSKI No, felczerem nie jestem.

SZAMBELANIC (*do Maurycego*) Ale jakżeż się to odbyło? Bo teraz na serio nie wiem, co myśleć.

MAURYCY Ojczy, smutno mówić... (*spostrzegając wchodzącego Kotwicza*) Ale oto jego sekundant... niech go się ojciec spyta.

SCENA XI

POPZEDZAJĄCY, KOTWICZ.

SZAMBELANIC No, masz nam zdać relację.

KOTWICZ Nie ma się o czym rozgadywać... Dureń!

SZAMBELANIC Nie może być! Poznałeś się na nim nareszcie?

KOTWICZ A jak się to odgrażało! Co to jest, gdy kto nie ma zasad wyssanych z mlekiem!
Nie stanął wcale.

SZAMBELANIC (*półgłosem*) Czy to czasem nie twoja robota? Miałeś jakąś naradę z Łechcińską.

KOTWICZ Ale gdzież tam! Pojechałem stąd prosto po niego, ale nie zastałem go już... ciepło, gdzie co było... Wyjechał za granicę, zostawiwszy list, z którym posłał na plac fagasa. Złożyliśmy go w kilkoro i wbili kulą w drzewo.

MAURYCY (*śmiejąc się*) To Władysław tak się na nim zemścił.

SZAMBELANIC (*podobnie do Dzieńdzierzynskiego*) Sąsiedzie, do listu strzelali... (*Dzieńdzierzynski chodzi; do Kotwicza*) I cóż tam w nim było?

KOTWICZ Zbłąźnił się do reszty... Sens moralny był ten, że ponieważ załatwianie spraw honorowych za pomocą kuli uważa za głupotę, przeto jedzie przewietrzyć się do Paryża.

MAURYCY Skąd ma nam nadesłać napisaną przez siebie broszurę przeciw pojedyńkom — cynizm posunięty do ostateczności.

DZIEŃDZIERZYŃSKI (*chodząc*) No, co w tym, to ma rację... bo też to głupstwo pierwszej klasy.

SZAMBELANIC Ale mają w tej kwestii głos tylko ludzie nieposzlakowanego honoru, a nie lada jakiś tam szuja.

SZAMBELANICOWA (*do Łechcińskiej*) Niedobrze mi, odprowadź mnie... położę się.

GABRIELA (*smutna*) Pójdziemy z mamą.

SZAMBELANIC (*do ucha Gabrieli, całując ją*) Bądź dobrej myśli... obadwa z Maurycym dołożymy wszelkich starań... żeby... rozumiesz mnie... (*Gabriela całuje go z uczuciem*)

POLA (*do Maurycego*) Odprowadźmy mamę. (*biegnie do niej*)
(*wychodzą na lewo: Szambelanicowa, Gabriela, Pola, Maurycy i Łechcińska; Kotwicz siada na kanapie*)

SZAMBELANIC *(po chwili do Dzieńdzierzynskiego, stając przed nim)* No cóż, sąsiadku, serce bije jeszcze?... Cha! cha! cha! Nie chciałem przy wszystkich zanadto brać cię na fundusz, ale słowo uczciwości, warto było.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Szambelanie, trzeba wszystko uwzględnić...Skąd ja mogłem wiedzieć, że jego tam nie było?

SZAMBELANIC Należało się przekonać.

DZIĘNDZIERZYŃSKI Ten strzał zbił mnie z tropu... Nie uwierzy szambelan, jaki ja jestem nerwowy... dla mnie patrzeć na krew to jest... męka Tantala.

SZAMBELANIC Nie może być! Cha! cha! cha!... Paradny sąsiad jesteś. Na tę mękę zaaplikuję sąsiadowi lekarstwo... Mam tam jakąś zakonserwowaną butelczynę prawdziwego tokaju...napijemy się po lampeczce... co?

DZIĘNDZIERZYŃSKI No, to — to z gustem.

SZAMBELANIC Chodźmy.
(wychodzą na prawo)

SCENA XII

KOTWICZ *(sam; siedzi na kanapie; po chwili milczenia)* Dureń jakiś... rachowałem na pewno, że będę miał wygodny ką u niego w Zagrajewicach... tymczasem diabli wzięli... A tu znowu nie warto dłużej popasać, skoro, rzecz prosta, muszą się wziąć do oszczędności... *(po chwili, wstając)* Ha! Łechcińska wygrywa proces, podobno najpraktyczniej będzie z nią skończyć... widocznie tak chciało przeznaczenie... Brrr! Ofiara bo ofiara, ale czas też już nareszcie człowiekowi przestać być pasożytem... na cudzej łasce... *(chodzi)*

Z a s ł o n a s p a d a

DZIKA RÓŻYCZKA

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE

OSOBY

PAN RADOMIR
PANI RADOMIROWA
KAROLINA, ich wnuczka
RÓZIA, jak wyżej
PANNA IZYDORA, ciotka Karoliny i Rózi
STEFAN TOLICKI
HRABIA BRUNON ŚCIBORZYCKI
DOROTA, mamka Rózi
KOCIUBA, jej mąż

Rzecz dzieje się w r. 1880 na wsi, w Kongresówce, u państwa Radomirów.

Pokój w domu wiejskim skromnie umeblowany; drzwi w głębi i po obu bokach; z prawej strony od widzów okno; na lewo dwa fotele i stolik; na prawo kanapka, krzesła itd.; z tejże strony w głębi stolik, na którym fajka, tytoń i zapalki.

SCENA I

KOCIUBA; po chwili DOROTA.

KOCIUBA (*wchodzi od prawej strony, niosąc tacę z filiżankami do czarnej kawy, potem staje spoglądając na lewo*) Dobryś!... Będą siedzieć do wieczora przy stole, a tu kawa już dawno gotowa... Co im się dziś stało? (*ustawia filiżanki na stoliku, potem idzie ku drzwiom po lewej stronie*)

DOROTA (*wychodząc stamtąd, żywo*) Słyszysz, stary, ciesz się! Dobra nowina!

KOCIUBA Co za nowina?

DOROTA Z pewnością musiał się już nareszcie oświadczyć; nosiłam teraz starszej pani tabakierkę ze świeżą tabaką, to żadne ani spojrzęło; przysięgłabym, że mnie nie widzieli... nic, tylko ściskają się, całują i płaczą. Oczywiście, już przecie raz koniec.

KOCIUBA I! Bo tobie się zawsze coś przywidzi.

DOROTA Ho, ho! Nie darmo śniło mi się onegdaj, że jadłam flaki i targowałam cielę.

KOCIUBA (*na stronie*) Głupia baba.

DOROTA A wiadome rzeczy, że co się śni dziesiątego, to się musi sprawdzić najdalej do trzeciego dnia... tak stoi w senniku.

KOCIUBA No, dobrze, ale cóż to znaczy, jak się śnią flaki i cielę?

DOROTA Cielę, wielka radość.

KOCIUBA O!

DOROTA A flaki podróż na ślub.

KOCIUBA E! (*na stronie*) Głupia baba.

DOROTA A do tego jeszcze dziś nad ranem przyśniła mi się panna Karolina z wąsami, a to już na pewno mąż.

KOCIUBA I, co mi to za osobliwość pan Tolicki.

DOROTA Proszę! A cóżeś ty chciał lepszego?... Chłopiec jak malowanie, patrzy w nią jak w święty obrazek i pieniędzy ma pełne kieszenie. Nasza Karolcia będzie sobie panią całą gębą.

KOCIUBA O jej! I u nas było kiedyś państwo całą gębą, a jeżeli teraz cienko, to każdy wie, dlaczego...

DOROTA Zawsze ja powiadam, że uklęknąć i Panu Bogu podziękować... Ot, szkoda tylko, że ojciec i matka nie doczekali onej pociechy.

KOCIUBA Ba! Żeby to oni byli żyli, nie bylibyśmy w takiej poniewierce, inaczej byśmy śpiewali... hej! hej! Mój Boże... Jakbym na nich patrzył... Ciągłe ich mam przed oczami, chociaż to już temu kilkanaście lat. (*po chwili*) Zdaje mi się, że to jakoś dziś czy jutro będzie rocznica tego sądnego dnia, jak...

DOROTA Cicho! Cicho! Jezus Maria... niech cię ręka Boska broni, żebyś się z tym odezwał przy starszym państwu... Proś Boga, żeby zapomnieli.

KOCIUBA Nie zapomną oni i tak, póki żyć będą.

DOROTA Oj, że nie zapomną, to nie zapomną, zapewne — ale Pan Bóg się opiekuje sierotami... Starsza znalazła już swojego, to teraz przyjdzie kolej na moją Różyczkę... pan Tolicki jest w przyjaźni z hrabią ze Ściborzyc, czy nawet jego krewny, to z pewnością nam go tu ściągnie.

KOCIUBA Oj, ty głupia! Myślisz że z tej mąki byłby chleb?... Akurat!

DOROTA A to czemu nie? Niech ino zobaczy raz naszą jagódkę, to będziesz widział, jak się zadurzy... jeszcze gorzej niż pan Stefan w pannie Karolinie.

KOCIUBA Olaboga! Niby to dla niego nowalia ładna dziewczyna... miewa on ich takich samych mendlami po folwarkach.

DOROTA Co?! Takich samych jak nasze złotko? A ty, poganinie, jak się Boga nie boisz, żeby przyrównywać.

KOCIUBA Ja tylko mówię, że on takich rzeczy wcale nie ciekawy... żeby tak było, toby już dawno był przyjechał... (zobaczywszy Rózię) ale cicho! Panienska idzie.

SCENA II

POPZEDZAJĄCY, RÓZIA.

RÓZIA (*wbiegając z lewej strony w podskokach i klaszcząc w ręce*) Mameczko, koniec, koniec; jak babcię kocham, oświadczył się! (*bierze ją w objęcia i wykręca*)

DOROTA (*do męża*) A co, nie mówiłam?

KOCIUBA (*do Rózi, która wykręciła się z nim tak samo*) Panienko! A to do czego!

RÓZIA Tak jestem kontenta... przecie raz już ustana te ciągle szloch, które mi spać nie dały po nocach, chociaż niby kryła się z nimi przede mną... ale ja widziałam i słyszałam.

DOROTA Bo to wszystko przez plotki tych najukochańszych przyjaciółek... Że nie poszcęściło się jednej i drugiej złowić dla siebie pana Tolickiego, to nie mogły darować Karolci, że im go zabiera sprzed nosa i przewracały jej w głowie, wygadując na niego niestworzone rzeczy... Co się tu dziwić, że się biedactwo gryzło.

RÓZIA E! Grymasy chyba. Przecie od razu było widoczną rzeczą, że się rozkochał na śmierć... Ot, i teraz, przy oświadczynach, kiedy wszyscy rozczulali się, moja kochana siostrzyczka zrobiła minę taką jakąś nijaką, jak gdyby chciała powiedzieć: — Cóż mi tam z tego! — Ciekawam bardzo, po co te komedie, skoro go kocha, bo wiem o tym bardzo dobrze... Chybaby się bała, żeby tego nie spostrzegł... ale cóż by to szkodziło? Nie ma czego się wstydzić. (*trzpiotowato*) Jak babcię kocham, zdaje mi się, że gdyby mnie taki ładny i przyzwoity chłopiec oświadczył się, nie uważałabym na nic, tylko skoczyłabym mu na szyję i wyściskała bez ceremonii.

KOCIUBA A to kto widział!... Paniencie... tfy!

RÓZIA Jest! Stary mantyka... Tylko nie powtórzciez tego, co powiedziałam, na miłość Boską, szczególnie przed ciocią... bo już i tak mam zawsze co słuchać.

DOROTA (*do męża*) Co ty tam wtrącasz, kiedy się nie rozumiesz na takich rzeczach... Przecie narzeczony, to już jak mąż...

KOCIUBA Ale zawsze...

DOROTA (*do ucha Rózi*) Dostaniesz i ty swojego, jagódko... nie bój się... Będziecie mogli się ścisnąć, ile wam się podoba.

RÓZIA E! Kiedy to tam będzie!

DOROTA (*jak wyżej ścisnąc ją*) Tylko patrzeć! Powiadam ci, że już jakbyś była hrabiną.

RÓZIA (*zatykając jej usta*) Mameczko!

DOROTA Tak, tak, wszystko teraz będzie dobrze, kiedy ten zostanie twoim szwagrem... wszakże on żyje z hrabią za pan brat.

RÓZIA Więc cóż z tego?

DOROTA Jak to? nie rozumiesz? Przywiezie ci go tu... a czego więcej potrzeba... reszta sama się zrobi.

RÓZIA Nie wiem, jakim sposobem.

DOROTA Jakim sposobem?... Masz ty takiego wabia w tych swoich ślepkach, że choćby nie chciał...

RÓZIA Jak w tej bajce o uroczych oczach, którą mi opowiadałaś?... O! Zapewne... A dla-czegóż wtenczas, wiesz, w kościele, ani spojrział na mnie, chociaż ja oczu z niego nie spuszczałam... Nie wie nawet, jak wyglądam... Patrzył całkiem w inną stronę, szkaradnik... Żeby się był choć raz obejrzał... Mameczko, żebym ja miała takie oczy, jak ty powiadasz...

DOROTA Masz, masz, i nie bój się, nie przepadło... Zejdziecie się wy jeszcze, a wtenczas zobaczysz... (*Rózia, usłyszawszy wchodzących, zatyka jej usta*)

SCENA III

POPRZEDZAJĄCY, RADOMIROWA, STEFAN, prowadzący ją pod rękę, wchodzi z lewej strony; za nimi RADOMIR, kulejący nieco; podpierają go z jednej strony: IZYDORA, z drugiej KAROLINA.

IZYDORA (*prowadząc Radomira ku fotelowi; do Kociuby*) Janie, kawa.

KOCIUBA Zaraz, zaraz.

RADOMIR Czekaj no ciotka... (*wołając*) Kociuba!

KOCIUBA (*zatrzymując się*) Słucham.

RADOMIR (*siadając w fotelu przy stoliku*) Kawa kawą, ale swoją drogą dajcie... panie dobrodzieju... wina.

KOCIUBA (*patrząc na Izydore*) Wina?

IZYDORA (*prędko, na stronie, do Kociuby, dając mu klucz*) Jest tam jeszcze jedna butelka w drugiej piwnicy, schowana we framużce za słoikami, rozumiesz?

KOCIUBA Przynieść ją?

IZYDORA No, naturalnie... Czy nie słyszałeś, co starszy pan powiedział?

KOCIUBA To już ostatnia.

IZYDORA Ach, jakżeś nudny... Idź!

DOROTA A ja pójdę tymczasem po kawę. (*wychodzi z mężem na prawo*)

RADOMIR Musimy przecie, panie dobrodzieju, uczcić ten wypadek, wypić zdrowie narzeczonej pary.

RADOMIROWA (*którą Stefan posadził w drugim fotelu*) Żebyś sobie tylko nie zaszkodził, kochanku.

RADOMIR Jejmość chce mnie gwałtem wziąć w kuratelę. (*rozpierając się w fotelu*) Mój nieboszczyk dziad, brygadier Radomir, miał lat wtenczas, panie dobrodzieju, jak mnie mój ojciec odwoził do wojska... bo byliśmy obydwaj czynni, tylko że ojciec jako już wtenczas dymisjonowany kapitan, był przeznaczony na komendanta placu... w tym... jakże się nazywa... bodajże cię...

RÓZIA (*która uklęknęła przy nim, słuchając*) W Radomiu.

RADOMIR Aha! W Radomiu... A ja poszedłem do piątego pułku, co był świeżo wysztyftowany... więc, czekajcież, ja miałem, panie dobrodzieju, wtenczas dwadzieścia dwa, a dziadek był o sześćdziesiąt lat ode mnie starszy, to miał przeszło osiemdziesiąt... a ja teraz mam... (*do Izydory*) Ciotko, ile to ja mam lat?

IZYDORA (*nalewając kawę, którą przyniosła Dorota*) Jegomość zacznie dopiero siedemdziesiąty trzeci.

RADOMIR No, to widzicie... on miał osiemdziesiąt dwa, a byłby przez kamienicę przeskoczył... (*pije kawę*)

RÓZIA Co też dziadzio mówi...

RADOMIR Jak cię kocham... to tacy ludzie dawniej byli, panie dobrodzieju.

RÓZIA A to ładnie mnie dziadzio kocha.

RADOMIR No? Jak to?... A!... Widzicie ją... Będzie mnie łapać za słówka... Że jaśnie pani, to myśli, że już jej wszystko wolno.

RÓZIA Dziadzio zawsze żartuje sobie ze mnie.

RADOMIR No, wszakże masz być hrabiną; Dorota powiada, że cię to nie minie.

IZYDORA (*strofując*) Jegomość! Jegomość...

RADOMIR (*żartobliwie*) Moja ciotko, wiemy wszyscy, że każdy jej sen, to proroctwo, a przecież jej się to śniło... Ale do czegoż ja to prowadziłem...

RÓZIA Dziadunio zaczął opowiadać, jak go ojciec odwiózł z Warszawy do pułku.

RADOMIR A! tak... miałem wtenczas dwadzieścia dwa lat... Ojciec sam ze mną pojechał, bo chciał mnie umieścić, panie dobrodzieju, w szwadronie swojego przyjaciela... Jakże on się to nazywał... (*prztyka palcami*) A to dobre, żeby zapamiętać... Mam na końcu języka...

RÓZIA Zielonka.

RADOMIR Aha! Jaką ona ma pamięć... Ale czekaj no, bo ja jeszcze nie to chciałem powiedzieć...

RÓZIA Ja wiem, jak to było... Dziadunia i ojca odprowadzał z Warszawy pan brygadier...

RADOMIR Aha! Prawda... Za roгатkę, do Mokotowa, gdzie na pożegnanie wypiliśmy, panie dobrodzieju, we trzech cztery butelki starego wina... Właściwie we dwóch, bo ja byłem wtenczas jeszcze fryc na to, więc poprzestałem na paru kieliszkach... Wszystko wysuszyli oni sami... Dziadek miał przeszło ośmdziesiątkę... i nie zaszkodziło mu to nic a nic (*do żony*) a mnie, com młodszy, nie chcesz jejmość, panie dobrodzieju, pozwolić jednego kieliszka.

RADOMIROWA Wiesz, kochanećku, że ci doktor zabronił.

RADOMIR Ten raz jeden... przecie to dla mnie wielkie święto... Kociuba!

KOCIUBA Słucham.

RADOMIR (*nagle zamyślony, do siebie*) Mój Boże! Nie doczekali biedacy... Jutro będzie szesnaście lat, jakeśmy ich widzieli po raz ostatni... (*wzdycha, spoglądając na żonę*) Nie trzeba jej przypominać... (*woła*) Kociuba!

KOCIUBA (*z fajką, którą nakładał*) Jestem... (*Stefan i Karolina, którzy słuchali opowiadania dziadka, teraz rozmawiają na stronie*)

RADOMIR No, czekam... miałeś dać.

KOCIUBA Proszę. *(podaje mu fajkę z ogniem)*

RADOMIR Aha! dobrze... *(bierze fajkę)* Ale to wino... *(Dorota wnosi tacę z kieliszkami)*

IZYDORA Zaraz nalewam.

RADOMIROWA *(na stronie, patrząc na męża)* Może Bóg da, że zapomni o jutrzejszej rocznicy.

RADOMIR Dajcież. *(bierze kieliszek i zamyśla się; po chwili)* Panie Stefanie... *(Stefan się przybliża; po chwili)* dawniej w tym dziś ubogim domku kwitła, panie dobrodzieju, za-
możność... i szczęście rodzinne... było błogosławieństwo Boskie...

RADOMIROWA W które i teraz ufamy... Nie godzi nam się skarżyć i wątpić w Opatrzność.

RADOMIR Kiedy mi jejmość przerywasz, a właśnie to chciałem powiedzieć. *(po chwili)* Bóg nas doświadczył ciężko, ale dowód błogosławieństwa jego pozostał nam w tych dwóch dziewczeczkach... Jest to cały nasz skarb, którego połowę oddajemy tobie. Wszak go będziesz, panie dobrodzieju, szanował i strzegł jak oka w głowie?

STEFAN *(z zapalem, całując go w ramię)* Panie poruczniku, gdyby nadzieja otrzymania ręki panny Karoliny nie była dla mnie najwyższym szczęściem, czyżbym ubiegał się o jej ziszczenie tak usilnie?

IZYDORA No, i bezinteresownie, to musimy panu przyznać.

STEFAN Więc już z tego samego powodu powinniście państwo być spokojni o przyszłość panny Karoliny. *(całuje Karolinę w rękę)*

RADOMIR Zatem piję za pomyślność waszą! *(upija trochę z kieliszka)* Co to za wino? *(wacha i upija jeszcze)* Zdaje mi się, że... Ciotko! *(ciszej do Izydory, patrząc na żonę, która ściska Stefana i Karolinę)* Wszak to to samo, co zostało od ślubu ich rodziców? Myślałem, że nam wypili wszystko tego dnia, jak...

IZYDORA *(prędko)* Została cudem jedna butelka. *(na stornie)* Ach, dlaboga, żeby sobie aby nie przypomniał, że to jutro właśnie...

RADOMIR Jedna butelka, *(kiwa głową)* ostatni świadek lepszych czasów; *(wypija pozostałe wino z kieliszka)* zakorkować tę resztę i zachować do zareczyn Różyczki. *(zamyśla się)* Mój Boże... *(po chwili)* Kociuba!

KOCIUBA Jestem.

RADOMIR Fajka mi zgasła. *(zapala i pogrąża się w myślach, Radomirowa i Izydora piją kawę)*

KAROLINA *(do Stefana, z którym przechadza się)* Czy to prawda, że hrabia Ściborzycki jest pańskim kuzynem?

STEFAN (*z pewnym zakłopotaniem*) Istotnie... jakkolwiek dalekim... właściwie jest to tylko powinowactwo.

KAROLINA Nie mówiłeś mi pan nigdy o tym.

STEFAN Nie przyszło mi na myśl... Mój kuzyn tak niedawno osiadł w naszej okolicy.

KAROLINA Zdaje mi się, że to nie powód. Po kimże to on odziedziczył Ściborzyce?

STEFAN Po dziadku, a raczej po wuju, które je miał pod dożywociem.

KAROLINA Pan często tam bywasz?

STEFAN Nie bardzo... zwłaszcza, że nie mieszka jeszcze stale. Ale te pytania zdają się mieć jakiś cel, którego nie mogę się domyśleć.

KAROLINA Miałam jedno życzenie, to jest prośbę do pana, którą, jak teraz widzę, trudniej mi będzie wypowiedzieć, niż myślałam.

STEFAN (*gorąco*) Aż prośbę?... dosyć by było życzenia... Wątpię, żeby było tego rodzaju, abym nie mógł go spełnić.

(*Różia wstaje z palcem na ustach, wskazując na dziadka, który zaczyna drzemać*)

RADOMIROWA (*do męża*) Jesteś śpiący, kochaneczku?

RADOMIR Troszeczkę.

RADOMIROWA (*do Izydory*) Moja Izydorciu...

IZYDORA (*idąc do Radomira*) Jegomość nie powinieneś się tak rozsypiać po krzesłach... Nie lepiej to, wstawszy od stołu, od razu położyć się na swojej sofce? Tak niezdrowo.

RADOMIR Moja ciotko, co mnie tam już lepiej albo nie lepiej... Wszystko jedno... aby tylko dobić do końca.

IZYDORA No, no, nie wiedzieć co... Grzech tak mówić. (*Izydora wraz z Rózią wyprowadzają Radomira na lewo; Radomirowa wychodzi z nimi, a Dorota i Kociuba na prawo*)

SCENA IV

KAROLINA, STEFAN.

STEFAN (*całując jej rękę*) Panno Karolino, jakie pani miałaś życzenie?

KAROLINA Dajesz pan słowo, że je spełnisz?

STEFAN Czyż potrafiłbym pani czego odmówić...

KAROLINA A gdyby to było nad pańskie siły?

STEFAN Znajdę je dla pani.

KAROLINA Więc czy możesz pan dla miłości mojej zdobyć się na taką ofiarę, jak zupełne zerwanie stosunków z panem hrabią?

STEFAN (*zmięszany*) Z jakiejże przyczyny?

KAROLINA Bardzo prostej, iż nie potrafiłabym odgrywać roli uprzejmej gospodyni domu względem osoby, która, obrawszy nas sobie za cel niezasłużonego prześladowania, nie przebiera w środkach, byle dopiąć swojego.

STEFAN Kto? On?! (*na stronie*) Tego się obawiałem... Ach! ten Brunon... (*głośno, z zakłopotaniem*) Ale, droga pani, czy jesteś pewną, że tak się ma rzecz istotnie?

KAROLINA Pomijam to, że sam nie poczuwał się do obowiązku zabrania znajomości z przyszłymi swoimi powinowatymi, ale nawet wiem na pewno, że nie wahał się z powodu naszego stosunku rozsiewać wieści ubliżających nam w najwyższym stopniu.

STEFAN Co pani mówisz!... W jakim rodzaju?

KAROLINA Wieści, przypisujących nam brudne wyrachowanie, zastawianie na pana sideł.

STEFAN I pani temu wierzysz!

KAROLINA Nie broń go pan; wszakże pan hrabia postawił sobie podobno za zadanie przeszkodzić w jaki bądź sposób naszemu związkowi.

STEFAN (*zmięszany, z irytacją*) Alboż jestem pod jego kuratelą?

KAROLINA Być może, że rości sobie prawo do niej.

STEFAN Nie ma najmniejszego! (*całując jej ręce*) Panno Karolino, nie uwierzysz pani, jaką przykrość sprawiasz mi tymi podejrzeniami.

KAROLINA To nie są podejrzenia... mam dowody.

STEFAN Dowody!... Jakież?

KAROLINA Ostrzeżenia osób dobrze mi życzących.

STEFAN Czy możesz pani wymienić te osoby?

KAROLINA Nie mogę.

STEFAN Dlaczego?... czy proszono o tajemnicę?

KAROLINA Nie mówmy zresztą o tym. Jest jeszcze inna przyczyna, dla której nie życzyłam sobie przyjmować w naszym domu pana hrabiego... nie idzie tu już tylko o mnie... moje sympatie lub antypatie, jakkolwiek te ostatnie są aż nadto usprawiedliwione.

STEFAN A o kogoż?

KAROLINA O moją siostrę.

STEFAN O pannę Różę! Jak to? Mój kuzyn może mieć swoje wady, ale w każdym razie jest człowiekiem zanadto przyzwoitym, aby pozwolił sobie...

KAROLINA Panie Stefanie, posłuchaj mnie pan. Powierzam panu domową tajemnicę, o której powinieneś wiedzieć. Wyobraź pan sobie, jest nim tak zajęta, że byłoby dla niej prawdziwym niebezpieczeństwem, gdyby mieli sposobność spotkania się.

STEFAN Czy podobna! Wszakże się nie znają.

KAROLINA Widziała go raz jeden przypadkiem i... podobał jej się.

STEFAN A, już to szczęście do kobiet ma szczególniejsze.

KAROLINA Szczęście, które dla nich staje się często fatalnym... nieprawdaż?

STEFAN Bo go psują... ale grunt w nim najlepszy, wierzaj mi pani.

KAROLINA Za mała dla nas rękojmia, gdy idzie o los tego dziecka, które teraz, gdy mam opuścić ten dom, pozostaje całą pociechą dziadków i poczciwej ciotki. Wiedząc, co ci ludzie przecierpieli, pojmujesz pan, że naszym obowiązkiem jest usunąć to wszystko, co mogłoby zatruć ich ostatnie chwile.

STEFAN Ale masz pani najzupełniejszą słuszność... tylko zdaje mi się, że państwo przywiązujecie zbyt wielką wagę do dzieciństwa, które...

KAROLINA Które nie wzbudzałyby obaw o następstwa, gdyby nie mamka; ta kobieta w swoim ślepym przywiązaniu przewróciła jej w głowie, wysnuwszy z tego cały romans. Ciocia łąjała Dorotę o to już kilka razy, ale niewiele pomogło, bo na nieszczęście dziadunio i babcia, bawiąc się tym, pomagają jej mimowiednie.

STEFAN Nie może być! W jaki sposób?

KAROLINA Wszystko niby żartem, przy pomocy docinków i dwuznaczników bardzo przeczystych, jakich słyszeć nie powinna. Na przykład, może pan uważałeś kiedy, że ją nazywają hrabiną.

STEFAN O! Niewinny żart staruszków...

KAROLINA Zapewne... ale ta nieszczęśliwa mania prześladowania niewczesnymi aluzjami rozbudza w niej niepotrzebne pragnienia i utrwala w pamięci to, o czym inaczej byłaby zapomniała na drugi dzień. Przyznasz pan, że zbliżenie się takiego człowieka do młodej pa-

nienki, mającej pod wpływem egzaltacji wyrobione jakieś idealne pojęcie o jego osobie, musi być dla niej niebezpieczeństwem.

STEFAN To rzecz pewna... ale nie obawiaj się pani. Wszystko, co ma na celu zapewnienie wam spokoju, jest i będzie zadaniem mojego życia. Mogę pani zareczyć, że siostra pani nie zobaczy go, zamknę przed nim nasz dom. (*spojrzawszy w okno*) Co widzę? On tu jedzie!... Tak, to jego ekwipaż.

KAROLINA (*patrzac w okno*) Co pan mówisz? On?!... Cóż to może znaczyć? (*patrzy mu w oczy*) Pan jesteś zmieszany.

STEFAN Ja?... Cóż znowu!... (*na stronie*) Przeraza mnie ten szaleniec.

KAROLINA Prawa gościnności każą przyjąć... sama nie wiem, co teraz zrobić.

STEFAN (*żywo*) Nie wychodźcie panie wcale... zapewne ma jaki sąsiedzki interes; niech go przyjmie dziadunio albo w ostateczności ciotka Izydora.

SCENA V

CIŻ SAMI, IZYDORA z lewej strony, po chwili DOROTA z prawej.

IZYDORA Tak, ciotka Izydora na pierwszy ogień, bo ona jest straszidło na wróble, na którego widok ten pan ucieknie... Ale mniejsza o to, niech i tak będzie; przyjmę go, poświęcając się za was wszystkich... Tylko nie mogę tak wyjść, muszę ogarnąć się choć trochę... Pan go tu zabaw tymczasem.

DOROTA (*rozgorączkowana*) Jezus Maria, pan hrabia ze Ściborzyc! (*ściiera fartuchem kurz z mebli*)

IZYDORA (*do Doroty surowo*) Czego chcesz?... Niepotrzebna tu jesteś... Odejdź.

DOROTA Jak to niepotrzebna? A któż tu robi porządek, jeżeli nie ja?... Czy pani nie słyszała, że pan hrabia jedzie z wizytą?

IZYDORA Słyszałam i mówię ci jeszcze raz odejdź stąd.

DOROTA (*mrucząc*) Hm, hm, hm!... (*odchodząc niechętnie na prawo, do siebie*) Oni na pewno zrobią jakie głupstwo. (*wychodzi*)

IZYDORA Karolcia do swojego pokoju... Żeby mi żadna z was nie wychodziła, chyba że się zawoła... broń Boże! (*Izydora i Karolina wychodzą na lewo*)

SCENA VI

STEFAN, *po chwili BRUNON, KOCIUBA, potem DOROTA.*

STEFAN Po co ten wariat tu przyjechał?... Nie przypuszczałem nigdy, żeby się posunął tak daleko... Gotów umyślnie wywołać skandal!... Co to u niego!

BRUNON (*wchodząc głębią w eleganckim negliżu, do Kociuby, który otwiera mu drzwi*) Żle trafiłem, ale zaczekam... Więc powiadasz, że państwo śpią.

KOCIUBA Tak jest, proszę jaśnie pana... starsze państwo co dzień muszą sobie urządzić małego śpika po obiedzie.

BRUNON (*śmiejąc się*) A! Małego śpika?... Istotnie, to bardzo zdrowo... no, ale panienka?

KOCIUBA Która, proszę jaśnie pana?

BRUNON Więc ich tu jest więcej niż jedna?

KOCIUBA Panienek? Aż trzy, proszę jaśnie pana.

BRUNON O!... Nie wiedziałem... I to wszystko śpi sobie także?

KOCIUBA E! Gdzież by znowu...

BRUNON Więc możebym mógł widzieć się chociaż z panienkami?

KOCIUBA Bo ja wiem? (*miarkując się*) Tylko że to dziś tak jakoś parno, ma się na deszcz, to może i one się pospały.

BRUNON No, to dowiedz się z łaski swojej.

KOCIUBA (*na stronie*) Hm, hm, hm!... (*wychodzi na lewo*)

BRUNON (*do siebie*) Ciekawe rzeczy... Cha! cha! cha! Wyobrażam sobie, jaki popłoch sprawi wiadomość o moich odwiedzinach... (*idąc na przód sceny, spostrzega Stefana*) A! otóż i wicegospodarz!... To szczęśliwie... Jak się masz!

STEFAN (*żywo, chwytając go za rękę*) Co ty tu robisz?

BRUNON Co robię? A to dobre! Widzisz, że przyjechałem.

STEFAN Po co?

BRUNON Po co? Naprzód, stęskniłem się za tobą, a wiedząc, że cię tu znajdę...

STEFAN Bez dowcipkowań, bardzo proszę.

BRUNON No, a potem, ponieważ w domu niesłychanie się nudzę, więc chciałem zabawić się.

STEFAN Kogóżeś obrał sobie za cel tej zabawki?

BRUNON Szukam dopiero, a powiedziano jest: szukajcie a znajdziecie.

STEFAN Jakież masz prawo obierać sobie ten dom za...

BRUNON Na wielkie nieba, nie bierzże tego tak tragicznie, gdy sytuacja jest najzwyczajniejsza w świecie. Wiesz, że jestem gościem prawie w moich Ściborzycach, więc z tego powodu nie miałem dotychczas sposobności odwiedzenia tego sielankowego ustronia i zabrania znajomości z jego mieszkańcami, o których byłbym nawet nie wiedział, gdyby nie ty. Przybyłem po prostu z wizytą, a to mi przecie wolno, zdaje się.

STEFAN Jeżeli istotnie tak jest, wróćże, się przede wszystkim do domu i przebierz przyzwyczajenie, bo w takim stroju nie oddaje się wizyty.

BRUNON Garnitur od pierwszego krawca, cóż ty chcesz! Sądzę przeciwnie, że zrobi wielki efekt.

KOCIUBA (*wracając*) Wszystko śpi, proszę jaśnie pana, jak zarznięte.

BRUNON Tak! No, to zaczekam, bądź łaskaw oznajmić o mnie, jak się obudzą.

KOCIUBA (*do siebie*) Jednak kto wie, czy się babie nie wyśni owe ciele z flakami. (*wychodzi na prawo; we drzwiach spotyka się z Dorotą, która szeptem z nią*)

STEFAN Jak to, więc trwasz przy swoim?

BRUNON Naturalnie, bo nie przypuszczam, żebyś mówił na serio, żądając ode mnie tego, o co im tu z pewnością nie chodzi. Wracać się prawie o milę drogi! Już i tak dała mi się we znaki podróż w taki upał. (*do Doroty, która przechodzi przez scenę od strony prawej ku lewej, udając zajęta porządkiem*) Moja pani, czy mógłbym prosić cię uprzejmie o szklanek świeżej wody?

DOROTA (*przysiadając w ukłonach*) W ten moment, jaśnie panie. (*na stronie*) Moja pani... Jaki to grzeczny człowiek, chociaż taki pan. (*na stronie*) Już też żeby nie mieli się teraz zobaczyć, tobym sobie nie darowała!... A! Wiem, co zrobię! (*wychodzi na lewo*)

STEFAN Powiadam ci, że nie pozwolę, abyś ten dom traktował z lekceważeniem.

BRUNON E! Stefcio bierze na kiel... ale to strach wszystko robi. Widzę, że wstępując na śliski grunt, zapomniałeś podkuć się na ostro, bratku.

STEFAN Cóż to ma znaczyć?

BRUNON Szukasz sposobu, jak by mnie stąd oddalić, żeby nie zobaczył tego, co byś chciał przede mną ukryć. Rozumiem to bardzo dobrze, bo nie ma nic nieprzyjemniejszego, jak widzieć ośmieszonymi swoje ideały... a widocznie tego się obawiasz.

STEFAN (*zirytowany*) Mylisz się. Są rzeczy świętością swoją tak wielkie, że usiłowania każdego, co by chciał je ośmieszyć, zwróciłyby się przeciwko niemu samemu... Tylko to wiem, że maćć spokój przybytku najwyższych cnót i poświęceń wprowadzeniem doń takich wartogłowów i cyników, jak ty, byłoby świętokradztwem!

(*z lewej strony wchodzi Dorota wraz z Rózią, która kryje się za nią, aby nie być widzianą; chichocą się i szepcą, wskazując na Brunona*)

BRUNON U! Wiesz co, że zaciekawiasz mnie do najwyższego stopnia... i teraz tym mniej skłonny jestem do wyrzeczenia się zamiaru obejrzenia na własne oczy tego wspaniałego przybytku... który mi jakoś wcale na coś podobnego nie wygląda. (*do Doroty, którą spostrzega, oglądając się*) Moja pani, a owa woda?

DOROTA W tej chwili, w tej chwili. (*wychodzi śpiesznie na prawo z Rózą*)

STEFAN (*gwałtownie*) Brunonie! Pozwalasz sobie zanadto... Co cię upoważnia do podobnego postępowania względem mnie?

BRUNON Jeżeli nie pamięć na twoich rodziców, którzy, odumierając cię przedwcześnie, żegnali ten świat z troską o jedynaka, to chociażby względ na naszych wspólnych krewnych, którzy z pewnością mieliby do mnie pretensję, dowiedziawszy się, że Stefcio dopuszcza się wybryków pod moim nosem. Obowiązkiem moim jest wyrwać cię z błędnego koła, w którym się obracasz.

STEFAN (*ironicznie*) Występując w roli moralisty, zapomniałeś zastanowić się, czy ona ci przystoi.

BRUNON Przepraszam cię, tak dziecinnym nie jestem, żebym się miał za doskonałość, ale staram się przynajmniej pamiętać zawsze o tym, co jestem winien pozycji odziedziczonej wraz z nazwiskiem... i to mi nadaje owo prawo, o którym zdajesz się powątpiewać... Zresztą, co tu gadać: powinienem nie dopuścić, abys popełnił głupstwo, i... zrobię to bez względu na twoje rzucanie się.

STEFAN Chcesz wywołać skandal?

BRUNON Chcę przede wszystkim wyplatać cię z sieci, w jakie cię uwikłano.

STEFAN Dobrze! więc dowiedz się, że dziś oświadczyłem się, i zrobiono mi ten zaszczyt, że mnie przyjęto.

BRUNON (*z wybuchem*) Dzieciaku!

STEFAN Kocham ją nad wszystko w świecie i żyć bym bez niej nie mógł. To moje ostatnie i stanowcze słowo.

BRUNON A to go haniebnie złapali!

STEFAN Proszę się miarkować w słowach. Od dziś ten dom jest moim domem, i mnie dotykasz, ubliżając tym, których szanuję i czczę. (*porywając jego rękę*) Odjedziesz, wszak prawda?

BRUNON (*ogłędając się*) Czy tu nie ma studni, czy co, że nie mogę doczekać się tej wody? Warto by, żebyś i ty się napił.

STEFAN Więc trwasz w swoim uporze? Mniejsza o to. Odchodzę do mojej narzeczonej i postaram się, aby cię nie przyjęto. Rób, co chcesz, ale w każdym razie mam cię za człowieka zbyt dobrze wychowanego, abyś się dopuścił kroku, którego byś się później rumienił. (*wychodzi na lewo*)

SCENA VII

BRUNON, po chwili RÓZIA, DOROTA wchodzą z prawej strony; Dorota ze szklanką wody na tacy, którą oddaje Rózi, mającej chusteczkę przewiązaną na krzyż na piersiach, jakie noszą służące, obie chichocą się, Dorota popycha z lekka Rózię, która zbliża się z tacą na przód sceny.

BRUNON A więc do tego już doszło! O! Za pozwoleniem, moi państwo, nie tryumfujcie przed czasem... rozchodzą się jeszcze i od ołtarza. (*spozstrzegając Rózię*) A! Przecie... (*nie biorąc wody, przygląda się Rózi*) No i ten wariat chciał mnie zmusić, żebym rejterował z domu, w którym takie ananasiki usługują gościom... Jeszcze czego! (*zbliża się do Rózi*) Cóż to za śliczny buziaczek... a co za oczy!... Jak ci na imię, aniołku? (*chce ją wziąć za policzek, Rózia przerażona upuszcza tacę z krzykiem i zasłania oczy*)

DOROTA (*rzucając się ku niemu*) O ho, hola! Za pozwoleniem, a to co za konfidencje!

BRUNON Przede wszystkim moja woda! Dajcież drugą szklankę, bo nie wytrzymam.

DOROTA Ja panu dam wody! Co pan sobie rozumiesz! Czy pan wiesz, coś pan zrobił?

BRUNON Ja?... Nic nie zrobiłem, boście mi nie dały... i nie pojmuję, co asani chcesz ode mnie; czy tu u was nie wolno pogłaskać ładnej dziewczyny? Cóż to za dzikie zwyczaje?

DOROTA Dziewczyny! To dziewczyna?

BRUNON A cóż? Chłopiec przebrany może?

RÓZIA (*ochłonawszy wybucha śmiechem, po czym do Brunona z szczerością*) Panie! Przypuszczając, żeś pan dobry, bo w pańskim spojrzeniu jest dla mnie coś sympatycznego, mam nadzieję, iż to, co się tu stało, zachowasz w tajemnicy... O! boby mi tego z pewnością nie darowano.

BRUNON (*zdziwiony*) Co? Co?

RÓZIA Wszak prawda, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?... Dopuściłam się tego grzechu, przyznając się ze skruchą, ale aby być szczerą, muszę powiedzieć panu, że sam masz ów grzech na sumieniu.

BRUNON (*zdziwiony*) Ja?

RÓZIA A nie inaczej i to po prostu dlatego, żeś pan nie raczył zwrócić na mnie najmniejszej uwagi w kościele. Przecież ja nie takie dziecko, jestem już dorosłą panną.

BRUNON (*zdziwiony*) W kościele?

DOROTA A tak! Na odpuście.

RÓZIA Gdybyś się pan obejrzał choć raz, wtenczas nasze oczy byłyby się z sobą spotkały, jak w tej chwili i... nie byłabym już naturalnie potrzebowała... (*spuszczając oczy*) O! Bo teraz bardzo sobie to wyrzucam, czuję całą nieostosowność kroku, który musiał pana zdziwić niemało... Ale bo to ty, mameczko, namówiłaś mnie, powinna bym mieć żal do ciebie.

DOROTA Moje dziecko, jeżeli ludzie mają oczy, to nie na co innego, tylko żeby na siebie patrzyli.

BRUNON Złote słowa.

RÓZIA Ale już trudno, stało się!... Teraz truchleję z obawy, żeby się o tym kto nie dowiedział... Panie! Pamiętaj pan, że pomiędzy nami jest tajemnica... Czy mogę być pewną, że ją pan zachowasz?

BRUNON O tak! w najgłębszej skrytce mojego serca.

RÓZIA Niechże stamtąd nie uleci, boby mnie to bardzo, bardzo zmartwiło... No, muszę uciekać, bo się boję, żeby mnie nie złapano na gorącym uczynku. (*podając mu rękę*) Ale do widzenia, bo przecież spodziewam się, że pan nie odjedziesz zaraz... zaczekasz, dopóki dziadzio się nie obudzi, nieprawdaż?

BRUNON Ale naturalnie...

RÓZIA (*odchodząc, na stronie*) Tak mi jakoś dziwnie błogo... nie pojmuję, co się ze mną stało... (*wracając, z palcem na ustach*) Więc pamiętaj pan... tajemnica! Bo inaczej pogniewałabym się śmiertelnie.

BRUNON Zbyt szacowną jest dla mnie, abym jej nie strzegł.
(*Różia wybiega na lewo*)

SCENA VIII

BRUNON, DOROTA.

BRUNON Cóż to za cudne zjawisko!... Sfinks przemawiający zagadkami... ale z pewnością żaden z sfinksów nie był tak uroczym... Jaka naiwność, pełna wdzięku — a przy tym i co za spryt!... Jak ona się to zręcznie wywineła z sytuacji, bądź co bądź dwuznacznej.

DOROTA (*biorąc się pod boki*) No cóż, jakże się panu spodobała moja Różyczka?

BRUNON O! Prawda, że istna różyczka, polny dziki kwiatek, ponętniejszy od najwspanialszych cieplarnianych, wabiący urokiem natury... Któż to jest, mów, kto to jest?

DOROTA (*śmiejąc się*) Ano chłopczyk przebrany.

BRUNON Byłbym niepokieszonym, gdyby to miało być prawdą. Ale powiedz mi, co znaczyła ta wzmianka o jakimś kościele, w którym znajdowaliśmy się razem... Co to takiego?

DOROTA Chce pan wiedzieć? Oto tak było: w odpust na Matkę Boską Zielną byliśmy wszyscy, jak zawsze, na nabożeństwie; modliliśmy się, jak przynależy, ale naraz rumor się zrobił i ludzie zaczęli szeptać, że nowy dziedzic ze Ściborzyc jest w kościele. Moja Różyczka, że to ciekawe, zwyczajnie, jak młode...

BRUNON Nie wiedziałem, że to na starość ustaje... To wyście już nie ciekawi?

DOROTA (*ruszając ramionami*) Ja?... Olaboga! Mnie tam dawno takie rzeczy wywietrzały z głowy.

BRUNON Niby jakie rzeczy?

DOROTA Ano, mężczyzny.

BRUNON Aha! Więc cóż? Cóż?

DOROTA Spojrzało biedactwo tam, gdzie ludzie palcami pokazywali, i jak pana zobaczyła, tak już nie mogła oczu oderwać... Pan, musi być, oczarował ją.

BRUNON Nie może być!

DOROTA Pan kontent?... Hm!

BRUNON No, naturalnie, żem kontent... dobra sobie.

DOROTA Naprawdę?

BRUNON (*do siebie*) Jakże świetną myśl miałem, żem tu przyjechał. Prześliczne dziewczę, któremu wpadłem w oko, które się naiwnie do tego przyznaje... Czy może być szczęśliwszy wypadek?!

DOROTA Tak mi żal było niebogi, że gdybym miała więcej śmiałości, to byłabym pana, chociaż to było na świętym miejscu, pociągnęła za surdut, żeby się pan był aby raz obejrzał... bo pan stał jak mur, aż mnie coś podrywało.

BRUNON Czemużeś tego nie zrobiła... Byłbym ci bardzo wdzięcznym.

DOROTA Ale za to powiedziałam sobie, że musicie się zetknąć z bliska, żeby nie wiem co... i postawiłam też na swoim... Kontent pan?

BRUNON Miałaś myśl nieocenioną. (*do siebie*) W czepku się urodził, nie wierzę swojemu szczęściu... Ten zaścianek, a w nim taka cudna perełka, wzrosła wśród jakiego może śmietniska... bo po tym, co się stało ze Stefanem, wszystko przypuszczam... Perełka, którą wydobędę stąd, choćby przyszło użyć gwałtu, oprawię w złoto i pieścić się nią będę... Co za urocza perspektywa! (*do Doroty, dając jej pieniądze*) Winienem ci wiele... Masz, proszę cię.

DOROTA (*nie biorąc*) A pan mnie za co płaci? A to co znowu! Ja nie potrzebuję... Niech pan sobie schowa swoje pieniądze.

BRUNON Odmawiasz! Dlaczego? chcesz, czy nie chcesz, będziemy pamiętać o tobie, to ci się święcie należy... Ale! Za pozwoleniem, wspomniała coś o dziadzi... Czy to czasem nie owa narzeczona pana Stefana?... To byłoby dobre.

DOROTA A Słowo stało się Ciałem! Przecież tamta ma już swojego... To druga.

BRUNON Druga?

DOROTA Aha!

BRUNON Siostra?

DOROTA A toć nie co.

BRUNON (*do siebie*) Siostra jego lubej, i to nieźle!... Będzie dobry figiel, losy upraszczają mi zadanie... No, ale jeżeli tamta do niej podobna, nie dziwię mu się tak dalece. (*zainteresowany*) Więc to wnuczki tych państwa Radomirów? A gdzież są rodzice?

DOROTA Rodzice? Mój Boże! Szesnaście lat, jak ich wywieźli na Sybir, karmiłam właśnie wtenczas Różyczkę. Dziś u nas powinna być żałoba, smutek, bo to akurat wilia rocznicy. Ach, panie! Sądny to był dzień.

BRUNON (*innym tonem*) Szesnaście lat... A! Więc to w sześćdziesiątym czwartym... (*po chwili*) I cóż się z nimi stało?

DOROTA Pomarli oboje. (*zasłania oczy fartuchem, po czym wybucha rzewnym łkaniem*)

BRUNON (*wzruszony*) Biedni ludzie... i to także ofiary tych naszych nieogłędnych porywów.

DOROTA (*utuliwszy się*) Przyjechała na wozach cała chmara wojska ze starszym, żeby naszego pana zabrać... Pani, chociaż niedawno wstała po słabości, nie chciała go puścić od siebie... jak mu się uwiesi u szyi, jak zacznie ryczeć, to aż się serce krajało... Przecie nawet ten starszy, widziałam, jak oczy obcierał... Ale cóż robić... mus!... Wzięli ich oboje, i... jużemy ich więcej nie widzieli. (*placze znowu, Brunon chodzi milcząc; po chwili*) Ach! Co się potem działo w domu, to nawet wypowiedzieć trudno... Starsza pani włosy sobie wrywała z głowy, a że oczu nie wyplakała, to prawdziwy cud!... A co to potem było starania, jeżdżenia, a kosztów!... Parę wsi na to poszło, bo i kary jakieś trzeba było płacić... i nic to wszystko nie pomogło... (*po chwili milczenia*) I tak biedne starowiny zostali sami z tymi dwiema sierotkami... wkradła się bieda... z pańskiego domu zrobiło się

niby cmentarzysko... Jedno w drugie ino wzdycha i płacze po kątach, a jeżeli się które kiedy roześmieje, to jak za pańszczyznę, udaje jak może, żeby drugie rozweselić. Z początku ciężko było wytrzymać, ale człowiek do wszystkiego się przyłoży... Trudna rada! Wie Bóg, co robi, święta Jego wola.

BRUNON (*do siebie*) Męczennicy! Święci ludzie!... A ta kobieta, jak szczytna w swojej naiwnej prostocie! Mimo woli wzbudza szacunek... i ja mogłem powziąć myśl!... Jakże się sobą teraz brzydzę!... Nie poznaję, co się ze mną dzieje. (*nagle, dając jej pieniądze*) Masz! Weź te pieniądze... Możesz je wziąć, bo to nie dla ciebie. Dasz na dwie msze... jedną za spokój nieboszczyków, drugą za pomyślność żyjących i upamiętanie zbłąkanych... Twoimi rękami ofiarowany ten dar i jednym, i drugim przyniesie szczęście.

DOROTA Ano tak, to co innego... Bóg zapłać. (*po chwili*) Pan dobry jest... już ja miarkuję, że moja Różyczka będzie przez pana szczęśliwą i dziadkowie, choć nad grobem, będą mieli trochę pociechy... Mój Boże, lżej im będzie umierać.

BRUNON Żyć jeszcze będą, dobra kobieto, długie lata ciesząc się szczęściem wnuczek... postaramy się o to, nieprawdaż?... będziemy ich pielęgnować. (*na stronie*) Zadrzała we mnie jakaś struna, dotychczas nie poruszana.

SCENA IX

POPZEDZAJĄCY; IZYDORA wchodzi z lewej strony, przystrojona nieco ze staroświecka, ale bez szarży.

IZYDORA (*z progu*) Doroto, co tu robisz?... Nie masz swojego zajęcia?... Idź stąd.

DOROTA (*do siebie*) No pójdę, pójdę... o jej!... Niepotrzebna tu już teraz... Co miałam zrobić, to zrobiłam. (*odchodzi na prawo*)

BRUNON (*na stronie*) Któż to być może? Za młoda na babkę, a na siostrę znowu za stara... ale oczywiście to owa trzecia.

IZYDORA (*która stała u progu, dopóki Dorota nie odeszła, teraz zbliża się*) Z panem hrabią Ściborzyckim mam przyjemność mówić?

BRUNON Tak jest, pani.

IZYDORA Jestem siostrą nieboszczki matki tej, o którą dziś oświadczył nam się pański kuzyn, pan Tolicki... czy panu wiadomo o tym?

BRUNON (*żywo*) A! Pani jesteś jej ciotką... zatem i panny Róży także?

IZYDORA No, naturalnie... ale skądże panu przyszło mówić o pannie Róży?

BRUNON Wy tłumaczę to, ale przede wszystkim pozwól pani dobrodziejka ucałować tę rączkę i przeprosić za mój strój niestosowny.

IZYDORA O! (*na stronie*) Jakiś do rzeczy człowiek.

BRUNON Bo to bynajmniej nie wizyta, na którą się dopiero zbieram... Dzisiejszą bytność moją spowodował jedynie przypadek. (*na stronie*) Co tu powiedzieć... (*głośno*) Znalazłszy się w pobliżu w jednej z moich wiosek graniczących z państwem...

IZYDORA Ależ żadna z pańskich wiosek nie graniczy z nami.

BRUNON W takim razie źle mnie objaśniono.

IZYDORA Wsie przytykające do pańskich posiadłości były naszymi, ale dawno już są w innych rękach.

BRUNON A ja już myślałem o kompromisie z państwem z powody pewnej małej wątpliwości, co do granic... i dlatego nie mogłem się oprzeć pokusie skorzystania ze sposobności i jakkolwiek z przekroczeniem form...

IZYDORA O, mój panie, przestaliśmy przywiązywać wagę do tak błahych przekroczeń. Los, znęcając się nad nami, nauczył nas cenić najlżejszy objaw przychylności i współczucia, chociażby nawet niezgodny z etykietą... dosyć dla nas, jeżeli możemy w nim widzieć dół serca.

BRUNON O! Pani, z mej strony możecie go być pewni.

IZYDORA Siadajże pan. (*siada*)

BRUNON (*siadając także, do siebie*) Jakaś zacna matrona... Jak mnie się teraz wszystko podoba w tym domu.

IZYDORA Więc panu hrabiemu wiadomym było staranie się pana Stefana o rękę Karolci?

BRUNON Tak jest, pani.

IZYDORA I nie masz pan nic przeciwko jego wyborowi?

BRUNON Mogę mu tylko powinszować... naturalnie nie mówię tu o osobie panny Karoliny, której nie znam, lubo nie wątpię, że tak wielkie przywiązanie mogły wzbudzić tylko prawdziwe przymioty serca i duszy... ale już to samo przemawia za nim, że, nie powodując się interesami materialnymi, szukał żony w domu, cieszącym się tak zasłużoną czcią, w rodzinie, otoczonej aureolą poświęceń i męczeństwa.

IZYDORA Więc panu wiadomo...

BRUNON Przez jakie koleje przechodziliście państwo? Tak jest, pani, chociaż na nieszczęście od niedawna dopiero.

IZYDORA A! Więc temu zapewne przypisać możemy wieści, które nas dochodziły o niechęci, jaką pan okazywałeś z początku względem zamiarów pana Stefana?

BRUNON (*żywo*) Nie wierz pani temu ani słówka... Zresztą chociażby było w tym cokolwiek prawdy, pani wiesz, że większa jest radość w niebie z jednego nawróconego, niż dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych.

IZYDORA To prawda.

BRUNON (*na stronie*) Ach! Teraz ja bym im nieba przychylił.

IZYDORA Mówiliśmy o moich siostrzenicach... Wychowałam je prawie od niemowlęctwa, bo Rózia była przy piersi, a starsza zaledwie chodzić zaczynała, gdy moja siostra, a ich matka, wywiezioną została wraz z mężem na wygnanie... gdzie też grób znalazła.

BRUNON (*ze współczuciem*) Smutne, smutne dzieje... wyobrażam sobie boleść rodziny.

IZYDORA Trafiało mi się za mąż... nie poszłam, bo uważałam za obowiązek oddać się zupełnie sierotom, tym biednym ofiarom poświęcenia się dla ojczyzny... Pojmujesz pan więc, czym one są dla mnie, dla nas wszystkich.

BRUNON O! Pani, któż by tego nie rozumiał. (*całuje jej rękę; wstając, na stronie*) I to brylant... Tu, widzę, same brylanty... zaczynam być w obawie, czym jest ich godzien. (*głośno*) Wszak będę mógł mieć szczęście zobaczenia pana Radomira i jego czcigodnej małżonki...

IZYDORA Jeżeli panu nie spieszy się z odjazdem, bo śpią w tej chwili.

BRUNON Skoro już przełamałem pierwsze lody i zyskałem rozgrzeszenie z powodu mojej toalety, nie darowałbym sobie, gdybym pominął sposobność złożenia im mego uszanowania... Zresztą, pilno mi przecie poznać przyszlą moją kuzynkę... no, i jej siostrę!

IZYDORA O! to dziecko jeszcze.

BRUNON (*żywo*) Jak to? Nie miałbym jej zobaczyć?

IZYDORA Nie stracisz pan nic na tym.

BRUNON (*jak wyżej*) O! Nie róbże mi, pani, tej przykrości... Niechże przy pierwszej bytności przynajmniej prośba moja będzie wysłuchaną.

IZYDORA Nie, nie, już niech pan daruje, ale na to nie pozwolę! (*na stronie*) Dziewczynie przewróciłyby się w głowie do reszty. (*głośno*) Już ja wiem, dlaczego.

BRUNON Będę apelował do dziadunia.

SCENA X

POPZEDZAJĄCY, RADOMIR.

RADOMIR (*wchodząc z lewej strony*) Cóż to za apelacja do mnie, panie dobrodzieju?

IZYDORA (*do ucha, prowadząc go do fotela*) Nie pozwalajże jegomość, żeby Różia wychodziła do niego.

RADOMIR (*nie dosłyszawszy*) Ha?

IZYDORA (*jak wyżej*) Trzeba być ostrożnym.

RADOMIR Ostrożnym?... Wy ze mną jak z dzieckiem; myślicie, że już kroku zrobić nie potrafię bez czyjej pomocy.
(*Izydora rusza niecierpliwie ramionami*)

BRUNON Niechże pani dobrodziejka raczy przedstawić mnie dziaduniowi.

IZYDORA (*przedstawiając*) Pan hrabia Ściborzycki... krewny pana Stefana.

RADOMIR A witajże nam, witaj, nowy sąsiedzie. (*Brunon całuje go w ramię*) Dziadka nieboszczyka znałem, panie dobrodzieju, bardzo dobrze... chociaż przerwały się nasze stosunki, gdy po trzydziestym pierwszym zamieszkał w Poznańskim... No, siadajże pan.

IZYDORA (*na stronie*) Muszę sprowadzić tamtych, żeby się starowina nie wygadał z czym niepotrzebnym. (*odchodzi na lewo*)

BRUNON A! Panowieście się znali?

RADOMIR Nawet byliśmy kiedyś w wielkiej przyjaźni, zwyczajnie, zażyłość obozowa.

BRUNON Pan dobrodziej służył także?

RADOMIR Służył, służył, paniczu... Dziwna rzecz, że się pytasz o to, widząc mój wiek... Urodziłem się, panie dobrodzieju, w roku... w roku... w którymże u diaska – ciotko! (*ogląda się*) A! Wyszło... no, dość, że w trzydziestym pierwszym miałem z górą dwadzieścia lat, to dosyć powiedzieć...

BRUNON Pokolenie bohaterów!

RADOMIR (*ożywając się coraz więcej*) Bohaterów rodzą czasy... Każdy prawy syn ojczyzny nosi w sobie iskrę, którą trzeba tylko wykrzesać, bo tam tli bez przerwy... Zrobiło się swoje... tak samo, jak i wy zrobicie, gdy was powołają... Wszak czujesz tam gdzieś w sobie taką iskrę... ha? Nie wstydz się tego... bo to wy teraz udajecie ludzi niby praktycznych, trzeźwo patrzących, dla których poświęcenie, ofiara, jest rzeczą nie opłacającą się, głupstwem wierutnym... ale to nieprawda! Bajki... Wmawiacie w siebie i w drugich... Bo gdy się zapuka do waszych serc, zrzucicie z siebie tę skórę, która inaczej by was parzyła... Ha? Co mówisz...

BRUNON Nic... (*całując go w ramię*) Słucham tylko słów pańskich ze czcią religijną.

RADOMIR Tak, tak... wolno się czasem przedzierać... ale obudzić się kiedyś trzeba... to mus!... (*patrząc naokoło siebie*) Kociuba!

BRUNON Pan dobrodziej woła kogoś?

RADOMIR Nie widzę mojej fajeczki, a trudno mi się, bez niej obyć, bo to jeszcze obozowe przyzwyczajenie... nigdy nie ma kto zawołać... Kociuba!

BRUNON To ja poszukam tego Kociuby. (*sposprzega fajkę*) Albo lepiej sam usłużę panu dobrodziejowi... tu jest wszystko.

RADOMIR Przepraszam cię. (*Brunon nakłada fajkę i podaje ogień; po chwili*) Mówiliśmy o twoim dziadku... paniczyk, papinek, przywykły do wygodek... Zdawało się, że pałasza nie dźwignie... a gdy ojczyzna zawołała: do szeregu!... znalazł się, panie dobrodzieju, tam, gdzie być powinien... i trzeba było widzieć, jaki był z niego żołnierz... Awansował na oficera na placu boju po świetnej szarzy, w której, nie chwając się, wybawiłem go jeżeli nie od śmierci, to od kalectwa... Za to mię poczęstował bagneciskiem jakiś piechur... prześliznęło się szczęściem tylko po kości na kolanie, ale od tego czasu utykam... Et, co tam o tym mówić, bagatela... Fajka mi zgasła...

BRUNON (*podając mu ogień, do siebie*) Patrzyłbym na niego i słuchał całymi godzinami.

RADOMIR (*na stronie*) Jakieś pocziwe chłopczyko. (*głośno*) Bóg zapłać. (*po chwili robi gest, jakby mu przyszła jaka myśl*) A wiesz, gdzie to była ta szarża?... Czekał no... Zaraz!... Od niejakiego czasu pamięć mi nie dopisuje... (*wołając*) Rózia!

BRUNON (*żywo*) Pan dobrodziej życzy sobie panny Rózy?

RADOMIR Ona wszystko wie i pamięta, jak gdyby tam była.

SCENA XI I OSTATNIA

POPZEDZAJĄCY, RÓZIA, po chwili, RADOMIROWA, IZYDORA, KAROLINA, STEFAN, przy końcu DOROTA i KOCIUBA.

RÓZIA (*wbiegając z lewej strony*) Jestem, dziaduniu.

RADOMIR A! Nie tylko pamięć, ale i słuch jak na urząd... Pewno byłaś gdzie pode drzwiami... ciekawska... wiem, wiem dlaczego.

RÓZIA (*przymilając mu się*) Niech dziadunio schowa dla siebie tę wiadomość.

RADOMIR A co mi dasz?

RÓZIA I po cóż mnie dziadunio wołał?

RADOMIR Gdzie to była ta szarża, w której byłem ranny?... przypomnij mi.

RÓZIA Jak to?! I tego dziadunio zapomniał? A to dopiero!

RADOMIR (*do ucha*) Udałem tylko, żem zapomniał... nie podziękujesz mi za to?

RÓZIA (*wieszając mi się na szyi i patrząc na Brunona, deklamuje*) Grzmia pod Stoczkiem armaty...

RADOMIR A! Pod Stoczkiem... Jak ona wszystko pamięta.

BRUNON (*na stronie*) Cudny dzieciak... (*wchodzi, jak wyżej*)

IZYDORA Róziu! Tak to słuchasz tego, co ci starsi mówią?

RÓZIA (*z niewinną miną*) Dziadunio mnie wołał.

RADOMIR Moja ciotko, nie dokuczaj też mojej Różyczce... biorę ją w obronę.

IZYDORA Dla niej jeszcze książka, a nie towarzystwo mężczyzn... Jegomość wiesz, jak ją to onieśmiela.

BRUNON (*na stronie*) Pocziwa ciotunia... zacności kobieta, ale ma c u r t u m v i s u m.
(*głośno do Izydory*) Niechże pani dobrodziejka raczy mnie przedstawić naprzód babuni.
(*zbliża się do teje*)

IZYDORA (*przedstawiając*) Kuzyn pana Stefana, hrabia Ściborzycki.

BRUNON Czuję się nad wyraz szczęśliwy, mogąc ucałować tę rękę, która oby kiedyś, gdy mnie państwo lepiej poznacie, zechciała spocząć na mojej głowie z krzyżykiem błogosławieństwa.

RADOMIROWA Ja już dziś błogosławię pana za tę chwilę. Zanadto przywykliśmy widzieć naokoło siebie niechętnych, że już nie powiem nieprzyjaciół, abyśmy nie potrafili ocenić serca, które się dla nas otwiera. (*kładzie rękę na głowie Brunona, który pochyla się z uszanowaniem, i składa na niej pocałunek*)

BRUNON (*wzruszony*) Jestem przekonany, że to dotknięcie ust pani szczęście mi przyniesie. (*na stronie*) O włos, żem się nie rozbeczał, a to by mnie uczyniło śmiesznym. (*głośno*) A teraz, ponieważ nazwisko moje zostało już wymówionym, sam pozwolę sobie przedstawić się pannie Karolinie. (*na stronie*) Aj! Czy jej aby istotnie tak na imię... ale zdaje mi się.

KAROLINA (*podając mu rękę*) Muszę się przyznać, że gdybym chciała powodować się uprzedzeniem, jakie skutkiem zbiegu okoliczności miałam względem pańskiej osoby, powinnabym okazać nieufność — ale to, czego byłam świadkiem, rozbraja mnie.

BRUNON Niech pani nie wierzy nigdy uprzedzeniom ani zbiegowi okoliczności.

KAROLINA Pojmujesz pan, jak mi zależało na tym, abyśmy się poznali bliżej. Czyjaż wina, że nastąpiło to tak późno?

BRUNON (*otwarcie*) No, naturalnie że moja, niczyja więcej... ale powiedziałem już tu ciotce pani, że większa jest radość w niebie z dziewięćdziesięciu dziewięciu... pani wiesz, jak jest dalej...

KAROLINA Więc mogę pana uważać za nawróconego?

BRUNON (*półgłosem*) Stwierdzę to dowodami, które nie pozostawiają pani najmniejszej wątpliwości, (*głośniej*) ale przedtem pragnąłbym jeszcze być przedstawionym najmłodszej odrośli rodziny... pannie Róży. (*wchodzi Dorota i Kociuba*)

IZYDORA (*cicho do Brunona*) Jeżeli moje słowa mogą mieć jakąś wagę u pana, nie zwracaj na nią zanadto uwagi... Ja pana proszę o to...

BRUNON Tego bym nie potrafił, daję pani słowo... Co trudno, to trudno.

RADOMIROWA (*biorąc Rózię w objęcia i przedstawiając ją*) Nasza pieszczotka... ale jeszcze zbyt młoda, żeby jej się przedstawiano.

RÓZIA (*w objęciach babki, spoglądając na Brunona, żartobliwie*) Ja, zdaje mi się, widziałam już raz pana... gdzie to było?... A! W kościele, prawda... Ale pan byłeś tak zamodlony, że nie widziałeś nic naokoło siebie.

BRUNON Za to też modły moje zostały wysłuchane.

RÓZIA A o cóż pan modliłeś?

BRUNON Modliłem się o coś, czego nie przypuszczałem nigdy, ażebym był godny.

RÓZIA Pan chciałeś gwiazdki z nieba?

BRUNON Tak jest, małej, maleńkiej gwiazdeczki, nie odkrytej dotychczas przez astronomów, która, wyobraź pani sobie, wskutek modłów moich stała się widzialną oczom takiego zwykłego śmiertelnika, jak ja (*Różia robi nieznaczny gest, kładąc palec na ustach*) i teraz mruga na mnie rozkosznie.

RÓZIA Przepraszam, ja nie mrugam wcale.

RADOMIROWA (*strofująco*) Różyczko!
(*Radomir kręci palcem nad głową*)

IZYDORA Róziu! a to co znowu... zanadto sobie pozwalasz.

BRUNON (*z uśmiechem porozumienia*) Ależ ja nie mówiłem wcale tego o pani... Broń Boże! (*Różia ściska babkę i idzie do dziadka, który na nią kiwa*)

STEFAN (*który ze zdziwieniem przysłuchiwał się wszystkiemu, do Brunona na stronie*) Słuchaj no, co ty za komedię grasz tutaj? Nie myśl, ażebym twoje słowa brał na serio i wierzył

w tak nagłą zmianę. W tym ukrywa się coś podejrzanego, jakiś plan piekielny, który zwyciężę, choćby miało przyjść do ostateczności.

BRUNON Deklamujesz jak artysta dramatyczny... aleś się zasypał. Jeżeli stało się nieporozumienie, to sameś temu winien. Czemużes mi nigdy nie mówił, kto oni są? Nic o ich przeszłości? Można by powiedzieć, że ukrywałeś to umyślnie przede mną.

STEFAN I komuż to miałem mówić, tobie? Czyżbyś ty to rozumiał? Przede wszystkim to są ubodzy ludzie, o których powiedziałbyś, że to hołota, która swoje oplakane położenie ma do zawdzięczenia tylko samym sobie.

BRUNON A! Takie miałeś o mnie wyobrażenie? I dlategoś milczał? Dziękuję ci... Warto by na ten temat podyskutować, ale to dopiero gdy zobaczysz, jak się potrafię zemścić. (*do państwa Radomirów, którzy siedzą obok siebie. Różia stoi na boku z Dorotą, Karolina z Izydorą; Kociuba pilnuje fajki Radomira*) Szanowni państwo, trzeba nam pomówić poważnie. Miałem zamiar złożyć w ich domu wizytę etykietalną i w charakterze urzędowym przemówić w sprawie mojego kuzyna. Ponieważ jednak, znalazłszy się tu przypadkiem — co ze względu na mój strój, proszę uważać tylko za preludium do wizyty — przekonałem się, że pominął mnie w tak ważnym razie, muszę powiedzieć otwarcie, że lubo pojmuję jego niecierpliwość, naganiam ten pośpiech.

STEFAN (*na stronie*) Do czegoż ten narwaniec znowu prowadzi?

BRUNON Pan Stefan Tolicki stracił dawno rodziców, ale za to ma ciotkę, która jest zarazem moją stryjenką, i jej to z prawa i urzędu należał się zaszczyt dopełnienia ceremonii. Zważywszy jednakowoż, że wszystkie chwile czcigodnej matrony są zajęte... (*innym głosem*) Wyobraźcie sobie państwo, że całymi dniami siedzi na kanapie i karmi pieski... te pieski, to jej dziatwa... Więc wybierając się w tak daleką drogę... notabene mieszka w Krakowie... jedno z dwojga: albo by musiała zostawić pieski w domu, na co by się nie zdecydowała, albo też wziąć je z sobą... na co by się także nie zdecydowała, bo mogłyby się zająć.

STEFAN (*z wymówką*) Brunonie!

BRUNON Mówię to dlatego tylko, żeby wytłumaczyć, dlaczego, jako najstarszy w rodzie po mojej stryjence a jego ciotce, przywłaszczam sobie jej prawa. Otóż, chociaż wiem, że słowa moje nie wpłyną na postanowienie, bo to już powzięte, dla prostej jednak formy, w imieniu naszej wspólnej rodziny mam zaszczyt prosić szanownych państwa o rękę panny Karoliny dla mojego kuzyna, pana Stefana Tolickiego.

STEFAN (*na stronie*) Uszom moim nie wierzę.

BRUNON O odpowiedź nie chodzi, bo ta mi jest zbyt dobrze wiadomą, tylko o świadectwo, żem dopełnił, co do mnie należało — a nadto, niech mi wolno będzie wypowiedzieć to, co czuję. (*do Karoliny, całując jej rękę*) Panią mogę zapewnić, że dostajesz za męża poczciwego i zacnego chłopca, czego dowodem, że głosowi serca dał pierwszeństwo nad interesem materialnym; (*do Stefana*) Tobie zaś wiesz, żeś wybrał towarzyszkę życia z dobrego gniazda. (*szczerze ściskając go*) Daj ci Boże szczęście, mój drogi.

STEFAN (*wzruszony*) Dziękuję ci, dziękuję.

KAROLINA Wstępny bojem zdobyłeś pan moje serce.
(*Izydora i Dorota płaczą*)

KOCIUBA (*także rozrzewniony, do Radomira, który machinalnie ssie fajkę*) Niech pan darmo nie ciągnie, bo się wcale nie pali. (*daje ogień, ale Radomir nie uważa, trzymając w dłoniach rękę żony*)

BRUNON Ale to jeszcze nie wszystko. (*półgłosem, opierając kolano na małym stołeczku u nóg Radomirów*) Czcigodni państwo! Posiadacie w swoim domu cenny klejnot, którego nie wiem, czy wart jestem... ale pozwólcie mi dać się bliżej poznać... może kiedyś przyjmiecie mnie za syna, a raczej za wnuka...

RADOMIR Cóż ci na to odpowiem, panie hrabio... jeżeli tylko Różyczka...

RADOMIROWA Chybabyś dał się poznać z nowej jakiejś strony, któraby zepsuła wrażenie pierwszego poznania.

BRUNON (*wstając i całując ich w ręce*) Oświecę się ze wszystkich stron, żeby mnie można było przejrzeć na wylot... i czekać będę wyroku.

RÓZIA (*na stronie do Brunona*) Co pan tam tak szeptałeś dziaduniowi i babci?

BRUNON Powiem pani, ale tajemnica! wszak ja dotrzymałem tej, którą mi pani powierzyłaś.

RÓZIA Ale naturalnie, że tajemnica.

BRUNON Prosiłem o pozwolenie starania się o pani rękę.

RÓZIA (*spojrzawszy nań z miłością*) Wstydz się pan, jak babcię kocham... (*nagle, poskoczywszy ku Radomirowi*) Ach! Dziaduniowi fajka zgasła. (*krząta się, chcąc zapalić*)

BRUNON (*do siebie z uniesieniem*) Daję słowo honoru, zjadłbym ją.

KOCIUBA (*protestując*) Co znowu, co znowu! A ja tu od czego?... O! O!...

DOROTA (*do Brunona, ściskając jego kolana*) Panie, mam jedną prośbę... jak się pan ożeni z Różyczką, to weźcie mnie do siebie. (*rozzewniając się*) Będę wam dzieci kołysać, wychowam sobie wnuki.

BRUNON Jeżeli do tego przyjdzie, ozłocę cię, moja pocziwa... jakże ci to na imię?

DOROTA (*becząc*) Dorota.

BRUNON Nie zapomnę nigdy, com ci winien. Tymczasem czuwaj nad naszą Różyczką. (*idzie do Karoliny i Stefana, z którymi rozmawia*)

DOROTA (*na przedzie sceny, rzewnie, stojąc z załamanymi rękoma*) Dosyć, że cielę wyśniło mi się i to w dubelt... i jak to tu nie wierzyć! (*do Rózi*) Pójdź no, jagódko. (*bierze ją na stronę*)

RADOMIR (*do żony*) No i cóż jejmość na to wszystko, panie dobrodzieju?

RADOMIROWA Męczennicy wymodlili u Boga łaskę dla swoich sierotek.

RADOMIR Złóżmy Mu dzięki... za nie... bo dla nas samych nic już nie pozostaje... robak wspomnień gryźć nas będzie do śmierci. (*po chwili*) Wszak to jutro będzie rocznica... pamiętasz?

RADOMIROWA Czy pamiętam! (*rzucają się wzajemnie w objęcia, płacząc. Zasłona spada*)

K o n i e c